

SUSAN VREELAND

**DZIEWCZYNA W
HIACYNTOWYM
BŁĘKICIE**

**PRZEKŁAD
FA NACZYŃSKA**

*Dla Scotta Godfrey, osteopaty,
i dr. med. Petera Falka*

PODZIĘKOWANIA

Kochać dość ukazało się pod tytułem *Płomień miłości* w „New England Review”, *Noc różna od wszystkich innych nocy* w „The Missouri Review”, *Blask poranka* w „So to Speak”, a *Spojrzenie Magdaleny* w „Confrontation”.

Autorka pragnie podziękować Barbarze Braun, Gregowi Michalsonowi, Fredowi Rameyowi, C. Jerry'emu Hannah i Asilomar Writers Consortium.

*O, spokoju wybranko czysta,
którą muska Łagodność ciszy,
wolno płynącego czasu (...)
Wabisz nas i uwalniasz od myśli,
milcząca Formo, jak wieczność**

John Keats, 1819

* Przypisy znajdują się na końcu książki.

KOCHAĆ DOŚĆ

Cornelius Engelbrecht sam się wymyślił. Chciałbym od razu podkreślić, że nie mógłbym go nazwać moim przyjacielem, lecz znam go na tyle dobrze, by stwierdzić, że świadomie zaprojektował swój wizerunek: mężczyzna nieżonaty, ubierający się skromnie i w zgaszone kolory, nauczyciel matematyki, sponsor klubu szachowego, raczej dobrotliwy znajomy wszystkich niż czyjkolwiek przyjaciel, człowiek, który pragnie być niewidzialny. Jednakże ta zewnętrzna nijakość zasłaniała płonące wnętrze, i z powodu, który zrozumiałem dopiero później, Cornelius Engelbrecht przyznał mi się do sekretnej obsesji ukrytej pod jego uporządkowanym, kontrolowanym obliczem.

Pierwszy raz ujrzałem Corneliusa bez maski po pogrzebie dziekana Merrilla. Nagła śmierć Merrilla była szokiem dla wszystkich, stratą, która na chwilę zbliżyła nas do siebie, co rzadko się zdarzało w profesorskiej jadalni naszej małej prywatnej szkoły dla chłopców, ale to nie szok ani przewaga jednego kufła w to śnieżne popołudnie w Penn's Den, dokąd poszliśmy po pogrzebie, sprawiły, że Cornelius odsłonił się wbrew swej strategii. Ktoś przy stole wspomniął zagadkowe ostatnie słowa Merrilla, „kochać dość”, słowa, które kłują mnie teraz jak oskarżenie o współudział czy namowę. Zaczęliśmy rozmawiać o ostatnich

słowach sławnych ludzi oraz naszych zmarłych krewnych, i Cornelius pochylił głowę, wbijając wzrok w swoje ciemne piwo. Zauważyłem to tylko dlatego, że przypadek posadził nas obok siebie.

Odezwał się bardziej do swego kufla niż do kogokolwiek z nas:

— „Oko jak błękitna perła”, powiedział mój ojciec. A potem umarł. Zimą, kiedy padał pierwszy śnieg, tak jak teraz.

Twarz Corneliusa zawsze kojarzyła mi się z portretem księcia Urbino pędzla Piera delia Francesca. Powodował to kształt nosa, który był wąski, ale miał niezwykle wysoki mostek, jakby podpórkę dla nieobecnych okularów. Cornelius sprawiał wrażenie człowieka, którego dręczy jakaś tajemnica, zaprzęta intelektualny lub moralny dylemat tak palący, że napełnia go poczuciem wyższości nad nami, którzy myślimy o oponach do samochodu czy przeziębieniu dziecka. Ilekroć rozmowa schodziła na tematy przyziemne, wyłączał się z niej, jakby medytował o czymś znacznie bardziej doniosłym, i jego chłodny uśmiech stawał się protekcyjny.

— Oko jak błękitna perła? Co to znaczy? — zapytałem. Przyjrzał się mojej twarzy, jakby oceniał mnie według swych prywatnych kryteriów.

— Nie potrafię tego wyjaśnić, Richardzie, ale mogę ci pokazać.

I uparł się, abym poszedł z nim tego wieczoru do domu, co zupełnie doń nie pasowało. Nigdy nie widziałem, aby się przy czymś upierał. W ten sposób zwróciłby na siebie uwagę. Sądzę, że „kochać dość” Merrilla jakoś go poruszyło, albo myślał, że mogło poruszyć mnie. Jak mówię, nie wiedziałem, dlaczego wybrał mnie, chyba że z tego

prostego powodu, iż byłem jedynym artystą czy nauczycielem plastyki, jakiego znał.

Zaprowadził mnie korytarzem do przestronnego gabinetu wypełnionego książkami i, co dziwne, zamkniętego na klucz, choć mieszkał sam. Było tam chłodno, więc rozpałił ogień,

— Rzadko miewam gości — wyjaśnił i wskazał mi fotel z wysokim oparciem, ze skóry w kolorze śliwkowym i na pewno drogi, stojący obok kominka naprzeciwko jakiegoś obrazu. Bardzo niezwykłego obrazu, na którym młoda dziewczyna w krótkim błękitnym kaftanie i rdzawej spódnicy siedziała bokiem do widza przy stole pod otwartym oknem.

— Mój Boże — powiedziałem.

Chyba właśnie coś takiego chciał usłyszeć, bo przenikliwym głosem wyrzucił z siebie serię poleceń:

— Spójrz. Spójrz na jej oko. Jak perła. Perły były ulubionym rekwizytem Vermeera. Spójrz na tę tęsknotę w jej twarzy. I spójrz, jak światło Delft spływa z okna na jej czoło. — Wyjął chustkę do nosa i uważając, by nie dotknąć płótna, wytarł ramę, choć wcale nie widziałem na niej kurzu. — Spójrz tutaj — ciągnął. — Ten wdziek jej dłoni, próżnej, zwróconej wnętrzem ku górze. Jak uświęcił pojedynczy gest tej dłoni. A w dodatku...

— Nadzwyczajne — wtrąciłem. — Niewątpliwie w stylu Vermeera. Łudzące podobieństwo.

Cornelius oparł ręce na poręczy fotela i nachylił się ku mnie, aż poczułem na czole jego oddech.

— To jest Vermeer — wyszeptał.

Prychnąłem; ta myśl, jego przekonanie, były absurdalne.

— Namalowano wiele obrazów w stylu Vermeera i Rem-

brandta. Szkoły Rubensa i tak dalej. Świat sztuki jest pełen naśladowców.

— To jest Vermeer — powtórzył.

Powaga tonu sprawiła, że przeniosłem wzrok na niego. Przygryzał wewnętrzną stronę policzka.

— Nie wierzysz mi? — zapytał, kładąc dłoń na sercu.

— Po prostu jest ich tak mało...

Było mi przykro pozbawiać go złudzeń.

— Tak, oczywiście, bardzo mało. Bardzo mało. Namalował najwyżej czterdzieści płócien. I zaledwie o trzydziestu do trzydziestu pięciu wiemy, gdzie są. *Welk een schat! En waar is dat alles gebleven?*

— Co to?

— Lament jakiegoś holenderskiego historyka sztuki. „Gdzie się podział taki skarb” czy coś w tym rodzaju. — Odwrócił się, aby nalać nam brandy. — Dlaczego to nie może być Vermeer? To jego otwarte do wewnątrz okno z lewej strony, które tak często malował, jego bladożółte światło. Przyjrzyj się wzorom kapy na stole. Takie same jak na dziewięciu innych obrazach. Takie samo hiszpańskie krzesło ze zwieńczeniami oparcia w kształcie lwich głów jak na jedenastu płótnach, takie same mosiężne ćwieki na skórze. Taka sama posadzka z ułożonych ukośnie czarno-białych płyt.

— Podobieństwo tematyki nie jest dowodem autentyczności.

— Zgoda, ale uważam cię za człowieka spostrzegawczego. Jesteś artystą, Richardzie. Z pewnością widzisz, że perspektywa płyt posadzki jest zniekształcona tak samo jak w jego wcześniejszych pracach, na przykład *Przerwanej lekcji muzyki*, datowanej na lata 1662-64, albo *Dziewczynie i kawalerach pijących wino*, 1660.

Nigdy bym się nie domyślił, że tyle wie. Wyrecytował to jak z podręcznika. Ale ja też tak potrafiłem.

— Może to równie dobrze dowodzić, że obraz jest dziełem podrzędnego naśladowcy albo van Mierisa czy de Hoocha. Oni wszyscy malowali posadzki z płytek. Holandia była wyłożona płytkami.

— Tak, tak, wiem. Sam Jerzy III, kupując *Lekcję muzyki*, sądził, że to van Mieris, ale nawet król nie może zmienić atrybucji. To Vermeer. — Wymówił nazwisko szeptem.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Było to zbyt nieprawdopodobne.

Cornelius uprzątnął książki i papiery z rogu dużego dębowego biurka, oparł się o nie i znów nachylił do mnie.

— Widzę, że cię nie przekonałem. Więc przyjrzyj się choćby różnicom głębi ostrości. Spójrz na koszyk do robótek umieszczony na stole na pierwszym planie, typowo dla niego, niemal jak bariera między widzem i postacią. Wiklinowa plecionka jest rozmyta, rozostrzona, ale twarz dziewczyny jest ostra. Spójrz na koronkowy brzeg jej czepka, tam na skroni. Precyzyjny co do jednego punkcika. A teraz spójrz na szklanę mleka. Jest rozmazana, a mapa na ścianie to ledwie cień. Mam rację?

Skinąłem głową, bardziej przez wzgląd na jego natarczywość niż na znak zgody.

— Tak samo namalował *Koronczarkę*, 1669. Z czego wnioskuję, że to płótno powstało między rokiem 1665 a 1668.

Przypatrując się obrazowi, czułem, że świdruje mnie wzrokiem.

— Zebrałeś mnóstwo informacji. Czy obraz jest podpisany?

— Nie, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Często nie sygnował swoich prac. Poza tym podpisywał się na co

najmniej siedem sposobów. W przypadku Vermeera podpis nie jest rozstrzygającym dowodem. Jest nim technika. Spójrz na kierunek pociągnięć pędzla, na te cieniutkie rowki od jego włosów. Mają oświetloną i zacienioną stronę. Spójrz gdzie indziej. Zobaczysz zachodzące na siebie warstwy farby, nie grubsze niż jedwabna nić, dające minimalną różnicę tonacji. Dlatego jest to Vermeer.

Podszedłem do obrazu, zdjąłem okulary, aby przyjrzeć mu się z bliska, i było tak, jak mówił. Gdy przesuwalem głowę w prawo lub w lewo, niektóre plamy farby subtelnie zmieniały odcień. Jakże trudno jest osiągnąć taki efekt. W innych miejscach powierzchnia była tak gładka, jakby kolor spłynął na płótno. Nagle poczułem, że szybciej oddycham.

— Nie dałeś go do analizy? Znam profesora historii sztuki, który mógłby przyjść go obejrzeć.

— Nie, nie. Wolę, aby pozostał nieznany. Dla bezpieczeństwa. Chciałem pokazać go tobie, bo potrafisz go docenić. Nikomu o nim nie mów, Richardzie.

— Ale gdyby autorstwo potwierdzili specjaliści... miałyby astronomiczną wartość. Nowo odkryty Vermeer, to by wstrząsnęło światem sztuki.

— Nie chcę wstrząsać światem sztuki.

Żyłka na jego skroni pulsowała, czy z przekonania o autentyczności obrazu czy z innego powodu, nie wiedziałem.

— Wybacz moją niedelikatność, ale skąd go masz? Utkwił we mnie kamienne spojrzenie.

— Mój ojciec, który zawsze miał oko, jeśli chodzi o sztukę, zdobył go, że tak to nazwę, korzystając z okazji.

— Na licytacji czyjegoś majątku? Na aukcji? Zachowałyby się papiery.

— Nie. Vermeera nie wystawiano na aukcję od pierwszej wojry światowej. Powiedzmy, że został pozyskany prywatnie. Przez mojego ojca, który przekazał mi go w spadku. Zaciśnął szczęki. — Więc nie ma dokumentacji, jeśli o tym myślałeś. Ani dowodu sprzedaży. — Jego głos brzmiał dziwnie wyzywająco.

— Proweniencja?

— Jest kilka możliwości. Większość dzieł Vermeera przeszła przez ręce niejakiego Pietera Claesza van Ruijven, syna zamożnego delfckiego piwowara. Sądzę jednak, że ten nie. Umierając, Vermeer zostawił żonę z jedenaścior-giem dzieci i szufladą nie zapłaconych rachunków. Pięćset guldenów za artykuły spożywcze. Inna suma za wełniane tkaniny, na jej pokrycie kupcowa Jannetje Stevens zajęła dwadzieścia sześć obrazów. Wdowa odzyskała je później, ale tylko dwadzieścia jeden z nich sprzedano, aby spłacić długi. Kto dostał pozostałe pięć? Artyści lub handlarze z gildii św. Łukasza? Sąsiedzi? Rodzina? Może ten obraz był wśród nich. A z tych dwudziestu jeden zidentyfikowano tylko szesnaście. Gdzie się podziła reszta? To też jest jakaś możliwość. Poza tym piekarz Hendrick van Buyten przyjął dwa jako pokrycie rachunku za chleb, opiewającego na sześćset siedemnaście guldenów. Niektórzy sądzą, że van Buyten kupił też kilka obrazów wcześniej.

Musiałem uważać, aby nie dać się wciągnąć. To, że Cornelius znał biografię Vermeera, nie czyniło jego obrazu autentycznym.

— Mógł zostać później sprzedany jako de Hooch, którego prace były wówczas bardziej chodliwe. Albo dorzucono go jako *puyJe*, darmowy upominek, do kolekcji de Hooche'ów czy van der Werffów, albo znalazł się na licytacji majątku Pietera Tiammensa z Groningen.

Przestałem za nim nadążać. Jaki człowiek zna takie szczegóły?

— Dokumenty mówią tylko o „aukcji ciekawych obrazów wybitnych mistrzów, takich jak J. van der Meer, które znajdowały się poza stolicą”. Jest mnóstwo możliwości.

Słowa wylewały się z niego potokiem. Nauczyciel matematyki! Niewiarygodne.

Zręcznie pomijał jednak kwestię, jak jego ojciec wszedł w posiadanie obrazu. Nie znałem go na tyle dobrze, by wypadało mi się dopytywać. A nie wiedząc tego, co tak starannie ukrywał, nie mogłem uwierzyć w autentyczność obrazu. Dopiłem brandy i grzecznie się pożegnałem, myśląc: „Co z tego, że to nie Vermeer? Obraz jest przepiękny. Niech facet się nim cieszy”.

Jego ojciec. Nosił pewnie to samo nazwisko. Engelbrecht. Niemieckie nazwisko.

Dlaczego tak mu zależało, abym się z nim zgodził? Na szali musiały się ważyć jakieś wielkie rzeczy.

Jadąc do domu, próbowałem puścić to wszystko w niepamięć, lecz nie mogłem zapomnieć twarzy dziewczyny.

Pogrzeb Merrilla poprzedniego dnia wprowadził Corneliusa w zadumę. Myślał jednak nie o Merrillu, lecz o nieprzewidywalności ludzkiego końca i o tym, co pozostaje nie wybaczone. I o swoim ojcu. Śnieg przykrył również trumnę ojca — pojedyncze płatki, które się łączyły, gromadziły, aż trumna zaczęła przypominać biały puchaty bochen. Słowa pastora o kanciastej szczęce: „Trzeba zauważać miarę człowieka”, były jedynymi, jakie zapamiętał z pogrzebu Merrilla.

Cornelius musiał przyznać, że w czasach jego dzieciństwa, spędzonego w Duisburgu, nieopodal granicy holenderskiej, Otto Engelbrecht był dobrym ojcem, często surowym, a potem nagle czułym. W to samotne niedzielne popołudnie, kiedy śnieg wciąż łagodnie sypał, Cornelius, czytający w wielkim skórzanym fotelu, podniósł głowę znad książki i spróbował przywołać swoje najwcześniejsze wspomnienie o ojcu. Może był to podarunek małego drewnianego wiatraka przywiezionego z Holandii. Wiatrak miał pomalowane na niebiesko skrzydła, które się obracały, i małe czerwone drzwiczki bez jednego zawiasu odsłaniające filigranową drewnianą rodzinę w środku.

Pamiętał, jak ojciec spędzał z nim, jedynakiem, niedzielne popołudnia — zabierał go do zoo w Dusseldorfie, dawał mu lekcje gry na trąbce, woził go po okolicy na sankach, a kiedy Cornelius zmarzł, otulał jego małą dłoń swoją i chował do kieszeni. Wykładał mu szachowe strategie i kazał uczyć się ich na pamięć, objaśniał w jakimś holenderskim muzeum udręczone niebo van Gogha i geniusz twarzy Rembrandta, a kiedy, zgodnie z dewizą ojca, że z okazji należy korzystać, wyjechali do Ameryki, wziął go na mecz Jankeesów na ich nowojorskim stadionie. Cornelius widział teraz w tych faktach jedynie dobre intencje połatanego życia.

Później, w Filadelfii, żenowała go nerwowość ojca, ilekroć przyprowadził do domu kolegę ze szkoły, i tylko mgliście rozumiał jego mroczne polecenie: „Jeśli będą cię pytać, odpowiadaj, że jesteśmy Szwajcarami, i nie mów nic więcej”. Gdy zaczął przyprowadzać do domu kolegów z college'u, ojciec ze złośliwą satysfakcją skapca ukrył obraz w gabinecie i założył na drzwiach zamek. Jego pełna samozadowolenia poza, w jakiej oglądał obraz — ręce

splecione za plecami, kołysanie się na palcach i piętach — przez jakiś czas przyprawiała Corneliusa o mdłości.

Po śmierci matki ojciec, nie pracujący już i niespokojny, zajął się jej ogrodem. Cornelius przypominał sobie teraz gorliwe pochylenie jego ramion, gdy się zginał, aby wyrwać każdy nieposłuszny chwast, jaki wykiełkował między grządkami kalafiorów i kapusty. Czy musiał być tak nieustępliwy? Nie mógł pozwolić rosnąć choć jednemu i powiedzieć: „Nie wiem, jak go przegapiłem”. Radośnie sadił, podlewał, obdarowywał sąsiadów torbami warzyw.

— Jakie cudowne pomidory — zachwyciła się jedna kobieta.

— Nie dostanie się dziś przyzwoitych pomidorów w supermarkecie.

Z uśmiechem dołożył jej do torby jeszcze kilka.

— Mieliśmy taki ogród zwycięstwa w czasie wojny — powiedziała i Cornelius spostrzegł, że ojciec się wzdrygnął.

Czy to luger ojca, wyolbrzymiały w jego wspomnieniach, spadł na rękę jakiejś kobiety sięgającej po bułkę, gdy wypędzano ją z jej własnej kuchni?

Granice między pamięcią i wyobraźnią zatarły lata gorączkowych rozmyślań, przerażającej lektury — jedna książka za drugą, pożerane z zachłannością drapieżnika, monografie, osobiste relacje, dzienniki, dokumenty, powieści wojenne — i Cornelius nie był już pewien, co przeczytał, a co podsłuchał, kiedy jego ojciec, porucznik Otto Engelbrecht, opowiadał stryjowi Friederichowi o Łapance Dwóch Tysięcy w dniu 6 sierpnia 1942 roku, który przeszedł do historii jako Czarny Czwartek.

Od zmierzchu do północy wywlekali ich z domów, ponieważ, pisali historycy, zbyt mało Żydów wezwanych do

deportacji zgłaszało się na dworzec, a pociąg do Westerborka¹ należało zapełnić. W połowie sierpnia przenieśli się do południowego Amsterdamu, zamożniejszej dzielnicy. I we wrześniu nadal to robili, nadal zabierali ich na Zentralstelle przy placu van Scheltemy.

Jak taśma montażowa w fabryce w Duisburgu" — dobiegł go skądś głos ojca.

Reszta była gmatwaniną drukowanego i żywego słowa, powiększoną przez działanie jego wyobraźni. Ponownie odtworzył w myślach owo duisburskie wspomnienie, jak wymyka się z łóżka na dół i podsłuchuje opowiadaną przez ojca historię, której, jako dziesięciolatek, wówczas nie rozumiał. Tym razem zainscenizował to tak, jakby ojciec, trochę pijany i spuchnięty z dumy, bo po wielu przegranych wreszcie dał Friederichowi mata, zwierzył się bratu ze spraw, o których w rodzinnym gronie można jeszcze było rozmawiać bezpiecznie.

— Musisz dostrzegać okazje i natychmiast z nich korzystać. Tak się to robi. Albo, jeśli szybkie posunięcie nie jest wskazane, ułóż sobie plan. Jak z tym obrazem. Kiedy mój adiutant wypatrzył w jadalni jakichś Żydów srebrny serwis do herbaty, sięgnął po niego. Niewłaściwy moment. Musiałem go powstrzymać. Własność Fiihrera.

Cornelius czytał o tym: nazajutrz po łapankach ciężarówka Puls objeżdżała ulicę po ulicy, grabiąc bezpański żydowski dobytek dla *Hausraterfassung*, Urzędu Rekwizycji Ruchomości.

— Wtedy zobaczyłem ten obraz, wisiał za jego głową. Same błękity i żółcienie, i rudawy brąz, przejrzyste jak lakier. Musiał to być jakiś holenderski mistrz. W tym momencie szeregowiec znalazł za talerzami w kredensie małego chłopca przykrytego obrusem. Omal go nie przegapi-

liśmy. Mój adiutant rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie, że mogłem być taki nieuważny. Gdybym dał mu pretekst — na przykład go objechał albo wziął obraz — mógłby nawet o tym zameldować.

Cornelius nie wiedział już, czy dalsze słowa ojca, dźwięczące w jego głowie wraz z brzękiem tłuczonych talerzy, podsuwa mu pamięć czy nabrzmiała wyobraźnia.

— Więc kopnąłem smarkacza w ten brudny żydowski tyłek. Ale zapamiętałem numer domu.

Co zdarzyło się potem, nietrudno było odgadnąć. Kiedy tylko dostarczyli swój kontyngent, o pierwszej czy drugiej w nocy, podczas gdy inni Żydzi wciąż leżeli nieruchomo w swych kryjówkach i na ulicach panowała śmiertelna cisza, ojciec wrócił po obraz. Zastał go na miejscu, gdzie wisiał wbrew dekretowi 58/42, cytowanemu w wielu książkach historycznych: wszystkie żydowskie kolekcje sztuki miały zostać zdeponowane w banku Lippmanna i Rosenthala. Ale to nie była kolekcja, tylko pojedynczy obraz, pozostawiony na ścianie z zuchwalstwa lub nieświadomości. Co mógł pomyśleć ojciec? Że dlatego ma prawo go zabrać? Cornelius znów usłyszał jego głos dolatujący z dalekiej przeszłości:

— Kiedy tam wróciłem, serwisu już nie było. Dręczony tymi samymi wizjami, które, jak sądził, jak

miał nadzieję, dręczyły ojca, Cornelius nie mógł spać po nocach, a kiedy usnął, śniły mu się orgie plądrowania, nie wybrane do wywózki matki rozstrzeliwane pod ścianą, ból nie związany z grzechem, dym przepływający przez parkany i zasnuwający okna chrześcijańskich domów, dziecięce zęby niczym spalone perły. Napędzany wyobraźnią, czytał jak fanatyk na dwa tematy: sztuka holenderska i niemiecka okupacja Niderlandów. Tylko jeden z nich

sprawił mu przyjemność. Tylko jeden mógł rozwiać obraz czapki, butów i lugera ojca.

Z potrzeby wiedzy wybrał się pewnego lata do Amsterdamu. Ominął plac van Scheltemy, poszedł prosto do Rijks-museum, z zapartym tchem przestudiował dzieła Vermeera i w jedno rozkoszne popołudnie nabrał przekonania, że jego rodzinny skarb jest autentyczny, zobaczywszy, jak położone impastowo cienkie warstwy farby tworzą światło i cień na błękitnym rękawie damy czytającej list, tak samo jak na rękawie szyjącej dziewczyny. Kilka dni później pojechał do Hagi. W Królewskiej Galerii Malarstwa w Mauritshuis ujrzał lśniące plamki różowobiałego światła w kącikach otwartych ust i w oczach dziewczyny z perłą, takie same jak u jego szwaczki. W zatęchłych salach archiwów miejskich Delft, Amsterdamu, Lejdy i Groningen przedzierał się przez stare dokumenty i inwentarze aukcyjne. Znalazł jedynie możliwości, nie dowody. Ale dowody widział w muzeach — podobieństwa były niewątpliwe. Wrócił do domu, hołubiąc swoje przekonanie jak skradziony klejnot.

— Tak. Tak — powiedział ojcu.

Jego twarz rozjaśnił powolny uśmiech.

— Wiedziałem.

Wspólnie obejrzelili każdy centymetr kwadratowy obrazu, na nowo uwiedzeni jego urokiem, ale ten zachwyt nie wystarczył, by zagłuszyć prawdę, której Cornelius nie mógł już dłużej zaprzeczać: jeżeli obraz był prawdziwy, prawdziwa była też *potworność* ojcowskiego rabunku. Nie mógł pozyskać płótna w inny sposób. Po śmierci Friede-ncha i matki tylko oni dwaj na świecie wiedzieli, i ta wiedza oraz bliźniaczość sennych wizji związały ich, czy tego chcieli czy nie, podwójną więzią.

Cornelius próbował powiedzieć komuś jeszcze, swojej byłej żonie, która roześmiała się, gdy oświadczył, że to Vermeer. Roześmiała się i spytała, jak jego ojciec go zdobył, a on nie mógł wyznać prawdy, i jej śmiech jeszcze długo dzwonił mu w uszach. Twierdziła, że potem stał się wobec niej oziębły, i nim minął rok, odeszła, zarzucając mu, że kocha przedmioty bardziej niż ludzi. Myśl, że to oskarżenie jest słuszne, dołączyła do prześladowających go obsesji.

Kiedy ojciec dostał wylewu i za pieniądze ze sprzedaży takiego obrazu można by go było wygodnie urządzić w domu opieki, Cornelius bił się z myślami. Nawet jedna wizyta u jakiegoś marszanda mogłaby sprowadzić pod drzwi ojca izraelskich agentów z bronią, nakazem ekstradycji, sprawnie wynegocjowanym przez działający na całym świecie Żydowski Ośrodek Dokumentacji, i biletem lotniczym w jedną stronę do Jerozolimy, ufundowanym przez Mossad. Wytropiono już ponad tysiąc jemu podobnych, nie tylko komisarzy Rzeszy czy komendantów SS, więc Cornelius zamieszkał z ojcem, by się nim opiekować.

Wreszcie, kiedy już nie mógł wypychać go na wózek, świeżo wykapanego i ogolonego, do ogrodu na popołudniowe słońce, kiedy ból chwytał go mimo morfiny, ojciec mamrotał zdania po niemiecku, w języku, który porzucił. W pokoju przesiąkniętym kwaśnym zapachem umierania, zapachem, który rozpoznawali obaj, Otto wyszeptał:

— Przynieś obraz.

Kiedy obaj wiedzieli, że koniec jest bliski, Cornelius usłyszał słaby głos:

— Zaciągnąłem się tylko dlatego, że miałem okazję zawrzeć dozgonne przyjaźnie z ludźmi, którzy pieli się do góry.

Cornelius prychnął i włożył kruszony lód między spękane wargi ojca.

— Widziałem tylko pociągi. Nie miałem o niczym pojęcia.

Wytarł chusteczką strużkę spływającą po podbródku ojca i czekał, aby głos, zawieszony w wahaniu, znów się odezwał.

— Byliśmy tylko spedytorami. Przesyłaliśmy ich z jednego adresu pod drugi. Co się działo w miejscu przeznaczenia, nie było moją sprawą.

Tak. Oczywiście. Do pociągów proszę tędy. Ostrożnie, proszę pani. Patrzymy pod nogi. Cornelius przyglądał się obojętnie, jak po czole ojca pełźnie ból. Czym zasłużył na to, by żyć tak długo?

— Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zakwestionować rozkaz lub go nie wykonać.

Właśnie.

Jak liniejący wąż, myślał Cornelius, ojciec czyni żalosne wysiłki, by zrzucić skórę grzechu i w porę odsłonić szpik swojej niewinności. Ostatniego ranka, gdy za oknem gęstniała szara zimowa mgła, wyszła jednak na jaw istota jego żalu:

— Nie dosłużyłem się wysokiego stopnia.

To pozwoliło Corneliusowi pochować go tanim kosztem. Bez zawiadamiania kogokolwiek. Nie było to okrucieństwo, mówił sobie. Skromność ceremonii miała pozbawić świat triumfu, ale właśnie przez jej prywatność ów plan zawiódł. Cornelius zrobił, co w jego mocy, to znaczy, kiedy ojciec jeszcze żył, zrobił, co mógł, na co był w stanie się zdobyć. Nikt nie mógłby powiedzieć, że nie. Siedząc samotnie w tym samym gabinecie, w ojcowskim fotelu, którego skóra miała dłań teraz kolor nie śliwki,

lecz siniaków, przeczytał testament. Zmuszał oczy, aby rejestrowały każdą liniijką i nie pobiegły w dół strony, do tego, co musiał zobaczyć: że „obraz młodej dziewczyny szyjącej pod oknem” jest jego.

Teraz, na dobre czy na złe, Vermeer wisiał na ścianie. Wyczuwał jego obecność, ilekroć wchodził do pokoju.

W to spokojne niedzielne popołudnie, wiele lat po cichym pogrzebie ojca i nazajutrz po pogrzebie Merrilla, Cornelius siedział w tym samym gabinecie, teraz należącym do niego, i czytał akta procesu Eichmanna, pijąc kawę z rumem. Za oknem śnieg rozpląszczał dawny ogród ojca, a na drugim końcu miasta przygniatał świeży grób dziekana Merrilla. Cornelius podniósł głowę, zobaczył życie w oczach dziewczyny i zapragnął — nie, zatęsknił, aby ktoś, Richard, ktokolwiek, cieszył się obrazem razem z nim. Nie, nie ktokolwiek. Richard był niegroźny. Znał się na sztuce, ale nie znał ludzi, którzy sztuką handlują. Z jakiegoś omszałego zakątka w jego wnętrzu zagrzmiała stara szalona potrzeba, by zawołać: „Spójrz na to zdumiewające dzieło. Spójrz na tego Vermeera. Na kolanach podziwiał wielkość”.

Z ojcem przynajmniej miał to. Kiedyś, przed wielu laty, ojciec zadzwonił do niego przez międzymiastową, bo odkrył w słupku okna włókno, które uznał za włos z pędzla. Włos z pędzla Vermeera! Powinien był go pokazać Richardowi. Aby rozwiązać jego wątpliwości. Kiedy Richard uwierzy, będzie miał dość pasji, by cieszyć się obrazem tak jak ojciec.

Spojrzał do książki i jego wzrok przykuła wypowiedź sędziego Eichmanna: „Proces eksterminacji był jedną całościową operacją i nie można go dzielić na czyny jednostek”. Nie. Nie zgadzał się z tym. Pomyślał o pozbawio-

nym imienia i grobu małym chłopcu, którego wykopano za drzwi, który być może bawił się drewnianą zabawką ostatniego ranka swej wolności.

Czy drewniany wiatrak też został zarekwirowany? Czy był „okazyjną” pamiątką wyniesioną z jakiegoś nieszczęsnego żydowskiego domu, choć nie miał jednego zawiasu? Wyobraził sobie ojca w szklanej kabinie, przesłuchiwanego: „Czy nie zabrał pan tego wiatraka z domu przy Rijnstraat 72, włamawszy się tam w nocy 3 września 1942 roku?” W trzecie urodziny Corneliusa.

Czy tego chciał czy nie, obraz nie należał do niego.

Odprawiłby pokutę za ojca, gdyby sam przestał się nim cieszyć. Podarł gazetę na paski, rozrzucił je zmięte w palenisku. Potem dołożył szczapki, potem ćwiartki polan. Otwór kominka był w sam raz szeroki. Poczuł ulgę, że obraz nie jest większy; szkoda by było pokaleczyć go żyletką.

Wstał, aby zdjąć obraz ze ściany. Tego ostatniego popołudnia pozwolił sobie na luksus, na który nie pozwolił sobie nigdy przedtem. Dotknął jej policzka. Przebiegi go dreszcz, gdy pęknięcia starości przesunęły się pod opuszkami jego palców. Pogładził jej szyję i zdziwił się, że nie wyczuwa tasiemki zwisającej z czepka. Potem ramię i był zdumiony, że nie czuje jego krągłości. Prawie nie miała biustu. Zwilżył wargi, nagle wyschnięte, dotknął jej również tam, bardziej delikatnie, tylko dwoma palcami, i poczuł, że zalewa go wielka fala zawstydzenia i litości, jak wtedy, gdy spojrzył się przez drzwi szpitalnej sali na częściowo nagą osobę.

Tam, gdzie jej spódnica się marszczyła, wyczuł żłobienia, które pozostawił pędzel Jana. Johanna. Nie. Jana. Tylko to znajome imię było odpowiednie w takiej chwili.

Pędzel Jana. Pomyślał, że może jego palce są zbyt szorstkie, aby wyczuć Janowe mistrzostwo. Poszedł do łazienki, ogolił się nową żyletką, starannie wytarł twarz i wróciwszy do gabinetu, przyłożył policzek do jej sukni. Zimno płótna przeszło go jak nóż. Nie miał prawa tego robić.

Położył obraz na dywanie i rozpałił ogień. Klęcząc, czekając, aż płomienie strzelą mocniej, wyobraził sobie, jak będą pełzły w stronę bladobłękitnej perły jej oka. Spokojna intensywność jej tęsknego spojrzenia powstrzymała jego rękę na kolejną chwilę.

Jeśli odwróci obraz, może będzie w stanie to zrobić.

Jakiż to akt egoizmu, pomyślał, zniszczyć dla osobistego spokoju coś, co prawowicie należy do wszystkich ludzi, fragment mozaiki światowej sztuki. Byłby to czyn równie okrutny jak czyny jego ojca.

Nie. Nic nie może być równie okrutne. Chodziło nie tylko o ojcowski szaber — bezpieczne złodziejstwo za linią frontu — nie tylko o to, że wywlekał ich z domów, chodziło o całą tę splecioną sieć. W aktach procesu Eichmanna przeczytał: „Prawna odpowiedzialność tych, którzy prowadzą ofiarę na śmierć, jest w naszych oczach nie mniejsza od odpowiedzialności tych, którzy ofiarę zabijają”, i zgadzał się z tym.

Kiedy tak czekał na pełnię ognia, przyszło mu do głowy, że jeśli obraz nie jest prawdziwym Vermeerem — nie miał przecież niezbitego dowodu — chyba może to zrobić. Może spalić płótno, zakończyć całą tę żalosną historię, aby nie strzepić sobie nerwów.

Z drugiej strony, jeśli obraz nie był autentyczny, ogrom zbrodni malał. Czemu nie miałby się nim cieszyć? Nadal był znakomity. Znów spojrzał na miodowy profil dziew-

czyny, nie naznaczony jeszcze okrucieństwem ni mądrością. Szyja wilgotna od ciepła słońca spływającego przez okno. Woskowy bezruch jej dłoni. Tak znakomity, że obraz musiał być Vermeerem. Postawiłby na to swą samotność. Patrząc na dziewczynę, pomyślał, jakie to niesprawiedliwe, że nigdy nie będzie znana jako dzieło Vermeera. Musi skłonić Richarda, aby przyznał, że to Vermeer, a potem to zrobi, innego dnia. Obiecuje.

Choć jego obrazy przetrwały, sam Vermeer znajdował się wśród martwych. Jak jego ojciec i ten żydowski chłopiec. Życie Comeliusa, jak ich życie, jak życie Merrilla, było odmierzone. Nie będzie żył wiecznie. Musiał wiedzieć, że te lata ciasnego, samotnego niepokoju były konieczne. Tak bardzo się pilnował: nie pozwalał sobie na posiadanie bliskich przyjaciół, których wypadałoby zapraszać do domu; uczył matematyki, którą lubił mniej, zamiast historii, z powodu tego, o czym musiałby mówić; starał się zachowywać identycznie jak ludzie rozmaitych ras i religii; tłumił w sobie wszystko, co mogłoby zostać uznane za okrutne, surowe czy niemieckie — a teraz ta pałaca potrzeba groziła rozbiciem skorupy jego skrupulatnie skonstruowanego ja. Jedyne, czego pragnął: by mu uwierzono, kłóciło się z tym, czego się najbardziej lękał: że zostanie związany poprzez krew z najwyższym okrucieństwem tego stulecia. Teraz, gdy ojciec nie żył, dla czystej przyjemności rozkoszowania się wspólnie z drugim człowiekiem świetlistością jej oka, musiałby się narazić na zdemaskowanie. Jeden dzień rozkoszy, a potem się uwolni. Obiecuje.

Ale Richard nie wierzył. Poprzedniego wieczoru wyszedł, mówiąc: „Czy to naprawdę Vermeer czy nie, jest to cudowny obraz”. Cudowny obraz, cudowny obraz. To za

mało. W tym mieście były setki cudownych obrazów. To jest Vermeer. Tylko przyznanie tego przez Richarda mogło go zadowolić. Musiał znaleźć autentyczne uzasadnienie swojego sposobu życia. Możliwość, że cierpiał dla falsyfikatu, była jak głos, który mógł obudzić go ze snu, ale ten sen trzymał mocno, jak trzyma przebudzone, płaczące dziecko, i Cornelius nie chciał się go wyrzec.

Richard podziwiał obraz. Może był tylko o włos, o włos z pędzla, od uwierzenia. Myśl, że mógłby dzielić tę rozkosz z osobą, która się nie roześmieje, była upajająca. Dlaczego nie zrobił tego wcześniej? Zmarnował tyle lat jak skąpiec, chroniąc ojca, który nie ochronił nikogo. Chciał czegoś więcej. Po raz pierwszy wyobraził sobie, że opowiada wszystko, tę historię i jaką rolę odegrał w niej ojciec, aby Richard uwierzył, opowiada z płonącymi oczyma tu, przed obrazem, i nie umiera. Nie umiera ze wstydu.

Powtarzał te słowa — „Nie umrę” — a drewno w kominku spaliło się na węgiel.

Obraz połączył mnie z Cornelusem osobliwą więzią, nieodpartą, lecz w jakimś sensie nieprawą, toteż kiedy widywałem go rankami w szkolnym sekretariacie, wspomnienie jego perwersyjnej nieustępliwości owego dziwnego, zagadkowego wieczoru nadal mnie niepokoiło. Czułem, że pociągnął mnie za rękaw i rozkazał podążać za sobą w niebezpieczne morze osądu, morze, które mogło zalać również mnie.

Porozumiewaliśmy się szyfrem. Pewnego dnia spytałem, nie, żeby go sprowokować, była to dla mnie kwestia czysto estetyczna:

Czy mniej by ci się podobał, gdybyś się dowiedział, że nie jest autentyczny?

— On jest autentyczny. Tak, ale gdyby nie był?

— Nie muszę się nad tym zastanawiać. Ja wiem.

Irytowała mnie jego pyszna pewność.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nie umie znaleźć sobie miejsca na tym świecie, i wiedziałem, że ma to coś wspólnego z obrazem. Trochę poczytałem, porozmawiałem ze znajomym historykiem sztuki i w pewne piątkowe popołudnie na szkolnym parkingu zagadnąłem go:

— Wiedziałeś, że holenderski malarz, niejaki van Meegeren, sfałszował kilka Vermeerów w latach trzydziestych? — Cornelius zamarł przy swoim samochodzie. — Tak dobrze, że nabrał znawców sztuki i muzealników?

— Tak, byłem tego świadom. Wyprostował się sztywno.

— A wiesz, w jaki sposób wyszło to na jaw? Sprzedał jeden temu hitlerowcowi Góringowi i rząd holenderski aresztował go za zdradę stanu — kolaborację z wrogiem, wypuszczenie holenderskiego mistrza z kraju, w ręce Reichstagu. Wtedy się przyznał.

Cornelius spuścił oczy na zamek, w który usiłował trafić drżącą ręką. Po tym drzeniu poznałem, że niechcący na coś natrafiłem. Może od początku wiedział, że to tylko van Meegeren, i chciał zrobić ze mnie durnia albo sprzedać mi obraz za wyśrubowaną cenę. Przyjacielowi mógłbym to darować, ale byliśmy jedynie kolegami, oddanymi jako matematyk i artysta, prawdzie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym go jeszcze raz zobaczyć — powiedziałem.

— Kiedy zechcesz — odparł, z całą serdecznością, i zaczął wsiadać do auta.

— Może teraz?

Na chwilę znieruchomiał, jakby zbierał się w sobie.

— Nie ma jak chwila obecna.

W świetle dziennym obraz był jeszcze wspanialszy, niż pamiętałem. Opadłem na fotel jak w transie. Połysk szklanki mleka, lśniącej niczym powierzchnia perły, przekonał mnie, że nie jest to dzieło fałszerza, ale wcześniejsze napuszenie Corneliusa sprawiło, że zaciąłem się w uporze.

Teraz nic z tej pychy nie zostało. Widziałem jedynie intensywną przyjemność obcowania z obrazem. Wpatrywał się w niego z czułością, której nie dostrzegłem poprzednio, gdy sypał faktami. Jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek kochał dzieło sztuki, to właśnie Cornelius. Jego twarz promieniała uwielbieniem pielgrzyma dla wizerunku Boga.

— Chciałbym uwierzyć. Nie chodzi mi o to, żeby zabić twoją wiarę. Ale pozostaje jedno istotne pytanie.

— Jakie?

— Corneliusie, jesteśmy obaj nauczycielami. Nie mieliśmy ojców milionerów. Jeśli mi nie powiesz, w jaki sposób twój ojciec go zdobył, nie wiem, jak mógłbym...

Blask odpłynął z jego twarzy.

Dając mu czas do namysłu, upiłem łyk piwa, które mi przyniósł. On skończył swoje jednym długim, powolnym haustem i odstawił butelkę, lecz nie wypuścił jej z ręki, jakby potrzebował kotwicy. Czekałem.

— Dorastałem w Duisburgu, niedaleko granicy holenderskiej... — zaczął i mówiąc dalej o swym dzieciństwie, nie spuszczał wzroku z dziewczyny, jakby czerpał siłę z jej spokoju — ...już tutaj, kiedy zlałem się potem na lek-

cji historii w liceum, zapytałem go, mimo solennych przestróg matki, żebym nigdy o to nie pytał: „Co robiłeś w czasie wojny, tato?” „Pracowałem w Amsterdamie” — to wszystko, co powiedział. Jakby to była praca. „Tak, ale co robiłeś? — naciskałem. — Mam prawo wiedzieć”. Znieruchomiał po koniuszki palców, jakby poczuł pierwsze wstrząsy trzęsienia ziemi. „Dostarczałem ich do pociągów” — odrzekł. Cornelius odwrócił się do mnie.

— Zabrał mnie na mecz Jankesów. Grzał moją dłoń w swojej kieszeni. Sadził żonkile dla mojej matki. Gdybym potrafił płakać, gdyby mnie tego nie oduczył... po tym nie był już dla mnie tą samą osobą.

Oczy Corneliusa, gdy opowiadał mi o chłopcu w kredensie, stały się matowe jak stopione szkło, a jego głos brzmiał twardo, gdy mówił o skradzionym serwisie. Kiedy powiedział, że próbował spalić obraz, jego ciałem wstrząsnął dreszcz i osunął się na biurko, wyczerpany.

Było to gorsze, sto razy gorsze, niż sądziłem. Że chciał zniszczyć obraz, ledwo mogłem uwierzyć. Że uznałby to za akt odkupienia, było odrażające. Z przykrością stwierdziłem, że nie potrafię się zdobyć na wielkoduszność ani wyrozumiałość dla tego człowieka, mimo jego cierpienia.

Kurczowo trzymając się biurka obydwoma rękami, nachylił się do mnie. Jego czoło ponad haczykiem nosa było zryte bruzdami uderzeń.

— Nie powiesz innym w szkole, prawda? Bo widzisz, teraz kiedy... kiedy jeszcze ktoś wierzy, że jest autentyczny, było warto, nie uważasz?

Jego górna warga ohydnie drżała, jakby pociągana jakąś nicią. Zrozumiałem, dlaczego mnie wybrał. Sądził, że

artysta może usprawiedliwić, z podziwu dla dzieła, a jeśli usprawiedliwią, obraz ocaleje.

— Co się stało z tym chłopcem?

Jąkał się przez chwilę, nie umiejąc włożyć w słowa tego, co obaj wiedzieliśmy.

— Parafrazując pewną starą maksymą, Corneliusie, oko za oko, spalenie za spalenie.

Zostawiłem go tak zgarbionego, jeszcze raz, wiedziałem, że ostatni, spojrzałem na obraz i wyszedłem jak najszybciej. Biedny głupiec, zmarnował życie dla kawałka płótna wymazanego mieszanką pigmentów, dla podróbki, musiałem sobie powiedzieć, zwykłej ciekawostki.

Ale kiedy zrobi to, co miał zrobić, jak spojrzy mi w oczy, jak ja spojrzę w oczy jemu w poniedziałek rano, nie wiedziałem.

NOC RÓŻNA OD WSZYSTKICH INNYCH NOCY

Poprzedniego dnia Hannah Wedenburg i jej młodszy brat Tobias przyglądali się, jak ich ojciec wypuszcza gołębie swego wspólnika, aby wróciły do domu do Antwerpii. Po jednym, z przerwami dla bezpieczeństwa, juwalniał je z kojca na strychu, kiedy ranek był jeszcze mglisty, aby żaden przechodzący żandarm nie mógł dojrzeć numeru domu. Dekret zabraniający amsterdamskim Żydom trzymania gołębi — własnych czy cudzych — obowiązywał już osiem miesięcy i Hannah wiedziała, że łamanie go staje się zbyt niebezpieczne. A tak późno zanosząc ptaki na niemiecki komisariat, co nakazywał dekret, zostaliby ukarani.

— Szybko, Hannah, zanim przyjdzie Tobias — powiedział ojciec i podał jej kartkę i ołówek rękami zbyt drżącymi, aby sam mógł pisać. — Pisz. Małymi literami. — Mieliby umieścić tę wiadomość w maleńkiej puszcze na nodze ostatniego ptaka. — „Zabij moje gołębie” — szeptał, robiąc przerwy między zdaniami. — „Nie mogę oczekiwać, że będziesz je karmił przez cały ten czas. Nie narażaj się i nie wypuszczaj ich, ale pozwól im się najpierw dobrze najeść. Leo, ten ze skrzydłami o fioletowych brzegach, uwielbia soczewicę. Henrietta, samiczka z niebieskimi prążkami, lubi, jak się jej masuje łebek. To ostatnia wiadomość, póki się to nie skończy, jak Bóg da. Czujemy się dobrze. Uważaj na siebie”.

Ostatnia wiadomość! Wciskając na małą karteczkę końcowe trzy słowa, Hannah poczuła gorączkowy trzepot w klatce piersiowej.

— Mam podpisać twoim imieniem?

- Nie.

Złożyła kartkę w chwili, gdy Tobias w piżamie wszedł po drabinie na strych.

Ojciec kolejno wyjmował gołębie z kojca, przytrzymywał je delikatnie, aby Tobias mógł ostatni raz pogłaskać ulubieńców, składał dłonie pod ich piersiami i wyrzucał ramiona w górę, aby wzleciały w powietrze. Podała mu złożoną wiadomość, którą wsunął do puszki ostatniego ptaka. Patrzyła, jak całuje go w łebek, krótko, z zamkniętymi oczami, a potem wypuścił ostatniego gołębia w niebo.

Przyglądała się tym ostatnim swobodnym ruchom skrzydeł, kiedy ptak wznosił się nad spiczastymi dachami, lecąc do swego domu w Antwerpii. Ucieczka, która nie była żadną ucieczką. Antwerpia, Amsterdam — co za różnica?

Nazajutrz, wracając do domu ze szkoły, zobaczyła, jak Henrietta, Leo i ich dwa pozostałe ptaki wlatują pod dach i dziobią dookoła, próbując się dostać do swojego gołębnika. Poczuła, że oddech uchodzi z niej i zostawia tylko czerń: wiadomość dotarła za późno. Wspólnik ojca wysłał już gołębie jej rodziny. Wbiegła do domu, wspięła się po drabinie i wpuściła je do kojca. Wiadomości, które przyniosły, mówiły o przejęciu przez Niemców handlu diamentami w Antwerpii. Kiedy zdejmowała puszki, zimno rozeszło się od jej palców aż do gardła. Natychmiast zrozumiała, co trzeba będzie zrobić. Była to tylko kwestia czasu. Jak szybko Tobias też to pojmie?

Tego wieczoru stała na drabinie i zaglądała do gołębnika podczas gdy ojciec, siedząc po turecku na podłodze, gruchał do swoich ptaków i do Tobiasa.

— Leo. Leo. Co za ptak. Mógł przenieść w puszcze dwu-karatowy kamień i nawet nie czuł ciężaru. Zapamiętaj tę wierność, Toby.

Wtedy łzy napłynęły jej do oczu i ścisnęła najwyższy szczebel drabiny, aby nie rozplakać się głośno. Te słowa mogły zdradzić Tobiasowi, co muszą zrobić. Nie kazano by mu pamiętać Lea, gdyby Leo mógł żyć. Spostrzegła, że brat patrzy badawczo na twarz ojca. Potem wrócił do głaskania szarych piór na piersiach gołębi, karmienia ich jęczmieniem z ręki. Ale nie chichotał jak zwykle, gdy łaskotały go różowe pazurki Lea. Po cichu zeszła na dół.

Jaka szkoda, że nie mogli ich po prostu wypuścić. Byłoby stosownie zrobić to w święto Pesach, pomyślała, lecz wolność oszołomiłaby gołębie, a poza tym nie znalazłyby w południowym Amsterdamie nic do jedzenia. Dziobałyby tylko po dachu, chcąc wrócić do gołębnika. Byłoby oczywiste, że to ich dom.

Następnego ranka przy śniadaniu zapytała:

— Zrobimy to dzisiaj?

— Wkrótce.

Ojciec łagodnie położył swą dużą dłoń na tyle jej głowy.

Cały dom czekał z zapartym tchem na zbliżającą się wigilię Pesach, noc różną od wszystkich innych nocy¹. Matka i babka Hildę wymyły już kuchenne szarki, spiżarnie., piecyk i lodówkę, a teraz porządkowały półki w kredensie i chowały srebrny serwis do herbaty, aby zrobić na górze miejsce dla świątecznej porcelany. Hannah siedziała i patrzyła na wiszący nad kredensem obraz. Przedstawiał dziewczynę w jej wieku, wyglądającą przez okno

podczas szycia. Sposób, w jaki pochylała się do przodu, czymś pochłonięta, i tęsknota w jej oczach, za każdym razem rzucały na nią urok. W tym momencie dziewczyna nie pracowała. Jej ręce były próżne, nie przyszyte guziki leżały na stole jak płaskie perły, ponieważ to, co działo się w jej głowie, było ważniejsze. Hannah to rozumiała.

Ojciec kupił ten obraz podczas ich wspólnej wyprawy, kilka lat wcześniej, w 1940 roku, tuż przed jej jedenastymi urodzinami. Chodził na zebrania Comite voor Jood-sche Vluchtelingen, żydowskich uchodźców z Niemiec, do Rotterdam Cafe obok Giełdy Diamentów, i wziął ją ze sobą na aukcję, na którą amsterdamskie rodziny ofiarowały obrazy, wazony, biżuterię i wschodnie dywany, aby zdobyć pieniądze na pomoc dla uciekinierów. Było istotne, wyjaśnił jej ojciec, aby rząd nie ponosił kosztów utrzymania żydowskiej biedoty. Kiedy wystawiono ten obraz, zaparło jej dech. Twarz namalowanej dziewczyny niemal się skrzyła, jej niebieskie oczy, policzki, kąciaki ust były samą jasnością i blaskiem, bijące od niej światło zdawało się padać aż na Hannah. Wyglądała bardziej realnie niż ludzie w sali.

Kiedy ojciec podbił stawkę, zdumiona wstrzymała oddech. Podbił stawkę ponownie. Gdy cena przewyższyła dwieście guldenów, chwycił ją za rękę; gdy przekroczyła trzysta, odwzajemniła uścisk. Im wyżej licytował, tym mocniej go ścisnęła, a kiedy opadł młotek, wykrzyknęła: „Tato!” i nie puściła jego dłoni przez całą drogę do domu. Kupując obraz, jakby ją uhonorował, i poczuła się ważna.

Gdy weszli z obrazem, wciąż zapakowanym, do domu, matka wstała i przez chwilę przenosiła wzrok z Hannah

na ojca, jakby czuła, że stało się coś istotnego. Hannah pamiętała, że kręciło jej się w głowie, kiedy chodziła po pokojach, wybierając miejsce, aż zdecydowała się powiesić obraz w jadalni nad kredensem. Rozpakowała go i podniosła do góry. „Zobacz, mamela, jaki śliczny”. Siedziała potem naprzeciwko niego przy stole, tu, gdzie siedzi teraz, i tego wieczoru poszła spać ostatnia. Tobias wszedł do pokoju z frontowej sieni.

— Hannah, czy to nie ciekawe? — Trzymał w ręku młody wiosenny liść. — Z tej strony są dwadzieścia cztery ząbki, a z tej tylko dwadzieścia dwa — powiedział. — Dlaczego?

Dziewięcioletni Tobias miał mnóstwo pytań. Uwielbiał pajęczyny i cykanie świerszczy, miał kolekcję ciem i żuków, małego zielonego żółwia, królika imieniem Elias i zeszyt, w którym rysował swoje obserwacje z przyrody. Starsza o cztery lata siostra wydawała mu się nieskończenie mądra, ale Hannah nigdy nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie potrafiła odwzajemnić jego pasji.

— Nie wiem, Toby. Niektóre rzeczy po prostu są inne.

W tym momencie matka poprosiła, aby oczyścił gołębnik z *hamec*, czyli jęczmienia, grochu, soczewicy, wszelkiego ziarna, które mogłoby się skwasić pod wpływem wilgoci. Usuwanie z domu zakwaszonych rzeczy było częścią przygotowań do Pesach. W zamian dała mu suche obierki ziemniaków, tylko kilka, ponieważ używała ich teraz do gotowania zupy.

W chwilowej ciszy, którą mąciło jedynie gruchanie gołębi dobiegające przez szyb wentylacyjny i świst mokrej szmaty matki na jakiejś półce, Hannah patrzyła, jak na twarz Toby'ego wypływa zdumienie. Spojrzał na trzymane w dłoni obierki, a potem na nią.

— Co będą jadły jutro? — zapytał.

Kolejne pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć.

Jego oczy pociemniały, gładkie czoło przecięły zmarszczki i przez chwilę wyglądał, choć było to niemożliwe, jak stary człowiek. Wie, że to tylko gest, pomyślała. Jeśli nie chce, by cierpiały, trzeba będzie zrobić to szybko. Widziała, jak konsternacja przygniata mu barki i mąci wzrok. Chciała go objąć, ale się odsunął. Szlochając, popędził korytarzem i wgramolił się po drabinie na strych. Poczula, że coś nienazwanego ściska jej serce.

Gdy tylko Tobias wyszedł, Hildę odezwała się do matki:

— To okropne, żeby doprowadzać tak dziecko do płaczu. Kiedy ktoś wychodził z pokoju, Hildę zawsze miała coś o nim do powiedzenia. Dla podkreślenia swych słów za-bębniła palcami po kredensie.

— Niech Hannah sprzątnie gołębnik.

— On kocha te ptaki, Hildę. Pozwól mu być z nimi. Pozwól mu je opłakać. W tym roku zrozumie znaczenie Pe-sach.

Matka wręcz zaatakowała półki kredensu. Wydawało się, że w tym roku szoruje wszystko bardziej zawzięcie. Niewiarygodne, że nadal sprzątała.

Rozsierdzona Hildę odwróciła się do Hannah.

— Może pomogłabyś matce?

Hannah wzruszyła ramionami i machnęła kulką papieru na sznurku przed nosem kota Toby'ego. Gotowanie sreber, sprzątanie kuchni, szykowanie jedzenia, to wszystko jej teraz nie interesowało.

— To nie jest odpowiedź.

— Nie chcę.

— „Nie chcę”, mówi. A czego można tu chcieć? Po prostu się to robi.

- Każdy trochę pomaga, Hannah — powiedziała matka —
Może wygotujesz naczynia?

Wszyscy pracują — ciągnęła Hildę. — Na tym polega życie. Praca, odrobinę zabawy i dużo modlitwy. Twoja prababka Etty obsługiwała koło napędowe. Kręcąc korbą szlifierki męża, chodziła w kółko przez trzydzieści lat, aż wyrobiła bruzdę w podłodze. Pracowała bez skargi do 1867 roku, kiedy...

— Kiedy zastąpił ją koń. Wiem. Mówiłaś mi ostatnim razem.

— No więc? W porównaniu z tym pomoc matce to nic. Chyba chcesz wyjść za mąż? Musisz się nauczyć prowadzenia domu. A może wolisz zostać starą panną i pracować w jakiejś fabryce? Edith mówi, że lekcji też nie odrabiasz. Że nie lubisz szkoły. W głowie się nie mieści. Chcesz wrócić do korby?

Hannah ponownie wzruszyła ramionami. To mogłoby nie być takie złe. Gdyby nikt się jej nie czepiał.

— Nie po to harowaliśmy tyle lat, żebyś skręcała cygara albo chodziła z jakimś towarem po domach. Bo tak kończą Żydzi, którym się nie chce pracować.

Hannah spojrzała na szare wełniane kapcie Hildę wycelowane w nią jak dwa bezogoniaste szczury.

— Twój ojciec pierwszy w rodzinie jest handlarzem diamentów, nie szlifierzem. Nic to dla ciebie nie znaczy?

Kątem oka Hannah spostrzegła, że matka kuli się w sobie.

— Pójdiesz chociaż do sklepu po pietruszkę i jajko? — spytała matka. — Sal Meyer miał mi odłożyć kość goleniową. Dzień jest taki piękny. Lipy przy Scheldestraat na pewno wypuściły już liście. Uczesz się i idź.

Hannah bez słowa włożyła prujący się rdzawoczerwony sweter ze sztywną nową gwiazdą, ale kiedy matka dała

jej pieniądze, zaczęła się poruszać tak powoli, że Hildę zapłonęła świętym oburzeniem i spiorunowała wzrokiem je obie. Hannah odważyła się przez moment odwzajemnić spojrzenie babki, a potem wyszła do sieni, zostawiając drzwi uchylone, żeby posłuchać. Hildę odczekała tylko kilka sekund.

— Co za dziewczyna! Nie chce pracować. Nie chce rozmawiać. Nie możesz jej nakłonić do mówienia?

— Jak mam to zrobić? Powiedz mi. Na pewno wiesz.

— Nie ma żadnych zainteresowań. Nie ma przyjaciół. Spytałam wczoraj, co robiła tej zimy, a Hannah na to: „Nic”. Czy ona w ogóle myśli?

— Hildę, nie bądź okrutna. Nie wiemy, co jej chodzi po głowie, ale na pewno myśli.

— Powinnaś ją zmusić, żeby się bardziej udzielała.

— Sądziysz, że mogę ją przerobić, bo jestem jej matką? Jesteś jej babką. Ty spróbuj. Jest taka, jaka jest.

— Leniwa i apatyczna.

— Czy ty, kiedy byłeś w jej wieku, nigdy nie chciałeś po prostu siedzieć i rozmyślać? Sądziysz, że nie zadaję sobie pytania, co noc, nim litościwie zmorzy mnie sen, co zrobiłam albo czego nie zrobiłam, że jest taka? Czego jej nie powiedziałam w jakiś nieznany, a ważny dla niej dzień? Powiedz mi, Hildę, w jaki sposób nie dość ją kochałam? Powiedz mi.

Hannah nie mogła oddychać. Zdrapywała farbę z framugi wewnętrznych drzwi.

— Wiem tyle, Edith, że musisz coś zrobić, bo inaczej nie będzie miała dość siły. Dlaczego pozwalasz, żeby była taka ponura?

— Pozwalam? Myślisz, że nie zamartwiam się co noc, że nie chce niczego dość mocno? Myślisz, że nie wiem, co to teraz oznacza?

Hannah zamknęła zewnętrzne drzwi, głośno, nie przejmując się, że usłyszą, i wyszła.

Nie była to prawda. Chciała różnych rzeczy. To znaczy, chciała ich chcieć, nawet je kochać, jak Toby kochał wszystko, co żyje. Ale nie wiedziała, jakie mogłyby to być rzeczy. Teraz było to zbyt beznadziejne. Chcieć czegokolwiek zakrawało na szaleństwo.

I miała przyjaciółkę. Marie.

Przesyłały sobie liściki w szkole cały poprzedni rok. W ostatnim liściku Marie napisała, że nie może iść z nią po lekcjach na spacer, bo musi się zająć młodszym bratem, ale nie poszły na spacer również następnego dnia ani nigdy więcej. Teraz były w innych szkołach, a kiedy raz zobaczyła Marie na ulicy poza Dzielnicą Rzeczną, ta udała, że jej nie poznaje. Potem Hannah nie opuszczała Dzielnicy Recznej, żeby jej nie spotkać i nie musieć przeżyć tego jeszcze raz. Pewnymi sprawami jednak się przejmowała. Przynajmniej matka stanęła w jej obronie. Troszeczkę. Prócz tego, że powiedziała, że „jest taka”. Jakby coś było z nią nie w porządku. Czego jej brakuje?

Wydała długie, głębokie westchnienie. Potrzebowała wydmuchać nos, ale nie miała przy sobie chusteczki, więc tylko siąknęła i wytarła nos ręką.

Lipy rzeczywiście miały młode liście, które dopiero się rozwijały. Po co? — pomyślała. Kopnęła jakiś kamyczek i nagle zobaczyła nadchodzących z przeciwka dwóch niemieckich żandarmów. Na chwilę cały świat znieruchomiał, prócz kamyczka, który toczył się ze stukotem w stronę wysokiego czarnego buta. Jej serce zlodowaciało. Poczowała wilgoć w majtkach. Zajęci głośną rozmową mężczyźni zdawali się nie widzieć kamyczka ani jej samej. Nie zamierzali zrobić jej miejsca na wąskim chodniku. W ostatniej sekun-

dzie zeszła na jezdnię, aby ich przepuścić, i zwichnęła sobie kostkę.

Coś się działo. Coś ważniejszego niż przygotowania do Pesach. Za kręgiem blasku świec istniał świat. Nic nie było już takie samo. Hildę zachowywała się tak, jakby żyła w czasach prababki Etty.

Ale ojciec nie. On wiedział. Może dlatego był dla niej łagodniejszy. Zdawała sobie sprawę, że go irytuje, kiedy nie odrabia lekcji, ale do szabatu zapominał o tym. Zabierał ją na długie spacery wzdłuż kanałów Dzielnicy Rzeczej, zostawiając Toby'ego z jego gadatliwością w domu, kupował jej pikle z drewnianej beczki na rogu Vrij-heidslaan i Vechtstraat albo lody w lodziarni Koco. Zabierał ją na niedzielne koncerty w ogrodzie botanicznym przy Plantage Middelaaan albo do Rijksmuseum. I, tamtego cudownego dnia, poszli razem na aukcję. Po drodze pytał o koleżanki, o szkołę, starał się ją nakłonić do mówienia. Raz spróbowała opowiedzieć mu o Marie, ale nie przeszło jej to przez gardło. Wyglądał po tych spacerach na zmęczonego, ciężko zrzucał buty na podłogę sypialni, i raz usłyszała, jak mówi: „Może jest jakiś postęp, Edith”.

Nagle pojęła, co sprawiło, że pokochała dziewczynę na obrazie: jej milczenie. Oczywiście, obraz nie mógł mówić. Czuła jednak, że ta dziewczyna, siedząca w pokoju, lecz patrząca na zewnątrz, jest milkliwa z natury, jak ona sama. Nie znaczyło to jednak, że niczego nie chce, jak matka powiedziała o niej. Z jej twarzy czytała, że dziewczyna pragnie czegoś tak głębokiego lub tak dalekiego, że nie śmie wypowiedzieć tego nawet szeptem, jedynie myśli o tym tam, przy oknie. I nie tylko pragnie. Jest zdolna do wielkiego, szalonego aktu miłości. Tak, tak.

Załatwiała sprawunki powoli, odwlekając powrót do domu. Kolejki w sklepach wychodziły aż na ulicę, choć towaru było mniej niż przed tygodniem. Odwiedziwszy cztery sklepy, wróciła na bulwar.

Wtedy ich zobaczyła.

Następną rodzinę żółtych gwiazd, z walizkami, pędzoną środkiem Scheldestraat. Do Westerborka. Tego miejsca. Dlaczego oni? — pomyślała.

Gdy ją mijali, mały chłopczyk na ułamek sekundy podniósł na nią przerażone oczy. Spuściła głowę i poszła dalej. Ból przeszył jej piersi. Ignorując ich, dopuściła się takiej samej zdrady jak Marie. Skręciła w Rijnstraat i pobiegła do domu tak szybko, że dostała kolki.

Wchodząc, mimo woli trzasnęła drzwiami.

— Nie było pietruszki, więc kupiłam seler, ale nigdzie nie mieli jajek.

— Nie mieli jajek? Byłaś u Ivansteena? — zapytała matka.

— I w trzech sklepach przy Scheldestraat.

— Co teraz zrobimy? Przychodzą ci biedni bezdomni uchodźcy, a nie mamy nawet pełnej sederowej misy².

— To bez znaczenia. Niedługo nic nie będzie miało znaczenia.

— Hannah! Nigdy tak nie mów. Nie chcę więcej słyszeć, jak tak mówisz.

— Co się stało? — Hildę wzięła od niej kość, aby ją obejrzeć.

— Co się stało na ulicy?

Hannah rzuciła seler na kuchenny blat i odwróciła się do wyjścia.

— Nic, *oma*.

Hildę poszła za nią.

— Co tam widziałaś?

— Nic. Tylko dzieci skakały z ganków, trzymając otwarte parasole. Bawiły się w spadochroniarzy. Zawsze to robią, kiedy słyszą samoloty. Nie zauważyłyście?

Patrzyła, jak Hildę i matka spoglądają na siebie z konsternacją. Nie, pewnie, że nie zauważyły.

Wieczorem, kiedy pogaszono lampy i rodzice schowali w domu dziesięć okruchów chleba, Tobias udał się ze świecą na ostatnie rytualne poszukiwanie *hamec*. Jakimś piórkiem wymiół okruchy na drewnianą łyżkę, z powagą, jakiej Hannah nie pamiętała z poprzednich lat, gdy traktował to bardziej jak zabawę.

— Skąd masz to piórko, Toby? — spytała.

— To piórko Lea. — Podniósł je do góry i obrócił. — Spójrz, ma fioletowy brzeżek. I jest szersze z jednej strony. Zostało mi w ręku, kiedy go trzymałem. Nie chciałem wyrwać mu piórka.

Oczywiście. Nie potrafiłby wyrządzić ptakom krzywdy.

Ojciec włożył okruchy, piórko i łyżkę do papierowej torebki, aby je nazajutrz spalić. Kiedy Toby poszedł do łóżka, kiedy uznała, że zasnął, odsunęła kotarę dzielącą ich sypialnię i przez chwilę patrzyła na niego. Chłopiec na ulicy miał takie same kręcone włosy. Nachyliwszy się, aby otulić go kołdrą, poczuła piżmowy, niewinny zapach królika, kredek i gołębi.

Przed śniadaniem cała rodzina zebrała się na ganku i ojciec przytknął do torebki zapaloną zapalną.

— W dwóch miejscach, Sol — powiedziała Hildę. — Żeby się dobrze paliła.

Hannah patrzyła, jak czarny brzeg pełźnie przez torebkę, niczym pierwsza linia jakiejś armii, pomyślała, ciągnąc za sobą małą ścianę pomarańczowego ognia, aż połączył się z drugim czarnym brzegiem sunącym na jego spotkanie. Morze Czerwone zamknęło się, zamiast się

Rozstąpić. W końcu drewniana łyżka zmieniła się na płytach ganku w spaloną kość gasnących popiołów. Hannah przydeptała je nogą.

po południu ojciec wyszedł z Tobym, dokąd, Hannah nie wiedziała, ale domyślała się, że wstąpią do Rotterdam Cafe, aby przyprowadzić do domu na seder dwie spośród rodzin uchodźców mieszkających nad kawiarnią.

Pomijając powolne, rytmiczne łup-łup noża matki siekającej orzechy do *charoset*³ i gruchanie gołębi na strychu, w domu panowała cisza. Prawie wszystko było już gotowe do zaczynającego się o zachodzie słońca święta i Hannah miała wrażenie, że z pokoi wieje oczekiwaniem, jak przed czyjąś śmiercią lub narodzinami. Zastanowiła się nad tym chwilę, siedząc bokiem na krześle ojca przy stole w jadalni, bezwiednie mnąc w palcach ząbkowany brzeg białego obrusa.

Hildę osadziła dwie świece w srebrnych lichtarzach, postawiła na kredensie miskę i dzbanek z fajansu z Delft do mycia rąk, ostatni raz zagłębiła ściereczkę do kurzu w rzeźbieniach mebla i przejechała nią po dolnej części ramy obrazu.

— Chyba wiesz, dlaczego tak się gapi przez to okno? — powiedziała. — Wypatruje swojego przyszłego męża.

Cała Hildę, pomyślała Hannah.

— A na co patrzy według ciebie? — zapytała matka z drzwi kuchni.

— Na gołębie. Po prostu na gołębie.

— Na gołębie? — zdumiała się Hildę. — Na jakie gołębie?

— Nie ma znaczenia, na co patrzy. Ani co robi, czy że nic nie robi. — Spojrzała Hildę prosto w oczy. — Ważne jest tylko to, że myśli.

— Dlatego ją lubisz? — spytała zaskoczona matka.

— I dlatego, że ją znam.

Hannah wstała, poszła korytarzem, wspięła się po drabinie na strych. Leo był najbliżej, drzemał. Chwyciła go i wśród szaleńczego trzepotu skrzydeł poczuła, jak szyja ptaka wiotczeje pod jej palcami. Rzuciła się po Henriette i obtarła sobie kolano. Dwa, trzy, cztery, za każdym razem ten sam cichy trzask w gęstwinie piór.

Szła korytarzem, patrząc prosto przed siebie. Ręce drżały jej tak bardzo, że matka to dostrzegła. Hannah też spojrzała w dół i zobaczyła piórko pod paznokciem palca wskazującego, maleńki kawałeczek szarego puchu z piersi. Strzepnęła go. Matka i Hildę wpatrywały się w nią kompletnie znieruchomiałe. Zaciśnięte wargi Hildę wyglądały jak purpurowa rana.

— Idź umyć ręce — wyszeptała matka.

Hannah odwróciła się, zaczęła stopą o chodnik i wpadła do łazienki. Dobiegł ją głos matki:

— Ten jeden raz, Hilde, nic nie powiesz w domu twojego syna. Nic.

Hannah odkręciła kran. Nie chciała słuchać, co będzie dalej. Umyła ręce do łokci i obtarte kolano. Po jakimś czasie przemknęła do swojego pokoju i położyła się na łóżku. Słyszac przez szyb wentylacyjny, jak matka zamiata gołębnik, poczuła, że po jej skroni pełźnie strużka wilgoci. Zaczekała na łup-łup charoset. Potem zmieniła sukienkę i porządnie wyszczotkowała włosy.

Kiedy przyszli ojciec i Toby, nie potrafiła spojrzeć im w oczy. Przybysze z Niemiec czuli się niezręcznie, nie wiedzieli, co ze sobą począć. Milczący chłopiec, młodszy od Toby'ego, nie odstępował na krok swego ojca. Matka kazała Toby'emu przedstawić gości Hildę, rozdać wszystkim egzemplarze Hagady⁴, przynieść ojcu biały *kittel*. Kazała mu ułożyć na sederowym talerzu seler, kość gole-

niową, *charošet*, zwiędnięty korzeń chrzanu i mały obrany ziemniak, ścięty na jednym końcu, aby wyglądał jak jajko, a potem poprosiła, żeby wyszedł na ganek i wypatrywał zachodu słońca. Wszystko to, wiedziała Hannah, aby nie przyszło mu do głowy zabrać niemieckiego chłopca na górę do gołębi.

Matka pogrzebała w kredensie i wyjęła stare fajansowe lichtarze z Delft.

— Proszę — powiedziała do Hannah. — Należały do twojej prababki Etty, ale dziś wieczór i już zawsze będą twoje. Umyj je i postaw na stole.

I Hannah to zrobiła.

— Słońce zachodzi — zawołał z ganku Toby. — Niebo jest całe złote.

Matka przytknęła zapalnik do knota starego ogarka. Kiedy się zajął, odpaliła od niego świece w srebrnych lichtarzach i podała go córce. Hannah zrobiła to samo ze swoimi świecami. Przyglądając się, jak ich blask oświeca dziewczynę na obrazie, zrozumiała, dlaczego ta noc różni się od wszystkich innych nocy. Zaczęło się prawdziwe życie.

MAKSYMY

Idąc ze swoją żoną Digną wzdłuż wąskiego kanału, Laurens van Luyken trzymał się w dyskretnej odległości za młodymi, aby nie czuli się skrepowani, lecz obserwował każdy ich ruch. Gdy minęli zaprzężony w woły wóz sąsiada, zobaczył, że jego córka opiera się, zupełnie niepotrzebnie, na ramieniu swego towarzysza.

Jesienne powietrze było rześkie i Digna owinęła się peleryną. Zazwyczaj wiatr działał na Laurensa ożywczo, lecz tego popołudnia przyprawiał go o uczucie, że sunie ku niemu z hukiem ściana szarego morza, przeciwko której musi zebrać siły. Wiatr był rześki, staruszek sąsiad był rześki, wszystko było rześkie. Głos Johanny był rześki, kiedy wcześniej tego dnia powiedziała:

— Tato, Fritz mi się oświadczył i przyjął go.

Tak po prostu. Żadnego wstępu. Żadnej delikatności. Nawet żadnego ukłonu w stronę tradycji. Jakby nie trzeba już było prosić ojca o oddanie córki innemu kochającemu ją mężczyźnie. Czy był to sposób postępowania amsterdamskich? Zwiastun obyczajów, jakie zapanują w nowym stuleciu?

— Powinniśmy im dać jakiś piękny prezent — odezwała się Digna, biorąc Laurensa pod rękę jak Johanna Fritza. — Coś naszego, co zawsze kochała i na zawsze zachowa.

— Więc się na to zgadzasz?

— To dobry chłopak. I przystojny. — Uśmiechnęła się żartobliwie. — Erazm mówi, że jeśli już mamy wisieć, to lepiej na jedwabnym powrozie.

— Nie karze się wieszaniem młodych i niewinnych. Ich pies, Dirk, zabiegł Johannie drogę, tak że omal się

nie przewróciła, i Fritz powiedział coś, co ją rozśmieszyło. Laurens patrzył, jak przytula się do tego mężczyzny i lekko całuje go w ucho. Dirk zaszczeakał i Laurens wiedział, że jest to upomnienie. Z perwersyjną przyjemnością konstatował, iż Dirkowi niezbyt się podoba to, że Johanna obdarza względami tego dziwnie pachnącego intruza w skórzanych butach zamiast dobrych, solidnych *klompen*, jakie nosił każdy mieszkaniec Vreeland. Pies rozbawił go, kiedy drząc z podejrzliwości, zawarczał pod adresem Fritza coś ewidentnie obraźliwego, gdy ten przyjechał w południe dyliżansem.

— Spójrż na nią, Laurens. Cała promienieje.

W zamian zerknął z ukosa na żonę. Radość była zaraźliwa: szalone, ślepe szczęście córki wygładziło wszystkie zmarszczki na znajomej twarzy Digny.

— Co moglibyśmy im dać? — zapytała z miłą natarczywością w głosie.

— Miotłę i maselnicę?

— Dajmy im *Dignę Luizę*.

— Nie. Fritz ma stary kuter. Mówił mi, że wypłynął nim w zeszłym tygodniu na Zuiderzee i omal nie zamarzł. Nikt przy zdrowych zmysłach, pomijając rybaków, nie żegluje po Zuiderzee po końcu września.

Skify¹ ich sąsiadów stały rzędem u ujścia kanału do Loosdrechtse Plassen. Laurens pamiętał, że jako mała dziewczynka Johanna mówiła na nie „łódzie życzeń”, bo wdzięcznym kształtem dziobów przypominały mostek kurczaka,

„kość życzeń”, z której wróżyła sobie jak wszystkie dzieci. Był ciekaw, czy powiedziała o tym Fritzowi, kiedy je teraz mijali-

Johanna i Fritz skręcili przy młynie musztardniczym Ruytera w biegnący wzdłuż jeziora gościniec i obejrzel się, czy Laurens i Digna idą za nimi. Ich niecierpliwość, wrażenie, że wypływają ku przygodzie w nie sprawdzonej łodzi, obudziły w Laurensie ducha niejasnej rywalizacji i otoczył ramieniem gibką talię żony.

— Zimno ci? — zapytał, na poły z nadzieją, że przytaknie.

— Mogłabym jej dać pierścionek z opalem, który mam po matce, ale to niewiele. Zresztą powinno to być coś od nas obojga. Dla nich obojga.

Według Laurensa zachowanie i wygląd młodych nosiły jawne znamiona euforii. Zbyt szybko rozkwitła, pomyślał, zbyt szybko zwiędnie. Nie przecierpieli długich zimowych wieczorów smutnej zadumy, tylko mknęli naprzód, jakby była już pora tulipanów.

Więc Johanna wyjedzie. Opuści Vreeland, gdzie zna każdą ścieżkę, każdą deskę każdego mostu, każdego konia i wóz, gdzie uczył ją jeździć na łyżwach, dokładnie tutaj, na Loosdrechtse Plassen, gdzie każdego lata patrzył, jak bawi się pod wierzbami na ich brzegu kanału, jak radośnie napełnia wodą popękany i poszczerbiony fajansowy serwis z Delft należący niegdyś do jego matki. Opuści swe rodzinne miasto i zamieszka w Amsterdamie, oddalonym o prawie pół dnia jazdy powozem po groblach.

To, że Dirk tak demonstracyjnie okazuje swą nieufność wobec tego wilka w owczej skórze, tego oszusta o dziwnym zapachu, nurkując między nogi Fritza i Johanny, bawiło Laurensa, ale nie sprawiało mu satysfakcji. Poruszało go to, jak młodzi wielbią się wzrokiem, jak oczy cór-

ki lśnią upojeniem nieznany, i chciał, aby mieli chwilą spokoju. Tylko rzut kijkiem, dobrze wymierzony wzdłuż pasa trawy, mógł oderwać Dirka od roli samozwańczego obrońcy Johanny. Zawołał psa, rzucił mu kij i nie trafił w wąski brzeg. Dirk wskoczył do jeziora, aby ścigać krąg na wodzie, i Digna wybuchnęła śmiechem, co było warte zachodu. Ścisnęła jego ramię.

— Już wiem! Obraz. *Dziewczyna z koszykiem do robótek*. — Jej szeroki uśmiech i radosne, pełne nadziei spojrzenie przeszły Laurensa na wskroś. — Zawsze go kochała.

— Nie.

Dirk przyniósł mu kijek, ale Laurens go nie wziął.

Digna odwróciła się do niego z wyrazem zdumienia na swej słodkiej, jasnej jak kość słoniowa twarzy. Przyglądał się, jak wiatr wyciąga z jej koka pasemka kasztanowatych włosów, jak się wiją niczym morska trawa w nurcie. Pociągnęła go za sobą, mówiąc ze śmiechem:

— Dlaczego jesteś taki chytry? To nasza jedyna córka.

— Na pewno wymyślimy coś innego.

— Dlaczego nie obraz?

— Bo dałem go tobie.

— Byłby częścią naszego domu w ich domu.

— Nie, Digna.

— Dlaczego?

Wsunęła dłoń w jego dłoń, przynaglając go do wyrażenia zgody.

— Nie chcę się z nim rozstawać.

— Nie wiedziałam, że jesteś do niego taki przywiązany. Nie ma dużej wartości, chociaż podoba mi się, jak naśladuje Yormeera.

Uchwycił się tego.

— Raczej de Hoocha. Ten marszand powiedział, że de Hooch malował płytki podłogowe w taki sam sposób.

Posłała mu uśmiech żartobliwej reprimendy, demaskujący oczywistość jego wybiegu. Poczul się głupio. Za dobrze go znała. Na pewno miała w zanadrzu jakąś sentencję Erazma ostrzegającą przed ludźmi, którzy nieudolnie próbują zmienić temat. Digna haftowała swoje ulubione maksymy z „Adagiów” na makatkach, czasem po łacinie, jeśli wołała jej brzmienie, na przykład *Tempus omnia revelat*². Siedząc przy kominku, przez lata pilnie wyszywała na napiętym materiale, niczym we własnym sercu, reguły erazmiańskiej religii racjonalnego myślenia. Wytrwałość Greków do Troi zawiodła. Złe kruki, złe jaja. Sami sobie najbardziej szkodzimy.

— Czemu nie dasz im makatki z jakąś sentencją? Jej uśmiech zmienił się w kpiący grymas.

— Czemu nie chcesz dać im obrazu?

Spojrzał przed siebie, ku łozom, które rosły wzdłuż brzegu. W welonie lekkiej mgły, kołysząc i szeleszcząc witkami, wyglądały jak przyzywające go duchy.

— Ten obraz... Kupiłem ten obraz, aby upamiętnić pewien okres w moim życiu, i dlatego nie mogę go oddać.

— Myślałam, że kupiłeś go dla mnie. Na naszą rocznicę. Pamiętasz?

Odsunęła się od niego i mocniej otuliła peleryną. Przeszedł go lekki dreszcz.

— Tak było, ale... — Chociaż ją tracił, trzymał się przekonania, że zawsze powinni mówić sobie prawdę. — Przypomniał mi też o osobie, którą kiedyś znałem.

Digna przystanęła.

— To, jak ta dziewczyna wygląda przez okno — ciągnął. —

Jakby na kogoś czekała. I jej dłoń. Obrócona wnętrzem ku górze i taka delikatna. Zapraszająca do pocałunku. Odwróciła się na pięcie.

— Chodźmy do domu. Popatrzył na córkę i jej kawalera.

— A oni?

— Wrócą sami.

W drodze powrotnej Dirk wybiegał przed nich, cofał się i znów dawał susa naprzód, wiedząc, że w domu dostanie jeść. Laurensa lekko drażniły jego szalone, radosne podskoki.

Digna o nic go już nie pytała, ale szła bardzo wolno, czekając. Spojrzał na grafitowe jezioro, wysuwające pod wpływem wiatru pazury fal. Wiele razy igrał z niebezpieczeństwem, jeżdżąc tu na łyżwach, nim lód stwardniał.

— Miała na imię Tanneke. Poznałem ją, kiedy pracowałem w pompowni Haarlemmermeer, w siedemdziesiątym czwartym. — Wiedział, że musi od razu uświadomić Di-gnie, że było to bardzo dawno, na wiele lat przed ich ślubem. — Mieszkała w Zandvoort. Spotkaliśmy się na promenadzie, przy straganie z *poffertjes*³: Przepchnąłem się przed nią, kupiłem całą torebkę, szybko się odwróciłem i włożyłem jej jedno do ust. — Zachichotał cicho. — Cukier puder oprószył jej nos.

Pragnął zerknąć ukradkiem na żonę, aby sprawdzić, czy potrafi wyobrazić sobie tę scenę tak słodką i niewinną, jak w jego pamięci.

Niesiony falą wspomnień, zaczął myśleć głośno:

— Chodziliśmy na spacer. Po wydmach i na wrzosowisko. I do lasu. Uwielbiała Haarlemmerhout, znała jego ścieżki tak dobrze, jak Johanna zna uliczki Vreeland. Raz

pocałowałem jej dłoń, w tym lesie, pod jodłą, gdzie schroniliśmy się przed deszczem.

— Byłeś w niej zakochany?

Powiedział za dużo. Żałował, że poruszył ten temat. - Byłem... Byłem jak Fritz.

Odwrócił twarz, aby nie dojrzała na niej szczęścia, które przeżywał z Tanneke przed tylu laty. Wstrząsnął nim prąd pamięci.

— Byłem głupi. Nie przyszedłem na umówione spotkanie, chyba po to, żeby zademonstrować swoją niezależność. Żeby za mną zatęskniła, chociaż tak naprawdę to ja tęskniłem za nią. Kiedy jakiś czas później poszedłem ją odwiedzić, wyjechała już z Zandvoort i zabroniła rodzicom mówić, dokąd się udała.

Ból z powodu własnej głupoty, własnej bierności czy apatii, przeszył go ze zdumiewającą ostrością, i miał nadzieję, że nie było tego słychać w jego głosie.

Patrząc przed siebie, bardziej poczuł, niż zobaczył, że Digna odsuwa się od niego.

I znów postąpił głupio, sprawił przykrość żonie. Resztę drogi przebyli w milczeniu i czuł, że Digna próbuje zapuścić sondę wyobraźni w jego przeszłość.

Minęli rząd skifów, i odwrócone kadłuby życzeń były dlań teraz tylko starymi łodziami. Minęli ogród warzywny sąsiada, i musiał zawołać Dirka, aby nie stratował grządek czerwonej kapusty rosnącej w godnym pozazdroszczenia ordynku. Minęli vreelandzki wiatrak, obracający się cierpliwie, wyciągający wodę z gleby, aby ich maleńka wyspa wszechświata nigdy nie zatoneła. I minęli punkt w swoim życiu, pomyślał, poza którym żadnej z tych rzeczy — łodzi, ogrodu, suchego lądu, miłości — nie da się utrzymać bez świadomego wysiłku.

Dirk zataczał wokół nich szerokie kręgi, skakał, rozbryzgiwał kałuże. Kiedy dotrą do domu, będzie miał zabłocone łapy i trzeba będzie mu je wytrzeć. Zwykle zajmowała się tym Digna. Dzisiaj on to zrobi.

Było to dziwne: kiedy sprowadzisz młodzieńczą miłość do podstaw — kochałem ją, może ona też mnie kochała, byłem głupi, cierpiałem — staje się błaha i banalna, nic nie znacząca dla innych ludzi. Koniec końców, mamy tylko chwile, pocałunek złożony na dłoni, wspólne zdumienie nad pobrużdżoną fakturą pnia jodły czy niezliczono-ścią ziaren piasku w wydmie. Tylko chwile.

Chciał przypomnieć Dignie o chwilach z ich wspólnego życia równie czułych jak tamten pocałunek w lesie, równie ważnych. Byłoby ich wiele, na przykład, kiedy ślizgali się po Loosdrechtse Plassen tak daleko od brzegu, że głosy innych łyżwiarzy brzmiały jak szelest drozdów w gnieździe, i wirowali sami w białym, czystym wszechświecie, i powiedział jej, że zna ją już pół swojego życia, dwadzieścia dwa lata, jego oddech obwieszczał ten cud chmurami mgły, i pocałował ją tam na lodzie, dwadzieścia dwa razy, z wdzięczności. Pragnął jej o tym powiedzieć, ale gdy popatrzył, jak idzie, taka wyprostowana i zamknięta w sobie, słowa uwięzły mu w gardle.

Kiedy zbliżyli się do domu, zobaczył, że przed wyjściem zapaliła na ich powrót lampę naftową w salonie. Ciepłe żółte światło zapraszało do przytulnego wnętrza. Zawsze myślała o takich rzeczach. Gdyby jednak napomknął coś o tym albo o tamtej ślizgawce, uznałaby, że chce ją ułagodzić.

W domu schodzili sobie z drogi, rejestrując przy tym każdy swój ruch. Powietrze między nimi było jak naelektryzowane.

Chciał, by do niego podeszła, by mógł pogłodzić jedwabistą skórę na jej skroni, miejsce, które lubił najbardziej, poniżej linii włosów, najpierw chwycić ją za ramiona, a potem przyciągnąć do siebie i powiedzieć, że należy tylko do niej i będzie do niej należał całe życie.

Ale Digna zajęła się szykowaniem kolacji, pewny znak, że nie ma ochoty na czułości, więc nie zrobił tego, co pragnął zrobić najbardziej. Zmarnowanie tej chwili wydało mu się mgliście, nieprzyjemnie znajome.

Potem weszli Johanna i Fritz, rozmawiający o jego pracy w Amsterdamie, i stracił sposobność.

— Kiedy przyjedziesz do nas w odwiedziny, tato, pożeg-lujemy sobie — powiedziała Johanna, aby go udobruchać.

Dla nich życie było nieskończenie proste, przejrzyste jak polerowany kryształ. Kiedyś zrozumieją. Dopiero po latach człowiek zauważa straszliwą złożoność rzeczy.

Mówiąc tylko tyle, ile wymagała grzeczność, Digna podała *hutspot*⁴ i przez całą kolację strząsała okruchy "z obrusa.

Laurens wiedział, że Johanna myśli, iż nagła zmiana nastroju matki ma coś wspólnego z Fritzem. Kiedy Digna wyszła do kuchni po deser, spróbował bez słów dodać Johannie otuchy: powędrował palcami po stole i nakrył jej dłoń, jak zwykł robić, aby ją rozśmieszyć, kiedy była dzieckiem, albo kiedy chciał dosięgnąć Digny, jeśli się od niego odsunęła.

Widział, że opalone od wiatru policzki Johanny lśnią różowością idealnie dojrzałej brzoskwini. Skup się. Zauważaj. Zauważ to i nigdy nie zapomnij, chciał powiedzieć. Spojrzał na Fritza, który obserwował ich dłonie z wyrazem zakłopotania, nie wiedząc, co wypada mu myśleć. Laurens wyprostował się na krześle i uśmiechnął

uśmiechem człowieka, który jest w pełni, do bólu świadomy, uśmiechnął się szeroko, jakby na znak, że nie zrzeknie się tego ojcowskiego prawa do nakrywania dłoni córki. Jeszcze nie. Albo nigdy.

Kiedy Fritz wyszedł, mnąc w palcach rondo kapelusza, Johanna odwróciła się bez tchu od zamkniętych drzwi i zapytała:

— Nie cieszysz się moim szczęściem, tato? Studiując urodę jej policzków, aby pamiętać ją za dwadzieścia lat, ruchem ręki przywołał córkę do siebie.

— Czyż miłość nie jest absolutnie najwspanialszą rzeczą na świecie? Wiem, że ty i mama się kochacie, ale nie byłam przygotowana.

— Przygotowana?

To słowo go zaniepokoiło. Wiedział, że Digna nie zdobyła się jeszcze na to, aby porozmawiać z córką o kobiecych sprawach.

— Na tę siłę.

Lękając się, że zadrży mu głos, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić: pocałował ją lekko w skroń, zanim poszła na górę.

Digna zajęła się swoim haftem. Tykanie zegara z kukułką wypełniało ciszę. Laurens obserwował, jak Dirk, starając się zachować godność w obliczu obojętności swej pani, sadowi się u jej stóp i wydaje westchnienie zadowolenia. Zazdrościł psu tej łatwej zażyłości.

Nie wiedział, co powiedzieć, co jej zaofiarować. Spróbował sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać w wieku Tanneke. Włosy koloru liści klonu jesienią — to wszystko, co przyszło mu do głowy.

— Nad jaką maksymą pracujesz? — zapytał, aby przerwać milczenie.

Wyciągnęła tamborek, aby sam zobaczył. Właśnie zaczęła haftować most na wąskim kanale i wierzbę. Słowa poniżej były wyszyte krzyżykami.

— *Ne malorum memineras* — powiedziała.

— Co to znaczy?

Z namaszczeniem, w pełni panując nad tą chwilą, spuściła wzrok i zrobiła jeszcze dwa ściegi, każąc mu czekać — powolne pociągnięcia długiej nici i cichutkie „pik”, gdy igła przekłuwała naciągnięty materiał.

— „Nie pamiętaj złego”.

Nie znalazł na to odpowiedzi.

Wziął swoją glinianą fajkę i wyszedł z domu na brzeg kanału. Wiatr ustał, ale czuć było wilgoć mgły, a rokitniczki mościły się na noc w gniazdach.

Przypomniawszy sobie jedwabistość dłoni Tanneke w swojej dłoni, jej ciężar, rozluźnionej, odwróconej wnętrzem ku górze, i jaki poczuł się szarmancki, kiedy sztywny i oficjalny, nowicjusz w miłości, schylił się, by ją pocałować. Jej mały palec był odgięty, wykrzywiony jak na obrazie, tak niewymownie delikatny, cienki jak kość życzeń, a oddech cichutki i elektryzujący. Jak tyle razy w pompowni, i dużo później, kiedy patrzył na obraz, oddał się rojeniom o Tanneke z jej warkoczem miodowych włosów, ciężkich w jego dłoni, gdy je rozplótł, i o swoim życiu z nią, jakim mogłoby być.

Po tym ostatnim spacerze w lesie Haarlemmerhout odprowadził ją do domu — pamiętał, że było tam bocianie gniazdo na słupie — i stał na zewnątrz, póki nie zobaczył jej sylwetki, zamglonej i eterycznej, gdy szła ze świecą do swojej sypialni na piętrze, blisko okna, by ją widział. Pamiętał, jak powoli, z rozmysłem ściągnęła przez głowę sukienkę, potem koszulę, a potem, drocząc się z nim,

zdmuchnęła świecę. Siedział później przy drodze, wyobrażając sobie każdy kąt tego pokoju, którego nigdy nie widział, i teraz znów ją malować w myślach szczegóły — w rogu mały porcelanowy piec z łupkowym paleniskiem, przed którym bawiła się jako dziecko, jej rysunki przypięte do bladobłękitnych ścian, wysokie owalne lustro, w którym oceniała swą kobiecość, szcztotka w rogowej oprawie, umywalnia i dzbanek, pewnie z fajansu z Delft, jak u jego matki, łóżko z czterema mahoniowymi słupkami i kapą, może brzoskwiniowo-zieloną, po jej babce. I Tanneke, naga pod nią. Rozmyślając teraz, znowu, o tych nie widzianych rzeczach, poczuł, że jak wtedy szybciej pulsuje w nim krew.

Nie mógł sobie uczciwie przyrzec, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

Pod wpływem wstydu zdobył się na obiektywizm: czy te wspomnienia przetrwały tyle lat ze względu na samą Tanneke, czy też pragnął po prostu ocalić euforię pierwszej miłości? Fakt, że w ogóle zadaje sobie to pytanie, był wystarczającą odpowiedzią. Gdyby tylko Digna wiedziała; ale dalszymi wyjaśnieniami jedynie przysporzyłby jej bólu.

Zaczeka trochę dłużej, aby dać jej czas.

Co było takie pilne, że kazał Tanneke czekać w nieskończoność na tym przystanku tramwajowym? Nie sądził, aby zatrzymała go praca w pompowni. Była to raczej potrzeba wydania się ważnym. Co robił w zamian tego wieczoru, który spędził pewnie z kolegami, nie mógł sobie przypomnieć. Chodził tam i z powrotem wzdłuż kanału, usiłując, na próżno, wypełnić tę lukę w pamięci.

Kilka razy próbował ją odnaleźć, ale nie mieli żadnych wspólnych znajomych, których mógłby o nią spytać. Zgu-

bienie kogoś w tak małym kraju zakrawało na absurd. Jeśli jednak miał być ze sobą naprawdę szczery, nie szukał zbyt energicznie. Przez jakiś czas zadowalał się jej duchem, a później, gdy budziło się w nim coś pomiędzy ciekawością i tęsknotą, uznawał, że nie ma sensu zakłócać na wpół już przeżytego życia.

Teraz wiedział, jak wiedział w setki nocy, kiedy przed pójściem z lampą do sypialni patrzył na tę gładko namalowaną, odwróconą ku górze dłoń, że nic nie jest tak istotne jak uważność i ulepszanie skromnych służb miłości. I to próbował robić z Digną. Może dzięki temu jego co-wieczorne obcowanie z obrazem było choć trochę mniej naganne.

Odetchnął powoli i głęboko, by odpędzić przeszłość i odnaleźć się w teraźniejszości. Gdy ma się dorosłą, zakochaną córkę, myślenie o czasie minionym jest trwonieniem obecnego. Fala „teraz” zalała go niczym woda przerywająca tamę i poddał się jej. Wspólna przyjemność zjedzenia dobrego *hutspot* ze słodką marchwią, młodymi ziemniakami i dużymi kawałkami wołowiny po powrocie z wietrznego spaceru. Urokliwy sopran Digny śpiewającej w ogrodzie. Jej znacząca, przekorna mina, półuśmiech, gdy wiedziała, że ma nad nim przewagę, i jego skwapliwa kapitulacja. Jej nagły szept w ciemności obok niego: „Która część dnia była najmiłsza?” Na co zawsze odpowiadał, bo zawsze tak myślał: „Ta, gdy cię dotykam”. Poczul, że prawda chwyta go za gardło, a lędźwie nabrzmiewają miłością. I potem rytm jej oddechu, spokojny, miarowy jak tykanie fryzyjskiego zegara, jej prosta, naturalna kołysanka. To właśnie chciałby, w tej ostatecznej, nieskończonej chwili, przeżyć raz jeszcze. Jak miłość buduje się niezauważalnie, pomyślał, z monotonii codzienności.

Dokończył fajkę, dając Dignie czas. Wiedział, że to przemyśli. Może to trochę potrwać, ale w końcu pojmie, że to wyobraźnia, nie pamięć, jest jej wrogiem, jeśli w ogóle miała tu jakiegoś wroga.

Kiedy wszedł do domu, Digna zamrugła powiekami. Włożyła swoją lepszą lawendową podomkę, którą rzadko nosiła, i szciotkowała opadające na ramiona włosy.

— Poszłam za radą obrazu — powiedziała z jakąś natarczywą dumą w głosie.

— To znaczy?

— Przestałam szyć. — Posłała mu słaby, ledwie dostrzegalny uśmiech. — I sprawdziłam tą maksymą. *Memine-ris*. Erazm pisze, że po uwolnieniu Aten od okrutnej władzy Trzydziestu Tyranów Trazybuloś wydał ustawą zakazującą wszelkich wzmianek o przeszłości. Nazwano tą ustawą *amnestia*.

Digna. Och, Digna.

Oczy zaszły mu łzami, jej postać zafalowała jak za szybą i zmieniła się w lawendową plamę. Nie chciał, by dzieliła ich nawet ta przezroczystość. Odwrócił głowę, by niczego nie spostrzegła, i — aby nie spojrzeć na obraz — popatrzył na Dirka, zwiniętego w kłębek i posapującego u stóp Digny. Już niedługo, jeśli zechce zobaczyć to płótno, będzie musiał tłuc się pół dnia po wyboistych groblach. I będzie obserwowany. Wyobraził sobie z przerażeniem nową makatką obwieszczającą starannymi ściegami swą ustawą o milczeniu i amnestii, zawieszoną w wyblakłym prostokącie na kremowej ścianie. Nie, Digna tego nie zrobi. Nie powiesi jej tam.

Mimo woli podniósł wzrok, aby sprawdzić, czy obraz jest na swoim miejscu.

Po jakimś czasie powiedział:

— Gdyby zamiast wyglądać na zewnątrz, ta dziewczyna patrzyła do środka, na nas, z pewnością by pomyślała, że należy nam zazdrościć.

Przez twarz Digny przemknął znajomy półuśmiech.

— Patrz dostatecznie długo — odparła cicho — wszystko jedno, na zewnątrz czy do środka, a będziesz zadowolony, że jesteś tym, kim jesteś.

Czy było to upomnienie, czy stwierdzenie faktu, nie chciał pytać ani nawet zgadywać.

HIACYNTOWY SMUTEK

Nie pamiętam, wstyd przyznać, jego twarzy. Nie, nie Gerarda. Jego.

No, no, nie gorsz się tak. Wystąpią ci plamy na policzkach i będziesz brzydko wyglądała. Nie opowiedziałabym tej historii byle komu, bo pewne fragmenty, pewne fragmenty... ale skoro poprosiłaś o radę w podobnej kwestii, tobie ją opowiem. Prawdę, że nie kochałam męża, którego wybrał dla mnie ojciec, ukrywałam staranniejsz niż piersi.

To znaczy, dopóki po raz pierwszy nie ujrzałam jego. Grał w małej orkiestrze w tym ponurym ceglanym Mauritshuis — nową symfonię *Eroica*, którą wreszcie usłyszeliśmy w Hadze, dwa lata później, niż moja siostra słyszała ją w Beauvais — i był ubrany w wytworny plusowy frak oraz kamizelkę z mory, czerwoną w cienkie liliowe prążki. I nie miał takich przedpotopowych spodni z czarnego jedwabiu, jakie Gerard nosił dzień w dzień, tylko zamszowe, spięte kokardkami i dłuższe. Z pewnością nie był Holendrem.

Mogę ci sporo powiedzieć o Holendrach, więc bardzo się cieszę, że mamy całe popołudnie. Na przykład, na tym koncercie w Mauritshuis nadal królował styl Ludwika XVI, niemodny od lat dziesięciu, co było żenujące, ale jakimś cudem nikt poza mną nie zwracał na to uwagi. Ta kobieta

luźno spokrewniona z dynastią orańską, dawna baronowa Agatha van Solms, którą mój mąż uważał za czarującą, wystąpiła w łokciowej rogówce¹. A jej fryzura! Postanowiła chytrze przypomnieć o wkładzie swej rodziny w historię holenderskiej floty, budując statek, chyba był to okręt wojenny, na poduszkach z włosia — nikt już nie nosił poduszek z włosia — jakby dzielnie stawiał czoło groźnym blond falom. A na rufie zawiesiła maleńką flagę. Roztropnie była to flaga Republiki Batawskiej. Tani chwyt, by podkreślić rolę dynastii orańskiej w podbojach morskich, jeśli chcesz znać moje zdanie. W dodatku nadal hołdowała temu ohydnemu zwyczajowi wiązania na szyi czerwonej aksamitki, symbolu współczucia dla ofiar *Madame Guillotine*. Ani grama gustu.

Nie bierz mnie za prześmiewczynię czy krytykantkę. Ty nie musiałaś tam żyć. Poza tym była jedna holenderska rzecz, którą kochałam. Mały obraz, prezent od Gerarda, przedstawiający młodą dziewczynę o brzoskwiniowej, przejrzystej połyskliwej cerze. Wyglądała przez otwarte okno z przesłodkim, naiwnym wyrazem twarzy, choć z początku uznałam go za trochę bezmyślny. Widzisz, ludzie są tu odcięci od siebie wodą, wszędzie jest woda. Zawieranie małżeństw między krewnymi praktykuje się od tak dawna, że nawet niektóre damy z towarzystwa są osobliwie nierozgarnięte albo wręcz przygłupie. Niemniej ta dziewczyna musiała mieć rodziców, którzy ją kochali, i to budziło we mnie jednocześnie tkliwość i melancholię. Pewnie była to zazdrość, bo sama nie mogę mieć dzieci, co zaczęło wywoływać irytację Gerarda już wcześniej, gdy mieszkaliśmy w Luksemburgu.

Powiesiłam obraz w małym saloniku, nad szezlongiem obitym niebieskim pluszem, aby podkreślić błękit kafta-

na dziewczyny, udrapowanego we wdzięczne fałdy, ten soczysty głęboki błękit pierwszych hiacyntów, kiedy pąki dopiero zaczynają się otwierać, nie blady lazur przekwitłych kwiatów. Gdybym miała córkę, ubierałabym ją wyłącznie w kolory najświeższych hiacyntów i tulipanów. I jak robi moja siostra Charlotte ze swoją Cherise, paradowałabym z nią każdej wiosny po Promenade de Long-champ. I nosiłaby perły. Dowiadywałam się nawet w cechu artystów, czy nie można by domalować sznura pereł wokół nagiej szyi tej biedaczki.

Gerard powiedział, że obraz jest dziełem pomniejszego malarza, jakiegoś Johannes van der Meer. Nie miało to dla mnie znaczenia. Dziewczyna była urocza i pokochałam ją całym sercem.

Z początku sądziłam, że chciał mnie tym prezentem ułagodzić, abym wytrzymała jeszcze rok czy dwa, póki nie uda mu się otrzymać stanowiska we Francji. Dał mi go po bitym miesiącu narad z dawną hrabiną Maurits van Nassau na temat zrzeczenia się jakichś dochodów, tak w każdym razie mówił, ale teraz wiem, że było inaczej. I to właśnie, moja droga, jest prawdziwym powodem takich prześlągalnych darów, więc miej się na baczności.

Jako że hrabina Maurits była gospodynią tego koncertu i damą pod każdym względem, złożyłam jej nazajutrz wizytę w Mauritshuis, tym mauzoleum udającym pałac — nie wiem, jak mogła tam mieszkać. W pokoju, w którym mnie przyjęła, był kominek z niebiesko-białych kafli i tuziny niebieskich talerzy z Delft na półkach i kredensach. A na tych talerzach wyłącznie mosty spinające pałakami brzegi rzek i obwisłe wierzby płaczące. Kto by chciał ciągle patrzeć na ten symbol melancholii? Miałam ich dość

w naturze, serdeczne dzięki. Biedaczka, nie mogła zdobyć przyzwoitego isfahanu czy choćby hamadanu. Miała tylko jakiś flamandzki gobelin, i wszędzie perkal, i dwa fryzyjskie zegary z kukułką skrzeczące co parę minut — dosyć, by przyprawić człowieka o wapory.

Choć cesarz odarł ją z tytułu, nadal obnosiła swe klejnoty na obfitych piersiach, przypominających, niestety, oklapnięte bezy; na lewej miała mały pieprzyk, ale nie wiem, mógł być namalowany. Poinformowała mnie, że mój skrzypek to monsieur le C, świeżo przybyły z Paryża, i że ma za kilka tygodni zagrać gościnnie *Symfonię g-moll* nr 40 Mozarta z orkiestrą państwową, dawniej królewską, w Binnenhof.

— Och, wprost uwielbiam tonację molową — wyszeptałam.
— A jego technika, o której, rzecz jasna, nie mam prawa się wypowiadać, absolutnie mnie urzekła.

Przy ostatnim słowie posłałam jej błagalne spojrzenie.

Wykazując intuicję najsubtelniejszej z kobiet, zapewne pozostałość po utraconym tytule, uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Zatrzymał się na lato w Oude Doelen. To mi wystarczyło.

Haga jest mała, rozmiaru trzech czy czterech wielkich paryskich placów z przyległościami. Znałam hotel Oude Doelen. Mieszkaliśmy tam z Gerardem, zanim urządzono dla nas nasz tutejszy dom. Najpierw jednak musiałam zdobyć zaproszenie na koncert w Binnenhof. I sprawić sobie nową suknię.

Nie było dnia do stracenia. Żadna krawcowa przy van Diemensstraat nie знаła paryskich mód. Ja też nie, przebywając niejako na wygnaniu, najpierw w Luksemburgu, a potem w Hadze, podczas gdy salony Józefiny eksplodo-

wały nowymi stylami. A maleńkie holenderskie sklepiki, puste jak skorupy, nie mogły mi pomóc. Że nie przemycano bel jedwabiu tak jak beczek saletry, było wyłącznie sprawą pospolitości Holendrów.

I jeszcze jedno: dziękuj Najświętszej Dziewicy, moja droga, że Bóg oszczędził ci wizyt u nieżyczliwych haskich gorseciarek. Wierz mi, nie mają odrobiny litości — uraza zwyciężonych do zwycięzców — żadnych miłych słówek zrozumienia, kiedy biorą miarę, nie to, co madame Adele, moja *corsetière*, która mówi, jakbym ją teraz słyszała: „To tylko kwestia przesunięcia skóry, proszę pani”. Powinnaś ją wypróbować. Dokonuje cudów, podnosząc upadłe. Rue St. Honoré, tuż obok placu Vendome.

Niemniej postanowiłam przyodziać się na nowo, nie tylko od stóp do głów, lecz także od wierzchu do spodu, na wszelki wypadek. Moja siostra Charlotte doniosła mi, że kobiety zaczynają nosić kalessony, i opisała je. Chociaż były szyte ze zwykłego batystu — co za dyskomfort, czuć tam szorstką tkaninę — dyskretnie zapytałam o nie w kilku sklepach. Nigdy o czymś takim nie słyszeli, więc patrzyli na mnie podejrzliwie, i musiałam obejść się bez nich, choć trochę mnie to martwiło. Z pewnością monsieur le C. wiedział lepiej niż ja, co się nosi w Paryżu, i nie chciałam wyjść na prowincjuszkę.

Na czym skończyłam? A tak. Binnenhof. Pałac rozciągnięty wzdłuż południowego brzegu Vijver, brzydki od zewnątrz. Ratuje go jednak Treves Zaal, gdzie odbywał się koncert, wspaniała biało-złota sala naśladowująca styl Ludwika XIV, coś jak Galerie Dorée w Hotel de Toulouse. Na suficie namalowano iluzjonistyczne chmurki i aniołki, więc wyobrażałam sobie, że skrzypkowie, zwłaszcza monsieur le C, zstępują do nas z nieba.

Przepchnęłam się do pierwszych rzędów, ciągnąc za sobą Gerarda. Muzycy już siedzieli, i on też tam był, pierwsze skrzypce, skupiony na strojeniu orkiestry. Biały koronkowy żabot pieniał się pod jego uroczym podbródkiem jak bita śmietana. Pierwsza część, *molto allegro*, była żywą melodią — tra la la, tra la la, tra la la *la* — i śmigłe ruchy jego dłoni rzuciły na mnie urok. Z trudem oddychając w nagłym gorącu, przegamełam powietrze wachlarzem. Szczęśliwym trafem, ten gest przyciągnął wzrok monsieur le C.

Zauważył mnie. Tak, byłam tego pewna.

Podczas długiego *andante* prowokująco spuścił powieki na instrument i pieścił go smyczkiem, jakby grał na strunach serca swojej ukochanej. Wykonał to *andante* z taką tkliwością, że omal nie zemdlałam. Musiał być kiedyś cudownym dzieckiem, pupilkiem troskliwej matki. Przy czwartej części kręciło mi się już w głowie do granic ekstazy. Znasz to uczucie, inaczej byś mnie nie pytała.

Co przez cały ten czas naprawdę działo się z Gerardem, nie wiedziałam. Coraz bardziej pochłaniały go kolumny liczb i wysyłki pieniędzy, a przede wszystkim kontakty ze zdeklasowaną holenderską arystokracją. Kupił obraz holenderskiego malarza i zaczął palić długą porcelanową fajkę. Mój mąż, przykro mi to stwierdzić, stawał się Holendrem.

Nie jestem pewna, ale mógł zacząć się tak sprzeniewierzać rok wcześniej. Pamiętam, że była późna wiosna, bo hiacynt na mojej toalecie znajdował się już w tym stadium smutniejszego, bledszego błękitu, gdy jego woń jest najmocniejsza, ponieważ wydaje jej ostatek. Nie odprawiłam jeszcze mojego porannego rytuału, to znaczy, nie

dokończyłam toalety. Nie miałam na twarzy zaprawy ani pudru i nie dopięłam sobie loków. Depilowałam brwi, kiedy Gerard powiedział do mnie coś, czego nie dosłyszałam. Prawdę mówiąc, choć teraz tego żałuję, zignorowałam go, ponieważ nie mogę myśleć, a tym bardziej rozmawiać, kiedy się upiększam.

— Claudine! — zawołał, tak głośno, że się przestraszyłam i upuściłam pęsetę.

Mieszkanie z mężczyzną pod jednym dachem jest doprawdy zbyt niewygodne. Mogą cię przyłapać zupełnie niegotową. Zrozumiesz to, kiedy będziesz w moim wieku.

W lustrze zobaczyłam, że na mnie patrzy. Siedział na brzegu łóżka bez spodni i pończoch, jego chude, owłosione nogi dyndały w powietrzu jak macki pająka.

Odwróciłam się doń i zapytałam słodko:

— O co chodzi, *mon cher*?

Zawsze bądź słodka, bez względu na wszystko. Nigdy nie wiesz, co sobie myślą.

Nie powiedział tego, co zamierzał, słowa musiały ulecieć jak ćmy, ale miał spojrzenie człowieka, którego spotkało nieszczęście. W jego oczach malowała się rozpacz, jakby po raz pierwszy dostrzegł, że nasze możliwości się wyczerpały, że syn, na którego czekał, nigdy się nie narodzi. Sądzę, iż nagle uświadomił sobie, że przestaliśmy się nawet starać o dziecko. Pomyślałam, że jeśli kiedykolwiek coś do mnie czuł, to uczucie zaczyna słabnąć. I zrobiło mi się ciężko na sercu.

Wychowano mnie w wierze, że gdy idzie się do ołtarza zgodnie z życzeniem rodziny, z czasem i dzięki cierpliwości miłość przychodzi sama, więc próbowałam pokochać Gerarda, choć nie bardzo wiedziałam, do czego dążę. Och, zdarzały nam się chwile namiętności, ale czy była to mi-

łość? Żywiłam sentymentalne przekonanie, bo pewnie o to spytasz, że w miłości człowiek zaryzykuje wszystko, wszystko poświęci, wszystko zignoruje i przetrzyma, byle być z ukochaną osobą. Wyznawałam teorię — zapożyczoną od mojej ciotki z Prowansji — że jeśli będziemy robić wszystko z dostateczną pasją, ta pasja naprawi to, co nie udało nam się w życiu. Ale po tym spojrzeniu — oczy Gerarda przepełniało takie rozczarowanie, jakby świat się zmienił, a on wreszcie zobaczył go takim, jakim był naprawdę, i już nigdy nie nazwie go pięknym — po tym spojrzeniu przestałam być pewna słuszności ciotczynej teorii.

Udawałam, że wszystko jest w porządku, bo na swój sposób był dla mnie dobry — widzisz, dał mi obraz przedstawiający dziewczynkę, moje życzenie, nie chłopca, jego — choć był też dobry dla innych. Jako *ministre d'impôt*¹ miał pełne ręce roboty, zbierał dla cesarza sto milionów guldenów rocznie, ale nie było tajemnicą, że ściąga też mniej wymierne podatki od wybranych przez siebie zubożałych holenderskich arystokratek, głównie od tej dawnej orańskiej baronowej powiewającej flagą na głowie. Postanowiłam przymknąć na to oko i nie myśleć, i przez następny rok zajmowałam się przyjemnymi rzeczami. Wiosną organizowałam wycieczki na pola tulipanów pod Haar-łmem, latem drżałam z zimna w tych śmiesznych wiklinowych koszach na plaży w Scheveningen, stawiając czoło okropnemu morskemu wiatrowi, a zimą ślizgałam się na łyżwach pod pałacem Huis ten Bosch. Pewnego razu Gerard, omal się nie przewracając na lodzie, wydał lekki okrzyk przerażenia, roześmiał się z siebie i impulsywnie chwycił moją rękę, a mnie ogarnęła czułość dla niego, choć nie nazwałabym jej miłością. Aby odzyskać równowagę, chwyciłby każdą rękę.

A teraz, dzięki hrabinie z Mauritshuis, wiedziałam, że monsieur le C. może, porywistymi wariacjami na stary temat, zmieść rozpacz mego niepokoju.

Posłałam wiadomość do Oude Doelen, zapraszając go, by z trzema innymi muzykami, których sam wybierze, kwartet smyczkowy, dał koncert kameralny w naszym domu, „obszernej rezydencji z białego kamienia przy Vij-verberg”, napisałam, aby wiedział, że będzie miał znaczącą publiczność. Odpowiedział mi serdecznie, i tak zachęcona, odwiedziłam go nazajutrz w celu ustalenia szczegółów. Gdy go ujrzałam, niepokalana biel jego kołnierza przyprawiła mnie o omdlenie, lecz dzięki solom trzeźwiącym i wsparciu jego silnej dłoni szczęśliwie udało mi się dojść do siebie. Powtórzyłam zaproszenie, bez tchu. To znaczy, postanowiłam nie oddychać, dopóki nie wyrazi zgody. Z namysłem przechylił głowę, uniósł idealnie wyskubaną brew, poprawił koronkę przy mankiecie, obdarzył mnie powolnym, wystudiowanym uśmiechem i zaproponował, abyśmy przejechali się powozem po Bosch, wielkim lesie za miastem.

Co też zrobiliśmy, z opuszczonymi zasłonami. Tak duszno było w tym zamkniętym, trzęsącym się pudle — mieliśmy lipiec — że nie mogłam tego znieść. *Fichu?* przykleiła mi się do wilgotnego karku i do kusicielskich wzgórków z przodu. Nie miałam innego wyjścia, jak ją zdjąć. W słabym świetle odkryłam, patrząc w dół i w bok — kokieterijnie, miałam nadzieję — że ma na kamizelce cały krajobraz wyszyty drobnym ścięciem. Gdy pozwoliłam sobie powieść palcami po hafcie, przykrył moją dłoń swoją i przycisnął ją do siebie, pewny znak, że zgodził się zebrać kwartet. Mogłam odetchnąć!

— Haydn jest *der/guer*⁴ — oznajmił — ale czy mógłbym

też zaproponować kwartet *C-dur* Mozarta? Nosi nazwę *Dissonanz*, „dysonansowy”. Czy to cię, pani, przeraża?

— Przeciwnie, brzmi ekscytująco.

— Zaczyna się pulsującą basową nutą, jak bicie serca człowieka, który pragnie zaspokojenia, i nabrzmiewa do pełni, gdy włączają się wyższe głosy.

— Czy... czy osiąga *crescendo*?

— W najwyższym spełnieniu.

— A więc proszę go zagrać.

W następnym tygodniu dostarczył mi przez posłańca wiadomość, że pozyskał pozostałych członków kwartetu, i kilka dni później odwiedziłam go ponownie, aby omówić listę gości i zamknąć program koncertu, co uczyniliśmy, spacerując wokół upstrzonego łąbiedzimi piórami Vijver.

— Zawsze jest politycznie — powiedziałam — zaprosić kilku Patriotów⁵, więc będą obecne rodziny Leopolda van Limbourg Stimm, Gijsberta Karela van Hogendorp i Adama van der Duyn.

— Wiesz, pani, że łąbędzie łączą się w pary na całe życie? — zapytał. — Co o tym sądzisz?

— Głupota. Widzisz, jakie mają małe głowy? Włożyłam na koncert suknię z prążkowanego jedwabiu,

barwy hiacyntów, jak kaftan dziewczyny na obrazie, nie zanadto strojną, ale z pewnością wpadającą w oko. Doznawszy w ostatniej chwili olśnienia, posłałam służącego do miasta, aby poszukał hiacyntów do przybrania wielkiego salonu. Ich zapach byłby upajający. Czekaając na jego powrót, chodziłam po pokojach, pocąc się pod pachami i biustem. Wykąpałam się ponownie, dla uspokojenia polałam kark chłodną wodą, i nasłuchiwałam odgłosów domu — Gerard nucący coś w szlafroku, fałszywie, ale wesoło; *stac-*

cato kroków na marmurowej posadzce; krzesła ustawiane w salonie; półszept, napominające: „Nie, nie, pani kazała umieścić to tam” i „Pani powiedziała, że nie wolno zapalać lamp w saloniku, a w *petit salle* światło ma być przyćmione”. Byłoby doprawdy uroczo, gdzie tylko spojrzeć, te zuchwałe kolumny słodczy we wszystkich odcieniach błękitu sterczące sztywno jak, jak... cóż, tego wieczoru, powiedziałam sobie, damy spowite migotliwą księżycową poświatą będą spijać ściekający z kwiatów nektar.

Kiedy służący wreszcie wrócił, natychmiast zrozumiałam, że sezon już się skończył.

— Nie ma hiacyntów, proszę pani. Ogromnie mi przykro. Obszedłem wszystkie kwiaciarnie, jakie znam.

Podał mi jeden sfatygowany, zenująco przywiedły kwiat. Uznałam, że mądrzej będzie go nie eksponować, aby uniknąć porównań

Wielki salon płonął złotem nowych świec w kinkietach. Pastelowi goście przemykali po czarno-białej posadzce, tak mocno wypolerowanej, że wyglądała jak powleczone szkłem. Dobiegł mnie perlisty śmiech; Gerard pochylał się szarmancko, by pocałować dłoń tej oranżystki, Agathy od groteskowych fryzur, która miała suknię tak ciasną, że chyba zszyto ją na niej. Szukałam w głębi serca łaskawości, aby przywitać tę kobietę uprzejmie, ale ptasie pióro zatknięte w gnieździe organdyny na jej kapeluszu-budce opadało naprzód, ilekroć skinęła głową, jakby dziobało ziarno. Nie ufałam sobie.

I nagle zjawił się on!

Miał na sobie zgrabny frak koloru morskiej wody z wzorem w łuski. Gdy odwrócił się do Gerarda, zobaczyłam poły zwężające się w szpic niczym ogon dorsza. Z tyłu wyglądał... *mon Dieu!* Wyglądał jak... ryba, istna ryba! Nie mo-

głęboko oddychać. Nie mogłam myśleć. Skierował się w moją stronę, ale przechwyciła go hrabina Maurits, a potem inni, i musiałam się zadowolić przywitanie go publicznie.

Podczas Haydna przybrałam na twarz wyraz, który, jak sądziłam, lubił — wzniosłego, eterycznego rozmarzenia. Pochyliłam się do przodu, by pokazać, że słucham jego gry z największym zajęciem, choć ból przeszył mi dół pleców, a pionowe fiszbiny gorsetu wbiły się w żołądek — co nigdy by się nie zdarzyło, gdybym uszyła go w Paryżu, gdzie było moje miejsce.

Spostrzegłam, że Gerard z roztargnieniem rozgląda się po pokoju, zamiast poświęcić całą uwagę nutom. Jak ktokolwiek mógł nie wpatrywać się w muzyków?

Skupiłam się na ustach monsieur le C., jak je wydyma w uroczym dąs, gdy musi zagrać coś *allegro*. Jego dłonie, jakże zwinne i lekkie, niczym ptaki. A jego *pizzicato*⁶! Struny mego serca wibrowały. Stwarzał takie niebiańskie dźwięki, takie nastroje, miał moc wywoływania takich wzlotów ducha — czy było dziwne, że rozпалиł moją namiętność? Zastanawiałam się w udręce, tak jak ty, czy mogą to być narodziny miłości. Nie bardzo wiedziałam, jak ją rozpoznać. Czy miłość wprawia nas całych w trzepot czy też napełnia wielkim wewnętrznym spokojem? Brzmiało to zbyt staro. Jak ser. Wolałam trzepot ptaków i mój umysł igrał pod ich urokiem przez całego Mozarta.

Pozabawiawszy gości stosowny czas, podeszłam do niego, stwierdziłam, że grał jak anioł, i pozwoliłam mu pocałować moją dłoń. Nie było potem trudno zwabić go do saloniku. Starczyło powiedzieć, że chcę mu pokazać małe holenderskie arcydzieło. „Obraz młodej dziewczyny, dziewicy” — zadrwiłam, choć teraz jest mi wstyd, że tak ją wykorzystałam. Przechodząc przez *petit salle*, przykrę-

ciłam knot lampy, wzięłam go za rękę, zaprowadziłam do ciemnego saloniku i szybko zamknęłam za nami drzwi. Nic nie widzieliśmy.

Odliczyłam sześć kroków do sofy i zatonęliśmy z westchnieniem w grzesznym luksusie. Całował mnie. Ja go całowałam, i wyczułam, samym koniuszkiem języka, stwardnienie skóry pod lewą żuchwą. Wstrząśnięta, uświadomiłam sobie, że to w tym miejscu przyciska skrzypce podbródkiem; zawodowa przypadłość, którą mogłam mu wybaczyć przez wzgląd na grację jego ręki od smyczka.

I wybaczyłam, bo grał na mnie jak na ukochanym instrumencie. Zatańczył *pianissimó*⁷ palcami po mojej szyi i wykonał *glissando** wzdłuż kręgosłupa. Jego preludium, *arpeggio*⁹, od którego zadrżało całe moje jestestwo. Jego *pizzicato*, to na nie czekałam.

Gorączkowo przedzierał się przez spódnicę wierzchnią, spodnią, rogówkę i halkę, i pomyślałam z ulgą, jak niepraktyczne byłyby kalesony. Sapanie. Słyszałam głośnie sapanie i szelest. Czyżby się tam dusił? Aby nie być niedelikatną, powiem tylko, że jego struny pęczniały w *vibrato*^w. Wydał cichy okrzyk, *tremolo*ⁿ, i zaśpiewał jedną cienką nutę, *falsetto*^u.

Zdawało mi się czy naprawdę słyszałam stłumiony diabelski chichot? Zdecydowanie damski. Nie byliśmy sami! Co gorsza, ta kobieta mogła nas widzieć przez drzwi w świetle *petit salle*. Jeśli zapalę lampę, dowiem się, kto to jest, to znaczy, komu muszę ofiarować jakiś szczodry prezent, i to szybko, by zapewnić sobie milczenie. Monsieur le C. poruszył się pod moją wzburzoną spódnicą i chciał chyba przejść do drugiego *mouvement*TM, ale tak mnie rozproszyło to odkrycie, ten szelest materiału — była to tafta — że cała przyjemność, którą wyobraża-

łam sobie od tygodni, uleciała tak szybko jak muzyczny ozdobnik. Próbowałam sobie przypomnieć, kto nosi taftę, w połowie lata. Odepchnęłam le C, wymacałam stół, zapaliłam zapalnik i w pierwszym błysku światła lampy zobaczyłam, na szezlongu pod cnotliwym spojrzeniem dziewczyny z obrazu, ze spuszczonej spodniami, przez co wyglądał jak oskubana gęś, Gerarda.

A z nim była nie ta upiorna Agatha z ptasim gniazdem na głowie, lecz hrabina Maurits, i oboje wpatrywali się w nas.

Zostałam złapana, owszem, ale zarazem uwolniona, w tej samej chwili. Bogu niech będą dzięki! Teraz wrócę do Paryża!

Miałam tylko jedno wyjście. Szybko, choć w jednym trzewiku, przemknęłam przez *petit salle* do wielkiego salonu i pociągnęłam orańską baronową za sobą. Czy jej się to spodoba czy nie, Agatha van Solms będzie świadkiem niewierności swego kochanka.

Była to, pod każdym względem, burzliwa noc. Nie oddałabym jej za tysiąc spokojnych letnich dni. Kiedy przed świtem położyłam się do łóżka, Gerard nadal szalał.

— Jak śmiałaś tak mnie skompromitować?! Chyba zdajesz sobie sprawę, że jutro będzie o tym mówić cała Haga?

Były to, wydaje mi się, ostatnie słowa, jakie usłyszałam tej nocy. Odwróciłam się na bok, naciągnęłam kołdrę na głowę i przypomniałam sobie z rozbawieniem, jak, gdy wracałam przez *petit salle*, holując Agathę niczym holenderską barkę, zderzyłam się z monsieur le C, który chyłkiem umykał z saloniku. Zasnęłam, myśląc: jaka szkoda, że nie mieliśmy hiacyntów.

Rozgoryczenie byłoby nie na miejscu. To, że nigdy nie oskarżyłam Gerarda o wiarołomstwo; że nie napadłam na

tę matronę z Mauritshuis, która, Boże, miej nad nią litość, sama zapoznała mnie z rozkoszami haskich salonów muzycznych; że, prawdę mówiąc, liczne występki męża były mi obojętne, oznaczało, przede wszystkim dla mnie, iż nasza miłość ostygła i zbladła. Haga była, co każdy Holender oznajmiał z dumą, stolicą triumfu rozumu nad namiętnością. Zamierzałam więc skorzystać z tego, czego się dawniej lękałam. Zdrada — jego czy moja, nie miało to znaczenia — wyzwoliła mnie. Lepiej wyjechać, niż stać się symbolem skazy i zmaży wspomnianym za płóciennymi wachlarzami poza zasięgiem słuchu córek. Okres pokuty wśród lawendy w letniej rezydencji mojej ciotki w Prowansji, a potem wrócić do Paryża, do Charlotte, gdzie teatr i opera pomogą mi zapomnieć. Ach, to cudowne westchnienie ulgi, jakie się wydaje, rozsznurowując gorset, ta wspaniała wolność mogła być moja, gdy tylko wsiadę w paryski dyliżans.

Jak jednak za niego zapłacić? Nie mogłam czekać, aż ojciec przyśle mi pieniądze. Trwałoby to dwa tygodnie. I pociągnęło za sobą pytania. A byłoby nieprzyzwoitością zostać tu noc dłużej niż konieczne. Musiałam pomyśleć. Tym razem naprawdę musiałam pomyśleć. Co mogłam zrobić? Co miałam?

Z ukłuciem bólu dotarło do mnie — obraz.

Starając się nie patrzeć, zawinęłam go nazajutrz rano w muślin i wezwałam powóz. Musiałam obejść się bez dokumentów, które Gerard trzymał w sejfie. Zaczęłam u van Hoepa, ale spotkałam się tam wyłącznie z grymasami. Stojąc, jakbym miała odejść, z muślinem w dłoni, nie mogłam oderwać wzroku od twarzy dziewczyny na obrazie. To, co brałam wcześniej za bezmyślność, wydało mi się teraz niewinnością, przeze mnie bezpo-

wrotnie utraconą, i głębokim, godnym pozazdroszczenia spokojem. Nie były to po prostu cechy jej młodości, lecz coś cenniejszego — prostolinijna natura. Czytałam to w jej oczach. Ta dziewczyna, gdy stanie się kobietą, naprawdę zaryzykuje wszystko, wszystko poświęci, wszystko zignoruje i przetrzyma, byle być ze swoim ukochanym.

— To coś więcej niż ładny drobiazg, dobry człowieku — powiedziałam. — Zagładasz w szczerą dziewczęcą duszę.

Nagle zrozumiałam, że robiąc przy niej to, co robiliśmy, zachowaliśmy się z le C. nieprzyzwoicie. Taki wstrząs musiał pozostawić trwałe ślady w jej wrażliwości.

— Czy to na pewno Vermeer? — zapytał handlarz.

— Na pewno. Są na to dokumenty, ale w tej chwili nie mam do nich dostępu.

— I co te dokumenty mówią?

— Że obraz został namalowany przez Jana van der Meer z Delft i sprzedany w Amsterdamie jakieś sto lat temu. Nie pamiętam dokładnie kiedy.

Machnęłam chusteczką na znak, że takie szczegóły są nieistotne.

— Nie ma podpisu. Gdyby w papierach stało, że to van Mieris, mógłbym dać dwieście guldenów, ale za Vermeera, phi.

Zawinęłam obraz z powrotem i wyszłam bez słowa. Drugiemu handlarzowi powiedziałam, że to van Mieris.

— Na pewno nie Vermeer?

— Na pewno.

On też spytał o dokumenty, i nie mając dowodu, że to van Mieris, zaoferował mi dwadzieścia cztery guldeny. Zaledwie tyle, by opłacić dyliżans i gospody. Zgodziłam się i płakałam w powozie całą drogę do domu.

*Grace à Dieu*¹⁴, Gerard był w ministerstwie. Miałam czas skreślić do Charlotte tylko kilka słów: „Uciekam do Francji. Przygotuj ojca. Spędźmy resztę lata w Prowansji”.

Gdy załadowano moje kufry i woźnica pomógł mi wsiąść do dyliżansu, nie płakałam; czułam tylko chęć płaczu, którą powściągnęłam aż nazbyt łatwo. Gerard przeżyje i rozkwitnie. Jeżeli było nad czym płakać, to nie nad Gerardem ani monsieur le C, ani nawet nade mną. Jedynie nad obrazem, bo będzie teraz szedł przez lata bez metryki, jak dziecko z nieprawego łóża, a wszelka nieprawość, czy obrazów czy dzieci, czy miłości, powinna być źródłem szczerzych łez niż te, na które potrafiłabym się zdobyć.

Miłość, jaką znałam, i tak była głupia, całe to wrzenie krwi i kołatanie serc, spotkania spojrzeń. Bądź realistką, moja droga. Kto chce zaglądać w drgające nozdrza? Jeśli naprawdę na tym polegała miłość, było to za mało. Zrozumiałam, że wiedza, czym miłość nie jest, może być równie cenna jak wiedza, czym jest, choć daje nieskończenie mniejszą satysfakcję. Patrząc przez okno dyliżansu na mężczyzn i kobiety pochylających się nad płaskimi polami ziemniaków, postanowiłam, że będę tak kontenta jak moja utracona dziewczyna wyglądająca przez własne oświetlone słońcem okno. Samo siedzenie i myślenie też ma wiele zalet. Życie nie jest, ani nie było, *fantaisie*, lecz mimo to można się bawić, czyż nie? A co do monsieur le C, choć nie pamiętam jego twarzy, nadal odmawiam za niego *ave* w kościele św. Magdaleny w każdą Niedzielę Męki Pańskiej, dziękując mu ze wszystkich strun mego serca za moje zmartwychwstanie.

BLASK PORANKA

Wczesnym rankiem drugiego dnia po powodzi Saskia otworzyła okiennice i wyjrzała z południowego okna na piętrze. Ich dom był wyspą odciętą od świata. Opary mgły w różnych odcieniach szarości przesłaniały cztery sąsiednie zagrody, lecz woda lśniła jak wypolerowane cynowe naczynia w kuchni jej matki w Westerborku. „Niechaj się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce i niech się ukaże powierzchnia sucha, i tak się stało” — pomyślała. Ale się tak nie stało. I krowa będzie musiała mieszkać z nimi na górze, aż tak się stanie, bez względu na to, jak długo to potrwa, mieszkać na górze, brudząc podłogę i zajmując połowę izby.

Oparła się o parapet i popatrzyła na nagi wiąz — tak młody i mały, że spod wody sterczało tylko kilka gałązek — aby sprawdzić, czy nie siedzą na nim ich kury. Może Stijn je dziś znajdzie. Najbardziej żałowała Pookje, która była prawdziwą pięknnością, z tymi rudymi piórami na podgardlu, miękkimi jak włoski dziecka. I zawsze wstawiała taka elegancka i dumna, aby pokazać swoje doskonałe jajko. Saskii zrobiło się wstyd. Inni stracili znacznie więcej.

Ona i Stijn nie stracili prawie nic. W dniu powodzi dziesiątki razy wdrapywała się na piętro, przenosząc meble

i jedzenie, podczas gdy krowa wodziła za nią wielkimi brązowymi oczami. Na użytek dzieci starała się zrobić z tego zabawę, a nawet zeszła na dół, do zimnej wody, by uratować po omacku jeszcze kilka rzeczy, kiedy już ich zalało. Pod koniec dnia bolały ją nogi i nie mogła ruszyć ręką. Myślała, że Stijn będzie zadowolony, że przydźwigała na górę aż tyle, ale kiedy wszedł przez okno po dwóch dniach nieprzerwanej pracy przy wale Damsterdiep, objął wzrokiem cały ten bałagan, z kołowrotkiem jej babki leżącym na cegiełkach torfu pospiesznie ułożonych w stertę, i zapytał:

— Czy to wszystko jest nam potrzebne? Wybaczyła mu. Był wyczerpany i stroskany.

Teraz dostrzegła przez południowe okno jakiś ciemny przedmiot dryfujący w oddali na wodzie, skręcający jakby z własnej woli to w jedną, to w drugą stronę.

— Stijn — powiedziała — możesz na to spojrzeć?

Gdy wychylił się przez okno, poczuła na ramieniu jego ciepłą dłoń. Ostatnio — choć wiedziała, że go to drażni — próbowała wycisnąć czułość z każdego przypadkowego dotknięcia i nic nie znaczącego gestu, więc zamilkła na chwilę, aby nie cofnął ręki.

— Czy to nie klacz Boswijk?

Odwróciła się, by popatrzeć, jak mruży oczy, zobaczyć te kochane, nowe zmarszczki w ich kącikach.

— Rzeczywiście.

Wziął kaftan i wyszedł przez północne okno z drugiej strony domu, gdzie przywiązał swój skif.

Marta i Piet wstali z łóżeczka i z hałasem gramolili się do niej po bieliźniarce.

— Widzisz — powiedziała Marta swym pełnym wyższości, wszystkowiedzącym tonem czterolatki — konie też umieją pływać.

— Ten koń nie płynie — odparł Piet. — Jest taki duży, że może wystawić głowę.

Saskia dała im po kawałku sera. Nie mieli już chleba. Będzie musiała się nauczyć go wypiekać w małym piecyku na torf.

— Saskia!

Głos Stijna przejął ją trwogą. Przecisnęła się do drugiego okna. Podawał jej z łodzi jakiś płaski przedmiot zawinięty w pled. Wychyliła się za parapet. Przedmiot nie był ciężki, ale wysliznął jej się z rąk pod pledem i wpadł do błotnistej wody. Stijn rzucił się za nim, kołysząc łodzią, chwycił go, wyplątał z pledu i podał jej ponownie... jakiś obraz. Przeniosła go bezpiecznie przez parapet i zobaczyła piękną dziewczynę wyglądającą przez okno.

— Co to jest, mamó? — zapytała Marta.

— Mój Boże! — usłyszała okrzyk Stijna. — Saskia! Wychyliła się, jak mogła najniżej, a on, stojąc w łodzi, podał jej, jeszcze ostrożniej, koszyk z niemowlęciem, po czym chwycił wiosła.

— Dziecko! Ktoś włożył nam do łodzi dziecko — powiedziała Saskia.

— Dziecko. Dziecko! — zawtórował jej Piet.

Mając pięć lat, powtarzał wszystko, co usłyszał, i wszystko na świecie go śmieszyło.

W miarę jak rozwijała pled, niemowlę stawało się coraz mniejsze. Musiało urodzić się niedawno, bo miało wciąż różową i pomarszczoną twarzyczkę. Kiedy dotarła do szala w smutnych kolorach, bury błękit spleciony z szarą zielenią, zadrżały jej ręce i znieruchomiała, pojawiając, że jest to szal jego matki.

— Co to za dziecko, mamó? — zapytała Marta.

— Nie wiem. Biedactwo strasznie zmarzło.

— Święty Mikołaj! — zawołał Piet. — Przyniósł je Święty Mikołaj.

Dzieci poturlały się po podłodze ze śmiechem.

Podpaliła w piecyku cegielkę torfu, aby zagrzać wodę do umycia dziecka. Zaczęła rozwijać szal i znalazła zwiędnięty liść kapusty. Uśmiechnęła się.

— Po co to? — spytała Marta, stojąca tak blisko niej, że ledwo mogła się ruszyć.

— Och, to taki stary przesąd. Na szczęście dla dzidziusia.

— Możemy go zatrzymać? Możemy go zatrzymać, mamó?

— Liść kapusty? — zdziwił się Piet. Marta pchnęła go lekko.

— Możemy zatrzymać dziecko?

Drżącymi dłońmi Saskia wyjęła z fałd szala jakiś papier, dokument od handlarza dziełami sztuki. Na odwrocie, dużymi drukowanymi literami, wypisane były słowa: „Sprzedajcie obraz. Nakarmcie dziecko”.

— Ojcie Niebieski — wymamrotała.

Czarne litery przepłynęły jej przed oczyma jak węgorze. Że też matka mogła napisać coś takiego. Podniosła mokrą szmatę. Chłopiec. Mały Mojżesz o niebieskich oczach, z kilkoma lokami blond włosów. Chłopiec, jeśli uda jej się utrzymać go przy życiu. Postawiła garnek mleka na fajerce nad płonącym torfem. W bieliźniarce znalazła pieluchy. Dziecko było umyte i nakarmione, zanim wrócił Stijn.

— To była klacz Boswijka — powiedział. — Najgłupszy koń, jakiego widziałem. Uwiązałem go na linie i zaholowałem do stodoły, ale cholemik nie chciał wejść po rampie, więc z chłopakiem Boswijka musieliśmy spiąć go pasem i podciągnąć na krążku. Utopiłem drag i będę teraz musiał wiosłować.

— Zlecono nam opiekę, Stijn.

— Nad tym dzieckiem?

Popatrzył na nie, nie bez życzliwości, ale krótko.

— To chłopiec.

Wiedziała, że chłopiec będzie milej widziany.

— Okropnie chudy. Pewnie nie przeżyje więcej niż tydzień.

Pokazała mu dokument.

— Jest tu tylko napisane, kto namalował obraz.

Stijn obrócił papier. Zapadła cisza tak długa, jakby mieli już nigdy nie przemówić.

— Bóg nam go zesłał — wyszeptała w końcu Saskia.

— Razem ze środkami na jego utrzymanie. Zawieź go do Groningen w najbliższy dzień targowy.

— Dziecko?

Posiała mu trwożne spojrzenie, bo w Groningen był sierociniec.

— Obraz.

Stijn zapakował sobie gomółkę sera i plaster solonej wieprzowiny i wyszedł przez okno do łodzi.

Chłopiec był pięknym dzieckiem. Kształt jego policzków i podbródka przywodził jej na myśl rozwinięty tulipan. Cały dzień siedziała, karmiąc go kropla po kropli ściekającym po palcu mlekiem. Całowała podeszwy jego stopek, otulała go pledem i nie mogła się powstrzymać, by go nie dotykać. Od czasu do czasu rozpościarał rączki, jakby chciał objąć ją, dzieci i krowę, i cały szeroki świat. Będą musieli się dowiedzieć, do kogo należy, ale na razie, z boskiego rozkazu, musiała utrzymać go przy życiu.

Co kilka godzin Marta pytała:

— Co zrobimy, mamó? A Piet wtórował:

— Co zrobimy?

Na ogół tylko się do nich uśmiechała, nic nie odpowiadając.

Stijn wrócił do domu zniechęcony. Nic nie zacznie schnać, póki nie naprawią wałów morskich. Wtedy będzie można uruchomić wiatraki i kiedy woda opadnie do poziomu wału Damsterdiep, przeniosą się tam.

— Ściągają ludzi aż z Woldijk. Kwaterują ich w Delfzijl, ale my będziemy musieli codziennie wiosłować.

Wspięła się na palce, by pocałować go w policzek.

— Nie dotykaj mnie. Jestem brudny.

Nie miało to dla niej znaczenia, ale cofnęła się posłusznie.

— Będzie to cud, jeśli tej wiosny zasadzimy ziemniaki.

— Zasadzimy je. Na pewno.

Położyła mu dłoń na ramieniu i poczuła, jak napina mięśnie. Miał skłonność do przewidywania najgorszego; do niej należało przywracanie mu nadziei.

— Dziecko napiło się dziś mleka pięć razy. Spojrzał na koszyk, w którym położyła chłopca.

— Jaka matka porzuca dziecko w czas powodzi? ' Zdjął wierzchnie ubranie i usiadł na brzegu wysokiego,

wbudowanego w ścianę łóżka. Piet, leżący w dziecięcym łóżeczku pod spodem, pociągnął go za nogawkę spodni. Stijn odsunął nogę.

— Taka, która nie ma wyboru.

— Zostawił je Święty Mikołaj — powiedział Piet, i nagle Saskia przypomniała go sobie. Obcego mężczyznę w ski-fie, proszącego o mleko.

— Cicho, Piet. Śpij już. — Wylała przez okno miednicę brudnej wody. — To dobre dziecko. — W tym momencie, akurat gdy Stijn nań patrzył, chłopiec rozpostarł rączki. — Widzisz? Lubi cię.

Przez następne dni Stijn wychodził z domu o brzasku i wracał po zmroku, *doodmoe*, jak mawiał jej ojciec, śmiertelnie zmęczony. Miał tylko tyle siły, by coś zjeść i powiedzieć kilka zdań o pracy. Bała się poprosić, aby nadali dziecku jakieś imię, bo znaczyłoby to, że uznali je za swoje. Raz, gdy przewijała chłopca, nazwała go Jantje, mały Jan, od imienia w dokumencie, i Piet z Martą mówili tak na niego za dnia, ale wieczorem już nie.

Dom był dla Saskii szczęśliwą wyspą pośród wód. Robiła wszystko w ciasnej przestrzeni pomiędzy workami śruty, ich meblami z dołu i, rzecz jasna, Katriną, mleczną krową. Codziennie zmieniała jej słomę i kładła placki łąjna na parapetach i dachu, aby wyschły. Wykorzystają je potem do odbudowania gleby. Później, razem z Pietem, który znosił to uwięzienie gorzej niż Marta, wiosłowała do stodoły, aby złożyć tam wyschnięte łąjno, uzupełnić zapasy ziarna, ziemniaków i marynowanego mięsa i wziąć świeże siano dla Katriny. Potrzebowali mleka, więc krowa musiała zostać, ale Stijn sprowadził ich konia z ziemnej rampy do wody i pokierował go, samemu płynąc łodzią, do kanału, gdzie konie wszystkich mieszkańców wsi zostały załadowane na barękę i przewiezione na suche pastwisko w głębi łądu. W żeliwnym piecyku nad torfowym paleniskiem mogła piec okrągłe bulki zamiast bochenków, jakie normalnie piekła w wielkim piecu na dole. Przytaszczyła na piętro masielnicę, by móc robić masło. Jakoś przeżyją. I Jantje też. Chłopiec wiercił się i kopał, i czasem wypluwał mleko, ale jego cienki głosik stawał się silniejszy z każdym dniem. Patrzył na nią z wdzięcznością, jak sobie wyobrażała, od której topniało jej serce. Wiezorami jej szczęście, jej relacje o wydarzeniach dnia, zdawały się jedynie irytować Stijna.

Nie miał to być niszczycielski biblijny potop. Ani taka powódź jak przed trzema wiekami w dniu św. Elżbiety, kiedy zniknęły z powierzchni ziemi całe wsie. Saskia pamiętała ponury obraz, własność jej babki, wiszący w domu nad wirginałem. Nazywał się *Groote Hollandsche Waard*¹ i przedstawiał ludne niegdyś miasteczko, które zmieniło się w jezioro. Spomiędzy sitowia i ptasich gniazd sterczały iglice zatopionych kościołów. Poniżej widniało solenne ostrzeżenie: „Pan Bóg wyniósł człowieka z przepastnej otchłani i uczynił go potężnym. Podobnie ma On moc karania grzeszników niszczącym potopem”. Jako dziecko była zafascynowana tym obrazem, lecz później, gdy nauczyła się czytać, te słowa napawały ją grozą. Nie lubiła myśleć o bożym gniewie.

Kiedy powódź przynosi dziecko i rzecz piękną, nie jest to apokalipsa ani nawet odsiew grzesznych dusz. To tylko woda głębokości metra czy półtora.

Pewnego wyjątkowo ciepłego dnia wzięła całą trójkę dzieci do łodzi — niemowlę opuściła w koszyku, posługując się zamocowanym u szczytu dachu krążkiem — tylko po to, aby mogli wszyscy wyrwać się z zamknięcia. Oddychała głęboko i wiosłowała bardzo wolno, by dłużej się tym cieszyć. Kołysanie uśpiło Jantjego. Podpłynęła kolejno do czterech pozostałych zagród i spytała pod oknami, czy nie widzieli drugi raz tego obcego mężczyzny w skifie. Obcego? Teraz ciągle kręcą się tu obcy, odpowiadali sąsiedzi, tylu ludzi naprawia groble. Opowiedziała im o dziecku i pokazała jego zaróżowioną od snu twarzyczkę.

— Minie sporo czasu, nim skopie ci ogródek — rzekła jedna kobieta.

Zona Boswijka, Aida, dała jej trochę melasy. W domu

Saskia co jakiś czas wlewała Jantjemu do buzi kilka kropel z łyżeczki. Marta siedziała przy nim wiele godzin, machając mu przed oczami szmatką, i kiedy zaczął wodzić za nią wzrokiem, Saskia dodała melasy do ciasta i upiekła słodkie ciastka dla dzieci, by to uczcić.

Co do obrazu, powiesiła go na kołku w ścianie, aby jej nie przeszkadzał. Wieczorem zasłaniała go ubraniem, nie chcąc, by Stijn sobie o nim przypomniał, ale za dnia go odkrywała. Czasem stawiała go w smudze bladego światła, które wpadało przez południowe okno. Pewnego ranka, kiedy po deszczu wyszło słońce i nałapali świeżej wody do małego zbiornika na dachu oraz przywiązanych do okapu wiader, umyła obraz, i och, jakże załśnił, jeszcze promienniejszy niż dotąd. Rdzawa spódnica dziewczyny połyskiwała jak liście klonu w jesiennym słońcu. Wlewające się przez okno kremowożółte światło barwy wnętrza płatków żonkili rozjaśniało jej twarz i odbijało się w błyszczących paznokciach. *Blask poranka*, nazwała go, gdyż wiedziała od babki, że obrazy mają nazwy.

— Kiedyś będziesz taka jak ona — powiedziała Marcie, zaplatając jej włosy.

Wymyślała historyjki o młodej kobiecie z Groningen, Amsterdamu lub Utrechtu, która zasłynęła swym talentem do igły, i ludzie z całej okolicy przychodzili do niej, aby coś im uszyła.

Gdyby tylko mogła zatrzymać również obraz. Nie posiadała zbyt wielu pięknych rzeczy, nie miała nawet prawdziwej serwantki, tylko skrzynię przykrytą lnianym niebieskim bieżnikiem babki. Tylko jedno wyściełane krzesło. Tylko cztery malowane talerze na półce, obok cynowej miarki. Zupełnie inaczej niż w dużym domu pod Westerborkiem, gdzie się wychowała, gdzie była bielona

kuchnia zastawiona fajansami z Delft i długi mahoniowy stół matki, i wirginał babki w pokoju od frontu, i obrazy na ścianach, i zasłony z bladobłękitnego lnu.

Dziewczyna na obrazie miała błękitny kaftan. Jak cudownie byłoby ubierać się w błękit — błękit nieba, błękit Raju, błękit tego ładnego jeziora w Westerborku, wokół którego rosły przetaczniki o maleńkich błękitnych kwiatach, błękit hiacyntów i naczyń z Delft, i wszystkich wspaniałych rzeczy. Żyć i poruszać się i tonąć całą sobą w powodzi błękitu. Podniosła Jantjego do obrazu.

— Widzisz, Jantje, jaka jest piękna? Może to twoja matka. Widzisz, jak młodo wygląda? Wytworna dama w wytwornym domu.

Jeśli tak było, chłopiec miał prawo wiedzieć, że jego matka nosiła błękity. Szal nie był dostatecznie błękitny. Zresztą był stary i podarty. Jantje potrzebował obrazu.

Potrzebował go nie tylko on. Wschodnia kapa na stole, mapa na ścianie, rzeźbiona zasuwka z brązu w oknie — ponieważ Saskia nie mogła mieć tych rzeczy w rzeczywistości, tym bardziej pożałowała ich na obrazie. Chwilami, gdy przepełniała ją radość, bo Jantje puszczał swymi maleńkimi usteczkami bańki śliny, albo kiedy rozśmieszyły ją figle Pieta, albo kiedy Marta, jedząc chleb, odginała mały palec jak dama na proszonej herbatce, pożądanie wypuszczało ją ze swych macek i powracał spokój ducha. Ale nie zdarzało się to często.

— Ten chłopiec pochodzi z bogatej rodziny — powiedziała do Stijna pewnego wieczoru.

Popatrzył na nią, wyraźnie zbyt zmęczony, aby spytać, skąd to wie. Zgarbiony nad stołem, czekał na wyjaśnienie.

— Spójrz tylko na koronkę, którą ma przy czepku. I nie

spieszy się z przyszywaniem tych guzików. Ma czas wyglądać przez okno, i nie jest ważne, czy przyszyje je tego dnia czy następnego. Myślę, że to matka chłopca, kiedy była młodą dziewczyną. Tylko bogaci ludzie każą sobie malować portrety. Chcę, żeby ją poznał. Nie byłoby w porządku wmówić mu, że jest nasz.

— Jutro jest targ w Groningen — powiedział Stijn.

— Och, nie, Stijn. Zaczekajmy jeszcze trochę.

— Niedługo będą nam potrzebne pieniądze.

Tej nocy starała się go nie dotykać w wąskim łóżku. Otworzywszy rano okiennice, zobaczyła mgłę, szarą jak popiół i tak gęstą, że ledwo mogła dojrzeć ich własną stodołę. „Dziękuję Ci, Ojciec Niebieski” — wyszeptała. Stijn nie wysłał jej na nieoznakowane wody we mgle. Na pewno by się zgubiła. W następny dzień targowy udała chorą, ale Stijn chyba jej nie uwierzył. W jeszcze następny Piet zachorował naprawdę. I tak sprzedaż obrazu się odwlekła. Często studiowała twarz Stijna, zmarszczki tworzące się wokół oczu, cienkie jak włosy, aby sprawdzić, czy nadal o tym myśli.

— Ile mamy jeszcze ziemniaków? — zapytał pewnego wieczoru, kiedy dzieci już spały.

Wiedziała, że chodzi mu o ziemniaki do jedzenia, bo żaden chłop, nawet głodujący chłop, nie tknie swego zapasu sadzeniaków, zwłaszcza tu, na północy, gdzie była to pionierska uprawa.

— Prawie cały kosz — odparła wymijająco.

Nie spytał o marynowane mięso. Rozeznawał się po coraz mniejszych porcjach, że nie mają go wiele.

— Usłyszałem na wale nowinę, która może cię zaniepokoić.

— Co to za nowina?

— W dzień powodzi była w Delfzjil egzekucja. Powieszono za morderstwo młodą czarownicę.

— Co z tego?

— Znaleźliśmy dziecko parę dni później. Jeśli mają powiesić kobietę, która jest brzemienna, zawsze czekają, aż urodzi. Dla mnie wszystko jest jasne.

— Matka tego dziecka nie była morderczynią. Nie była nawet leniwą wieśniaczką.

— Nie wiesz tego na pewno.

— Spójrz tylko na ten obraz. Spójrz na posadzkę. Kamienne płyty. Może nawet marmur. Spójrz na kapę na stole. To nie jest dom czarownicy ani kopaczki torfu, ani nawet chłopki. — Spostrzegła, że przy tym ostatnim słowie Stijn lekko zacisnął wargi. Wymyślone pochodzenie Jantjego stawało się dla niej tym bardziej rzeczywiste, im bardziej go potrzebowała. — Jantje urodził się w dobrym domu. W Groningen albo w Amsterdamie. W domu z mapą na ścianie i ładnymi meblami, i jego matka ubierała się w błękity.

— Jantje?

Zaczerwieniła się, zrozumiałwszy, co powiedziała.

— To dziecko trafiło do naszego domu, Stijn. Pan zawarł z nami przymierze.

— I złamiesz je, jeśli nie sprzedasz obrazu.

— Nie możemy poczekać? Mały nic nas nie kosztuje. Tylko odrobinę mleka.

— Odrobinę, z której lepiej byłoby zrobić ser. Odrobinę, którą można by sprzedać. I pamiętaj, że wymiona Katriny wyschną dużo wcześniej niż nasze pola.

Odwróciła się do niego plecami. Stał za nią i położył jej ręce na ramionach.

— Nie proszę, żebyś oddała dziecko, Saskia.

Skinęła głową, uznając to ustępstwo, i stała nieruchomo, by nacieszyć się ciężarem jego dłoni. Zbliżył twarz do jej twarzy i wstrzymała oddech.

— Wybierz się jutro do Groningen. Na pewno dostaniesz za ten obraz pięć guldenów. Może osiem, jeśli dopisze nam szczęście. Będziemy mieli na mięso.

— Ale...

— Zajdź do kilku sklepów. Przy uniwersytecie. Nie gódź się na mniej niż osiem guldenów. Żądaj dziesięciu. I pokaż ten dokument.

Nazajutrz o świcie opuściła do łodzi Pieta i Martę, obraz zawinięty w prześcieradło i na koniec Jantjego. Powiosłowała wzdłuż szpaleru nagich drzew, którymi wysadzone były brzegi kanału Damsterdiep. Biegąca szczytem grobli droga znajdowała się z początku pod wodą, lecz dalej w głębi ładu zaczęła się powoli wynurzać. Płyciznami poprzesywanymi turzycą i pełnymi kaczek dopłynęła aż do Woldijk, wału przecinającego Damsterdiep, pierwszego, który wytrzymał. Uwiązała skif i wysiadła, na zeszywniałych nogach, lecz rozradowana, że stąpa po twardym gruncie. Zapłaciła jakiemuś chłopcu pół grota, aby popilnował łodzi. Piet i Marta natychmiast pobiegli groblą, wołając: „Ziemia, ziemia!", i pozwoliła im tak dokazywać, póki mała holowana przez konia barka nie była gotowa do odpłynięcia do Groningen.

Widok zimowych pól czekających na siew po drugiej stronie grobli napełnił ją nadzieją. Ale nawet to nie pocieszyłoby Stijna. Nie nadzieja leżała między tym człowiekiem a Bogiem. Nie była to też wdzięczność. Ani uznanie dla stworzonych przez Niego ptaków czy liści. Czy pocałunków. W tej przestrzeni mieszkał strach. Przeraze-

nie widokiem resztek ziarna i wciąż mokrych pól. Lęk, że będzie musiał opuścić gospodarkę i głodować nad jakimś kanałem w Amsterdamie, z całą rodziną wyciągać do przechodniów pod przytułkiem miseczkę na jałmużnę. Nie był to jednak Bóg, jakiego chciała znać.

W oddali wyrosła nad równiną wieża kościoła Św. Marcina i kiedy zbliżyli się do wysokiej, kamiennej Bramy Wodnej, dzieci zapiszczały z uciechy i zaczęły podskakiwać. Kiedy i gdzie, i przez jaki kataklizm przechodzą mężczyźni i kobiety, że tracą tę rozpierającą swobodę ducha?

Minęli cukrownię i uliczkę kowali, gdzie dzieci zasłoniły sobie uszy, tyle było tam stukania młotkami. Piętowi i Marcie Groningen jawiło się jako miasto ze snu, pełne magicznych gmachów i sklepionych przejść, i okien skrywających tajemnice. Zadreczali ją pytaniami — Co robi ten człowiek? Co jest w tym wozie? Do czego służy ten metalowy przedmiot? — za którymi nie nadążała. I ludzie. Ilu tu ludzi, dziwiły się dzieci.

Na przystani Saskia spytała o drogę do dzielnicy uniwersyteckiej, i tam weszła do sklepu, w którym było pełno książek, jakichś tek i papierów, kilka obrazów i mnóstwo szczegółowych rysunków roślin, zwierząt oraz ludzkich ciał. Położyła obraz na ladzie i odwinęła prześcieradło. Skoro musiała go sprzedać, chciała to zrobić szybko.

Pomarszczony kupiec spojrzał na obraz i spytał:

— Skąd go masz?

Poczuła, że Piet i Marta przyciskają się z obu stron do jej nóg.

— Ktoś mi go dał.

Rozłożyła dokument, aby mu go pokazać. Wyciągnął po niego rękę, ale go nie puściła. Nie chciała, by zobaczył, co jest na odwrocie.

Czytając, zgiął palce prawej dłoni. Objął ją przenikliwym spojrzeniem i poruszył brwiami w bardzo nieprzyjemny sposób, na co Piet zachichotał. Ścisnęła go za kark, aby się zachowywał. Wiedziała, że będzie poruszał brwiami i parskał śmiechem przez całą drogę powrotną.

Wzrok mężczyzny przesunął się powoli w dół jej czarnej spódnicy z uprzedzonego w domu barchanu, do starych chodaków.

— Ktoś ci go dał?

— Tak, proszę pana. Mocno trzymała dokument.

— Wiesz, kto to jest Jan van der Meer?

— Nie, proszę pana.

— Zapłacę ci... — urwał i Marta oparła koniuszki palców na brzegu jego biurka. Saskia lekko pokręciła głową i dziewczynka szybko schowała rączki za plecy. — Dwadzieścia cztery guldeny.

Odwrócił się i, uznając transakcję za zakończoną, sięgnął po kasetę z pieniędzmi.

— Dwadzieścia cztery? — wyrwało jej się ze zdumienia. Jantje zapłakał i uświadomiła sobie, że trzyma go za mocno. Przesadziła go na drugie biodro.

— Dwadzieścia pięć. Ani stujwera więcej.

Jakże Stijn się ucieszy. Dwadzieścia pięć guldenów sprawi, że będzie dla niej czuły i już na pewno się zgodzi, aby zatrzymali Jantjego.

Ale kupiec unikał jej wzroku. Siedział za ladą, układając monety w stos. Miał długie, pożółkłe paznokcie. Nie mogła zaufać człowiekowi z długimi paznokciami. Obraz musi być wart jeszcze więcej. Z pewnością był wart więcej dla niej.

— Nie, dziękuję.

Zdumiała ją własna stanowczość. Piet zerknął na nią, zbity z tropu. Owinęła obraz prześcieradłem, starannie zawiązując rogi, czując, że kupiec idzie za nią do drzwi, jego protesty zlewały się w jej uszach w niewyraźny szum.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, zdjęło ją przerażenie i oblała się potem. A jeśli popełniła błąd? A jeśli gdzie indziej zaoferują jej mniej? Dwadzieścia pięć guldenów! Prócz tego, że mieliby co jeść do następnych zbiorów, za dwadzieścia pięć guldenów mogliby kupić maciorę i knura. Marzenie Stijna o hodowaniu świń mogłoby się spełnić, i to dzięki niej.

— Dwadzieścia pięć guldenów — powiedział Piet przesadnie kategorycznym tonem i poruszył brwiami tak gwałtownie, że zmarszczyła mu się cała buzia. Marta wybuchnęła śmiechem.

Saskia krążyła po ulicach dziarskim krokiem, lecz bez celu, kupiła dzieciom na straganie cynamonowy wafel, i nie przestawała się martwić. Zajrzawszy w okno jakiegoś antykwariatu, zobaczyła obraz na ścianie. Kazała Marcie trzymać się Pieta i weszli do środka. Na skrzyniach i stołach stały tam i leżały w nieładzie rogi do picia, puchary, kielichy i kufle z przykrywkami.

— Niczego nie dotykajcie — ostrzegła.

Marta i Piet nie posiadali się z podniecenia. Usiłując szeptać, pokazywali sobie nawzajem każdą nową rzecz — książki, brokatowe poduszki, rzeźby z Indii Wschodnich — a gdy znaleźli wielkie zwierciadło, zaczęli robić miny, poruszając jednocześnie brwiami, nosami, policzkami i ustami, i chichocząc do siebie.

— Szsz... — zgała ich Saskia, sama tłumiąc śmiech. Kupcowa obsługiwała jakiegoś mężczyznę, toteż Saskia miała czas obejrzeć poślódką mapę wiszącą na ścianie.

Wszystkie nazwy na niej były obce. Nie mogła znaleźć Oling ani Westerborka. Oddech uleciał jej z płuc i poczuła się tak, jakby pochodziła znikąd. Piet i Marta chichotali coraz głośniejsze, więc popchnęła ich delikatnie ku drzwiom i miała już wyjść, kiedy kobieta zapytała:

— Życzysz sobie czegoś?

Saskia drgnęła na dźwięk jej głosu.

— Nie, dziękuję — wymamrotała, uśmiechając się przeproszająco. Przystanęła jednak w progu i odwróciła się do kupcowej. — Tak, mam jedno pytanie. Wiecie może, kim jest Jan van der Meer?

— Oczywiście. Z Delft. To malarz z Delft. Vermeer. — Kobieta zauważyła zawinięty w płótno obraz. — Chcesz mi coś pokazać?

Saskia wróciła do wnętrza sklepu i rozpakowała obraz, a dzieci spoważniały. Jak zawsze, gdy sobie na to pozwoliła, poczuła, że coś wciąga ją do tego czystego, przestronnego, słonecznego pokoju młodej dziewczyny.

— Światło. Malował światło, wiesz? Jest uroczy. — Kobieta podeszła z obrazem do okna. — Spójrz na jej skórę. Lśniąca i gładka jak jedwab. To możliwe. To bardzo możliwe.

— Co jest możliwe?

— Że to Vermeer, skarbie.

Saskia podała jej rozłożony dokument. Kobieta przeczytała go kilka razy i odwróciła na drugą stronę. Posłała Saskii długie spojrzenie, a potem uśmiechnęła się do niemowlęcia na jej biodrze.

— Skąd jesteś?

— Z Oling. To mała osada. Koło Appingedam. Zalało nas i...

— Zawieź ten obraz do Amsterdamu. Dostaniesz tam znacznie więcej, niż mogę zapłacić ja. Czy ktokolwiek

w Groningen. Popytaj w sklepach przy ulicy Rokin. Nie gódź się na mniej niż osiemdziesiąt guldenów. I uważaj, żeby nie zmókł.

— Osiemdziesiąt?!

Jej głos podniósł się tak wysoko, że Piet pisnął:

— Osiemdziesiąt!

Po dalszych zapewnieniach i chwili wspólnego podziwiania obrazu Saskia sprzedała kobiecie lniany niebieski bieżnik ozdobiony koronką, ten po babce, a potem skierowała się, z zawiniętym obrazem, do straganów rzeźniczych na rynku.

Gdy wiosłowała do domu z Woldijk, jej myśli fruwały niczym jaskółka w klatce. Co powie Stijnowi? Że nie udało jej się go sprzedać? Że dawali jej tylko cztery guldeny, więc nie było warto go sprzedawać? Sprzeda w zamian swoją skrzyneczkę na przyprawę. Jakoś za to przeżyją. Stijn nigdy się nie dowie, ile oferował ten mężczyzna. Ani co powiedziała kobieta. Uwierzy jej. Nie miał powodu, aby jej nie wierzyć.

W domu powiesiła obraz na kołku i tym razem nie zasłoniła go ubraniem. Osiemdziesiąt guldenów!

Historia, którą sobie wymyśliła, ożyła w jej wyobraźni. Dlaczego taka młoda kobieta, którą stać na zamówienie portretu u wielkiego malarza, oddała swoje dziecko? Jak mogła? Nie cieszyła się spokojem, choć artysta taką ją namalował. Pochylała się do przodu i sztywność jej pleców świadczyła o bólu w sercu. Była zrozpaczoną kobietą, która miała swoje słabości, tak jak Saskia, pokusy, tak jak Saskia, kobietą, która miała potrzeby, kobietą, która kochała niemal do zatracenia samej siebie, kobietą, która pewnie za dużo płakała, tak jak Saskia, kobietą przestraszoną, chcącą wierzyć raczej niż wierzącą, bo inaczej dla-

czego oddałaby swego synka? Kobieta, która modliła się słowami: „Panie, wierzę w Ciebie. Pomóż mi przezwyciężyć mą niewiarę”. Kiedy wypowiedziała w myślach te zdania, coś ścisnęło ją za gardło i wybuchnęła płaczem.

Położyła dzieci spać przed powrotem Stijna. Czy Bóg jej wybaczy, czy nie, nie powie mu prawdy. Cztery guldeny, jeśli spyta. Kiedy dzieci usną. Ból tego kłamstwa będzie ją szarpał, ilekroć odkryje w obrazie nowy urok, lecz prawda wbiłaby między nich klin, którego nie usunie największa czułość.

Obserwowała oczy Stijna, kiedy wszedł do domu przez okno. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był obraz. Drugą, garnek z gulaszem wołowym. Nie jedli wołowiny od powodzi. Postawiła przed nim miskę, aby zapach go udobruchał.

— Sprzedałam bieżnik babki — wyjaśniła.

Stijn zjadł pierwszą łyżkę na stojąco i powiesił ubłocony kaftan na obrazie.

Zaparło jej dech i ledwo się powstrzymała, by go nie zerwać. Marta i Piet wystawili głowy spod wysokiego łóżka.

— Widzieliśmy dużo mostów i kościołów, i żebraków — powiedziała Marta, a Piet udał ślepcę wyciągającego miseczkę na datki.

— I płynęliśmy barką — dorzucił.

— Naprawdę?

Stijn wyciągnął rękę i zmierzwił włosy chłopca.

— Szsz. Powinniście już spać — przypomniała Saskia.

— Co z obrazem?

— Powiem ci później — wyszeptała, ruchem głowy wskazując dzieci; nie umiałyby skłamać przy nich.

Przyglądała się, jak Stijn je gulasz. Kiedy został sam wywar, wypił go prosto z miski. Nałożyła mu dokładkę.

Kiedy skończył, oboje wstali równocześnie, oboje dali krok w jedną stronę, potem w drugą, próbując ominąć skrzynie i Katrinę, która machnęła ogonem, niezadowolona, że jej przeszkadzają. Saskia zachichotała nerwowo. Stijn spojrzał na nią pytająco. Wcześniej niż zwykle przebrała się w nocną koszulę, zdmuchnęła płomień lampy i weszła do łóżka. Stijn wykazał ogromną cierpliwość, czekając na wyjaśnienie. Dopiero kiedy położył się obok niej, ponownie zapytał:

— Dlaczego nie sprzedałaś obrazu?

— Nie mogłam — odparła, i była to prawda. — Próbowałam.

To też była prawda. Niech to zrozumie, jak chce. Przekreśliła się na drugi bok. Po chwili objął ją ramieniem, by ponownie odwróciła się do niego. Nadal czekał.

— Stijn, to jak sprzedać matkę chłopca. Uczynić go sierotą. — Wiedziała, że to, co mówi, jest głupie, ale w ciemności mogła powiedzieć więcej. Wszystkie trudy życia na ponurej północy zalały ją jak powódź i zawołała: — Tu nie ma nic pięknego. Och, wiem, że ty to uwielbiasz, uwielbiasz patrzeć na swoje zagony ziemniaków, uwielbiasz wielkie, płaskie łany gryki, gryki, gryki, ale ja nie przyjechałam tu dla tych rzeczy. Przyjechałam tu dla ciebie, i jeśli możemy sobie poradzić, nie sprzedając obrazu... Sprzedam skrzyneczkę na przyprawy. Albo pożyczymy pieniędzy od ojca. Pola niedługo wyschną. W Woldijk widać już turzycę wystającą z wody.

Długi czas leżeli w milczeniu, zanim spytał:

— Ile ci dawali?

Znów minął długi czas, bo nadśluchiwała, czy dzieci już śpią. Choć były cicho, odpowiedziała szeptem:

— Dwadzieścia pięć guldenów.

Powietrze, które wypuścił przez zęby, ochłodziło jej kark. Wstrzymała oddech i leżała bez ruchu, podczas gdy Stijn uświadamiał sobie ogrom tej sumy. I choć starała się opanować, zapłakała, chowając twarz w poduszce.

— Sprzedałabym go, gdybym myślała, że to uczciwa cena.

— Uczciwa cena? Co my wiemy o takich rzeczach?

— Nie sprzedałam go, bo w innym sklepie powiedzieli, że jest wart osiemdziesiąt. W Amsterdamie. Więc lepiej trochę szanuj ten obraz — dodała. — Nie wieszaj na nim zabłoconego kaftana.

— Osiemdziesiąt! — wyszeptał.

Po długiej chwili ciszy poczuła, że wstaje z łóżka, i usłyszała, jak rzuca kaftan na nagą podłogę.

Po raz pierwszy od ich ślubu miała poczucie lekkości, poczucie władzy, jakie daje słuszność, więc naciskała dalej:

— Jak mówiłam, Jantje nie jest dzieckiem jakiejś bezbożnej dziewczki ani nawet synem chłopca.

Usłyszała zjadliwość w tym ostatnim słowie i wiedziała, że Stijn też ją słyszał. Odwróciła się do niego plecami i oboje leżeli bardzo cicho, póki nie zapadła w głęboki i spokojny sen.

Rano, w tej krótkiej chwili półsnu, zanim się poruszyła, ale kiedy już słyszała, jak Katrina wierci się, by ją wydoić, poczuła ramię Stijna obejmujące ją czule. Leżała nieruchomo, napawając się tą pieśczęcią, i po jakimś czasie wsunęła dłoń w jego dłoń.

Morskie wały naprawiono szybciej, niż się spodziewali, wkrótce ruszyły wszystkie wiatraki odwadniające. Stijn przeniósł się na wał Damsterdiep i w miarę jak prace posuwały się w głąb ładu, poprawiał mu się humor. Raz wi-

działa nawet, jak połaskotał Jantjego po brzuszku, i nazywał go „Jantje”, a nie „dziecko”. Jantje zaczynał już gaworzyć. Nie była pewna, czy powinna uczyć go słów „mama” i „tata”, więc pracowała nad „krową” i „wodą”.

Gdyby tylko, choć na chwilę, Stijn mógł poczuć to, co czuła ona, gdyby mogli wspólnie wypełniać zadanie, które powierzył im Bóg, gdyby mógł spojrzeć na Jantjego tak, jak patrzył na Pieta i Martę, i poznać moc boskich zamiarów, wówczas może zaufałyby przyszłości na tyle, aby pozwolić jej zatrzymać obraz. Nic jednak na to nie wskazywało. Kwestia obrazu wisiała w powietrzu ich małej izby na piętrze i codziennie Saskia kroїła do gulaszu coraz mniej solonej wieprzowiny, a potem coraz mniej marchwi i zielonej fasolki, kupowanych od sprzedawcy warzyw, który od czasu do czasu wyprawiał się łodzią do zalanych wiosek. W końcu gulasz stał się kartoflanką i Saskia była pewna, że Stijn każe jej sprzedać obraz.

Oznaki wiosny były słabe — tylko łagodność powietrza i czubki traw sterczące z wody. W głębi ładu, pod Wołdijk, ziemia była mokra, ale nie zalana, i na polach rozrzucono nieczystości z miasta, aby odbudować glebę. Tamtejsi chłopci będą jednak mogli posadzić buraki cukrowe, ale Stijn siedział zasepiony przy oknie, patrząc na swoje stojące pod wodą pola. W każdym tygodniu Saskia pokazywała mu kolejne wynurzające się gałęzie drzew i kolejne deski stodoły.

Pracy przy wałach było mniej, toteż Zarząd Wodny przyznał właścicielom ziemi jeden wolny dzień tygodniowo. Stijn nie mógł wiele zrobić na gospodarstwie, więc powiedział, że zabierze ich na wycieczkę łodzią.

— Możemy popłynąć do Wołdijk i pościgać się na grobli? — zapytał Piet.

— Tak, może nawet do Groningen.

— I zobaczyć naszego konia? — spytała Marta.

— Pewnie.

Będzie to prawdziwe święto. Stijn nie przejawiał takiej bez troski od miesięcy. Wiedziała, że za Wołdijk są wrzosowiska. Goryczka jeszcze nie kwitnie, ale będzie mogła nazrywać żółtego kurzyśladu i bagiennych fiołków, które postoją w domu dzień czy dwa. Przechodzące przez chmury słońce srebrzyło już skrawki wody.

Ale najpierw Stijn poszedł do stodoły.

Znieruchomiała i zamknęła oczy. Izbę wypełniały odgłosy nieprzerwanego mlaskania Katriny.

Usłyszała przez wodę, jak krzyczy. Nie słowa. Nie przekleństwa. Był to po prostu głęboki ryk bólu.

Przeglądała się, jak wali w wodę wiosłami. Nie miała gdzie wyprowadzić starszych dzieci, by nie widziały, co się stanie. Położyła Jantjego w głębi ich wysokiego łóżka.

Stijn zaczął na nią wrzeszczeć już od okna.

— Saskia, jak mogłaś? Sadzeniaki! Gotowałaś sadzeniaki. Piet przywarł do ściany.

— ja...

— Każda żona gospodarza wie, każda córka gospodarza wie, że nie wolno jej tknąć sadzeniaków! Zostało tylko ćwierć kosza! Najwyżej na kilka zagonów.

Marta wczołgała się do swojego łóżeczka.

— Myślałam, że za belami siana jest drugi kosz — odparła Saskia, choć wiedziała, że to nieprawda. W tym roku nie będzie sadzenia, więc uznała, że równie dobrze mogą je zjeść. Ziemniaki nie wytrzymałyby do przyszłej wiosny. Teraz zrozumiała: Stijn wciąż miał nadzieję, że je zasadzi.

— Drugi kosz? Wiedziałaś, że go nie ma. I wiedziałaś,

że jeśli ja się o tym dowiem, będziemy musieli sprzedać obraz.

Nie uderzył jej — tego nigdy by nie zrobił — ale gromił ją wzrokiem, od którego cierpła jej dusza. Miała wrażenie, że patrzy na nią gniewnie sam Bóg.

— Jesteś taka samolubna! W ogóle cię nie znałem.

— Więc może powinnam ci coś powiedzieć. To ty chciałeś przyjechać na to pustkowie. Nie byłam w domu od trzech lat. Moi rodzice nie widzieli Pieta od niemowlęctwa, ale ani razu się nie poskarżyłam. I ani razu tego nie żałowałam. I ani razu nie przeklełam powodzi ani losu, ani Boga. Ani ciebie.

— Ale sadzeniaki są przyszłością gospodarza. Są tym, czym jest.

— Nie jesteś niczym więcej? Nie wierzę w to. Ty czujesz urazę. I wiesz co? Nie czujesz jej do mnie, o te ziemniaki. Ani o to, że nie sprzedałam obrazu. Ani nawet o Jantjego. Czujesz urazę o powódź. I wiesz, do kogo? Do Boga. Widzisz w życiu wyłącznie pracę. Wyłącznie sadzenie, wożenie, kopanie. Tylko tym jest dla ciebie życie. Ale nie dla mnie, Stijn. Nie dla mnie. W życiu musi też być trochę piękna.

Izba była dla niego za mała. Wyszedł z domu, zabierając ze sobą Pieta i Martę, bo przecież obiecał im wycieczkę, a ona została z Jantjem i Katriną. Ich pierwszy dzień razem od ponad roku. Zepsuty. Łkając, krążyła po klatce izby, podniosła wyschnięty placek łajna i cisnęła nim przez okno za odpływającą łodzią. Nie doleciał nawet do połowy odległości.

Piet i Marta użyją dziś z ojcem jak pies w studni. Krzyżyk mu na drogę. Rzuciła się na łóżko tak mocno, że Jantje aż podskoczył.

Stijn spędził poza domem cały dzień. Po raz pierwszy od czasu powodzi Saskia się bała. Żywiła dotąd prostą wiarę, że wszystko będzie dobrze — jak w jej rodzinnym gospodarstwie w Westerborku — ale Oling nie było Westerborkiem. A Stijn nie był jej kochającym ojcem.

Nie to, że Stijn jej nie kochał. Ale mimo ośmiu lat małżeństwa nadal nie potrafiła wyłować jego miłości z morza troski. Myliła się co do jednego. Co do nadziei Stijna. Zachował ją, była silniejsza od jej nadziei, lecz głębiej zakopana w ciemnej glebie jego duszy.

Późnym popołudniem dobrze przyjrzała się obrazowi, włożyła go do worka po ziarnie i zaszyła otwór.

O zmierzchu usłyszała głosy śpiewających dzieci i głęboki baryton Stijna włączający się w refrenie głupiej dziecinnej piosenki, ale w miarę jak skif się zbliżał, śpiew zamierał i w końcu umilkł. W mdlącej ciszy Stijn odłożył wiosła i pozwolił łodzi dryfować powoli ku domowi.

Marta podała jej przez okno garść zwiędłych błękitnych kwiatków.

— Dziękuję, *liefje*². Mówią na nie „kaftan damy”.

Spojrzała na Stijna, wspinającego się do izby za dziećmi. Ta nazwa nic dlań nie znaczyła. Piet opowiadał jej bezładnie o wszystkim, co robili tego dnia, ale Stijn milczał. Wyparował z niego cały gniew, pozostało tylko zakłopotanie.

— Pojadę do Amsterdamu. Pojutrze — powiedziała. — Jutro upiekę ci chleba na zapas. Zabiorę dzieci. Aida może zawieźć mnie łodzią do Woldijk.

Tam złapie pasażerską barękę do Groningen, a potem następną i następną, aż do Amsterdamu. Podróż zajmie dwa lub trzy dni w jedną stronę, zależnie od połączeń.

Pakując rankiem w dniu odjazdu kilka drobiazgów, czuła, że Stijn wodzi za nią wzrokiem jak Katrina.

— Jeśli uda ci się wytargować siedemdziesiąt, osiemdziesiąt guldenów — powiedział przy pożegnaniu — kup sobie za pięć inny obraz. Jaki ci się spodoba.

Siedząc na niewygodnej ławie na pokładzie dużej pasażerskiej barki płynącej z Groningen na południe, czuła się jak włóczęga z całym swym dobytkiem wokół nóg. Tylko chwilami zachwyt dzieci tym, co widziały, rozpraszał jej przygnębienie. Po co było to wszystko? Entuzjazmować się życiem, wspólnym życiem, gospodarstwem i nową uprawą, która nakarmi cały świat, by ten entuzjazm stłumiła praca, praca, praca i rosnące oddalenie. Jaki miało to sens?

Za Assen musieli poczekać, aż przez służę przepłynie większa barka, więc wyskoczyła na brzeg, aby dzieci pobiegały sobie po grobli. Ku wschodowi odchodził stamtąd jakiś wąski kanał.

— Czy to Westerborker Stroom? — zapytała słuzowego.

— Tak, psze pani.

Zapłonęło jej serce. Westerborker Stroom zaprowadziłby ją przez Beilen prosto do Westerborka.

— Pływa coś tędy?

Wskazał ruchem głowy małą krypę czekającą na pasażerów.

Popłynąć do domu, gdzie matka nakarmi ją czymś innym niż ziemniaki — sama ta myśl pchnęła ją do działania. Zawołała dzieci, posadziła sobie Jantjego na biodrze, zebrała swoje rzeczy i powiedziała:

— Chodźcie. Odwiedzimy waszych dziadków. Przenieśli się na krypę, którą holował jakiś młody chło-

pak, i siedzieli na pokładzie oparci o skrzynie. Młode witki wierzb opadały na wodę i wdzięcznie falowały. Wysoka, bujna rutewka otwierała już puchate słoneczka pąków i każde kaczątko popiskiwało piosenkę o swoich narodzinach. Rosnące wzdłuż brzegów kanału jabłonie stały w kwiatkach. Wiatr strząsał płatki barwy kości słoniowej na łódź i dzieci próbowały je łapać. Wkrótce będzie w Westerborku, gdzie wszystko jest piękne i wszyscy są mili.

Za Beilen, gdy krajobraz stał się znajomy, mocniej zabiło jej serce i oczyma duszy ujrzała całe swoje spokojne dzieciństwo. Na drzwiach zagrody rozpoznała sielskie sceny, takie same, jakie namalowała w Oling, gdzie były jedynymi w całej okolicy. Młyn zbożowy Nootebooma został pokryty świeżą zieloną farbą i miał piękne czerwone drzwi. Zobaczyła mały kamienny kościółek, do którego chodziła jako dziecko, w którym brała ślub ze Stijnem, i ogarnęło ją poczucie winy, jakby w jakiś sposób go zdradziła.

Z początku matka szalała z ulgi i radości, nie spuszczała wzroku z Jantjego, którym zachwyciała się nie mniej niż pozostałą dwójką. Saskia sądziła, że zna ją na pamięć, ale kiedy pokazała jej obraz i wszystko opowiedziała, uśmiechnięta twarz matki przybrała surowy wyraz.

— Sadzeniaki! Nie powinnaś była.

— Wiem. Wiem. Mogłabym tu zostać jakiś czas, dopóki Stijn nie ochłonie? Na tyle długo, żeby za mną zatęsknił? Tu jest tak ślicznie. Niedługo zakwitną wodne fiołki i dzieci mogą dla odmiany biegać na swobodzie.

— Chcesz, żeby biedak rozchorował się przez ciebie ze zmartwienia? Nie. Jutro wyjedziesz. Do Amsterdamu. Dzieci mogą zostać ze mną. Zabierzesz je w drodze powrotnej. Nie przyjechałaś tu dla przyjemności, tylko w intere-

sach. A dziś wieczorem uklęknieś i podziękujesz Panu, że dał ci męża tak pracowitego jak Stijn. Praca jest codziennym obliczem miłości, czy to praca mężczyzny, czy kobiety, i jeśli tego nie pojmujesz, jesteś głupia. To Jantje jest błogosławieństwem, Saskio, nie obraz.

Sama w Amsterdamie dwa dni później szła wzdłuż Wschodniego Nabrzeża, mijając przekupki, które wykrzykiwały obelgi i wygrażały jej rybami, bo nic nie kupowała. Wyprostowała się dumnie. Ich drwiny tylko ją bawiły. One trzymały w zatłuszczonych dłoniach dorsze, podczas gdy ona niosła Vermeera.

Kupcy korzenni wystawili na brzeg kanału worki sproszkowanych przypraw we wszystkich odcieniach żółci, pomarańczu, czerwieni i brązu. Wielobarwny pył oprószył jej spódnicę i musiała go strzepnąć. Miała na nogach eleganckie sznurowane trzewiki ze skóry i sunęła chodnikiem w stronę Rokin z poczuciem własnej gracji i władzy. Niosła Vermeera. Dzień był słoneczny. Nie musiała się spieszyć.

Przeszła cały Rokin od placu Dam do kanału Singel, trzymając obraz w worku i na razie tylko zaglądając do sklepów. Uznała, że handlarze dziełami sztuki są dziwni. Chociaż szyldy głosiły „Reynier de Cooge, SKUP I SPRZEDAŻ OBRAZÓW” albo „Gerrit Schade, DOŚWIADCZONY ZNAWCA SZTUKI”, w istocie sprzedawano tam również ramy, zegary, fajanse i małe organy, a nawet cebulki tulipanów. Najpierw pokazała obraz u Gerrita Schade, gdzie ściany pokryte były scenami hulank w tawernach i katastrof statków na wzburzonym morzu. Podejrzała, że handlarz nie umie czytać. Kiedy podała mu dokument, machnął lekceważąco ręką i zaoferował jej trzydzieści guldenów.

— To Vermeer — powiedziała.

— Niezbyt mi się podoba — odparł. — Nic się tu nie dzieje. Nie ma dramatyzmu.

Zapakowała obraz i wyszła.

Będzie musiała ogromnie uważać. W trzech następnych sklepach nauczyła się wyjmować obraz powoli, obserwując twarz handlarza. Na przykład Hans van Uylenburgh leciutko w tym momencie sapnął. Zaproponował jej pięćdziesiąt guldenów, a kiedy pokręciła głowę, jego żona podniosła cenę do pięćdziesięciu pięciu. „MATEUS DE NEFF STARSZY, tylko najlepsze obrazy i rysunki”, mówił szyld. Dobrze. Wspinając się na strome stopnie, ostrożnie podniosła obraz do góry. Kiedy wyjęła go z worka, de Neff nawet nie próbował ukryć podniecenia.

— Olśniewający. Wspaniały.

— To Vermeer.

— Tak. Tak, oczywiście. Doprawdy rzadki okaz. Zawołał wspólnika i żonę, aby też go obejrzeni.

Dała mu dokument i przeczytał go uważnie, ale więcej czasu spędził, napawając się obrazem.

— Spójrzcie na szybki w oknie. Gładkie jak płynne światło. Nie widać pociągnięć pędzla. A teraz spójrzcie na koszyk. Maleńkie rowki podkreślają fakturę wikliny. To j e s t Vermeer.

Próbowała zobaczyć to co on, ale oczy zasły jej łzami i w tym ostatnim głodnym spojrzeniu dziewczyna w błękitnym kaftanie stała się błękitną plamą. Wiedziała, że sprzeda obraz de Neffowi, zanim jeszcze wymienił cenę. Chciała, by poszedł do kogoś, kto go kocha.

— Nazywam go *Blask poranka* — powiedziała cichutko. Było ważne, aby jej nazwa towarzyszyła obrazowi. Kiedy de Neff sporządzał umowę sprzedaży, rozejrzała

się po sklepie. Stijn powiedział, że może kupić sobie w zamian coś taniego. Były tam obrazy przedstawiające bogatych ludzi, którzy grali na lutniach i wirginałach, ruiny zamków w krajobrazie, wnętrza kościołów, służące szorujące garnki, Noego w chwili, gdy otrzymuje wskazówki od Boga, warzywne stragany na targowiskach i wiatraki wzdłuż brzegów rzek. Nie potrafiła wybrać. Niektóre z nich były przyjemne. Niektóre były ciekawe. Ale żaden nic dla niej nie znaczył.

Antykwariusz odliczył siedemdziesiąt pięć guldenów w pięcioflorenowych monetach i włożył je do muslinowej sakiewki, którą wsunął jej delikatnie w dłoń, podtrzymując ciężar woreczka drugą ręką. Patrząc Saskii łagodnie w oczy, zacisnął jej palce na sakiewce i poklepał je.

Nie było to osiemdziesiąt, ale i tak odniosła zwycięstwo. Przeżyją. Stijn będzie miał swoje świnie. Jantje dorośnie i będzie pomagał Stijnowi w gospodarstwie, a Stijn będzie dumny z pracy Jantjego, ale oni, Saskia i Stijn, nie będą już tymi samymi ludźmi.

Pospacerowała bez celu po łukowatych mostkach, przesuając lekko palcami wzdłuż żelaznych balustrad, kupiła pięć cebulek tulipanów, po jednej dla każdego członka rodziny i, póki kolor kaftana dziewczyny był nadal żywy w jej pamięci, dosyć motków najlepszej błękitnej lejdejskiej wełny, aby wydzierać miękkie kaftaniki dla trojga swoich dzieci.

Z OSOBISTYCH PAPIERÓW ADRIAANA KUYPERSA

W dniu, kiedy powieszono Aletę Pieters, poznałem, jak nieustępliwe są przesady, nawet w oświeconym stuleciu. A nazajutrz po jej powieszeniu, w dniu powodzi św. Mikołaja 1717 roku, wyrzekłem się tego, co miało dla mnie największą wartość.

Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, stała pod pręgierzem na wąskim rynku w Delfzjil, ochrypłym głosem miotając przekleństwa i plując na miejscowych chłopców, którzy z niej szydzili. Żadna z matron spoglądających na nią wilkiem nie zbeształa chłopców za ich obelgi. Między dwiema białymi jak kość słoniowa pięściami powiewały w nieładzie długie włosy dziewczyny, delikatne jak uprzedzony jedwab, barwy nicości, wiatru, tak były jasne, przez co wyglądała niczym jakiś egzotycznie upierzony ptak schwytany w sidła. Jej oczy pod niewidocznymi brwiami miały zuchwały wyraz. Iskra sprytu i wyższości wyskoczyła z nich i padła na mnie, obcego z sakwą na plecach i stosem spiętych rzemieniem książek. Rozluźniła dłonie i posłała mi wyzywający uśmiech, który ściągnął małe „x” blizny na jej policzku i wypchnął wargi w dzielącą nas przestrzeń. Chyba się zaczerwieniłem, znamię bowiem wycięto z precyzją na twarzy, która była czystym pięknem. Resztę jej ciała, zasłoniętą deskami, mogłem sobie jedynie wyobrażać.

— Czym zawiniłaś dobrym ludziom z Delfzijl, że skazali cię na dzwon?¹ — zapytałem.

— Chciałbyś to wiedzieć, co?

Chłopcy rzucili chórem kolejne wyzwisko.

— Nie znajdziesz prawdy o życiu w książkach, studen-ciku — zawołała. — Podejdź trochę bliżej, to ci powiem.

Wciąż z krótko ostrzyżonymi włosami żaka, uciekłem właśnie, zawiedziony, z uniwersytetu w Groningen.

— Lepiej odwróć oczy, chłopcze, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy — poleciła mi jakaś zażywna matrona. — To okrutna szelma.

Zajadłość u skazańca pod pręgierzem źle była widziana w tym spokojnym północnym miasteczku u ujścia rzeki Eems, dokąd przybyłem owego dnia, aby zamieszkać u ciotki, lecz urzekła mnie osobliwość blizny dziewczyny i jej dzikie, bezbarwne, cudownie potargane włosy. Podeszedłem do niej.

— Tylko nie pluj — ostrzegłem.

— Bliżej, nie bój się. Szepnę ci to.

Kiedy się nachyliłem, jej włosy połaskotały mi policzek jak delikatna świeża mgiełka, a dziewczyna wyciągnęła szyję z otworu i polizała moje ucho.

— Niech to będzie dla ciebie omen — wykrzyknęła.

Chłopcy znów zagwizdali szyderczo, i choć wymamrotałem „Bezwstydna dziewczka”, musiałem w duchu przyznać, że w swej naiwności zasłużyłem na ten figiel.

Nazajutrz znalazłem ją na podłodze wiejskiego domu mojej ciotki. Uszła z niej cała hardość i płakała w rąbek szarej spódnicy, spoglądając na mały obraz, który przedstawiał dziewczynę mniej więcej w jej wieku, siedzącą pod oknem. Delikatna skóra na szyi Aletty Pieters była obtarta do żywego mięsa. Ukucnąłem przy niej.

— Czy to ta sama ognista panna, która stała wczoraj pod pręgierzem? — zapytałem.

Szlochając, wybiegła z pokoju.

— Co ona tu robi? — spytałem ciotkę.

— Rok temu pastor usłyszał na gościńcu, jak obrzuca przechodniów wyzwiskami, przyprowadził ją do nas, brudną i plotącą coś od rzeczy, i oświadczył: „Pan posłał samotnych do rodzin”. Zmusił nas zniewagą, abyśmy ją przyjęli. „Choć raz zróbcie coś dla biednych istot bożych, przez wzgląd na zbawienie waszych dusz” — powiedział. Więc mamy ją trzymać jako pomywaczkę, póki nie skończy osiemnastu lat.

Nie kochałem ciotki Riki z powodu jej wielkopańskich póz, lecz rozumiałem delikatność jej położenia, gdyż poślubiła — z żalem muszę stwierdzić, że z miłości, ale rozsądek i namiętność rzadko idą ze sobą w parze — handlarza niewolników, to znaczy udziałowca West-Indische Compagnie, która, o czym wszyscy wiedzieli i nikt nie mówił głośno, na trasie między Ameryką i Afryką handlowała ciałami i duszami. Mimo to Rika gorąco pragnęła szacunku. Nie mogąc go zyskać w oczach Boga, musiała się zadowolić jego fałszywą namiastką w oczach ludzi, toteż kiedy wuj Hubert przesiadywał na zebraniach udziałowców w Amsterdamie, ciotka wydawała jego pieniądze, wspierając towarzystwo organowe i sierociniec w Groningen. Zapełniła dom w Groningen rzeźbionymi meblami, obrazami i chińskimi wazami, a teraz zaczynała upiększać swoją wiejską rezydencję — jeździła na aukcje do Amsterdamu i wynajęła amsterdamskiego, by namalował jej portret z wujem.

Kiedy Aletta napomknęła, że Rika zaczyna wyglądać na obrazie jak duch czarownicy z wyspy Ameland, ciotka

się obraziła, kazała jej spać w kuchni i szorować dna wszystkich rondli, aż będzie mogła w nich zobaczyć „x” na swojej twarzy. W odwecie Aletta przekonała wujostwo, potrząsając w nocy zasłonami ich łóżka, że dom nawiedzają dusze zmarłych Afrykańczyków. Pewnego wieczoru przed moim przybyciem chodziła we mgle pod ich oknem z prześcieradłem na głowie, jęcząc dziwaczne słowa i pobrzękując garnkami jak upiór łańcuchem. Wuj Hubert tak się przeraził, że spadł z łóżka i rozbił sobie głowę o jego stopnie.

Ale nie dlatego została powieszona. Za nastraszenie wuja skazano ją tylko na trzy dni więzienia i to jedno popołudnie pod pręgierzem. Przedtem ukarano ją chłostą, dwoma tygodniami więzienia i wycięciem piętna na policzku, kiedy pękła śluza i woda zalała pole jakiemuś chłopu, po tym jak Aletta wymamrotała coś pod nosem, mijając go na rynku.

— Tylko się bawiłam w czarownicę — wyznała ciotce. — Nie miałam złych zamiarów.

Uniknęła stryczka, ponieważ była wówczas bardzo młoda, miała zaledwie piętnaście lat, ale niektóre mieszczki, powiedziała mi Rika, żałowały ze względu na swych synów, że nie wymierzono jej od razu najwyższej kary.

Po prawdzie, powieszono ją dopiero wtedy, gdy udusiła naszą córeczkę.

Przybyłem do Delfzijl, aby uczyć się budowy wiatraków u mistrza z północy. Doprowadziłem się do skrajnego wyczerpania, usiłując wycisnąć jakiś osobisty sens z Kartezjusza, Spinozy i Erazma, i chciałem w praktyce wypróbować kartezjański pogląd, że nauka może zapanować

nad naturą dla dobra ludzkości. Chciałem tworzyć rzeczy użyteczne — przyrządy, które pozwalają mierzyć czas, szybciej pompować wodę, dalej widzieć — nie argumentacje i traktaty. A nade wszystko pragnąłem obcować z ciałem i krwią, nie z inkaustem i słowami.

Kiedy więc znowu zobaczyłem Aletę płaczącą przed obrazem, usiadłem obok niej i zacząłem mu się przyglądać, próbując zrozumieć, jak coś tak pięknego może tak bardzo ją smucić. Wyraz twarzy dziewczyny dowodził, że namalowano ją z czułością i miłością — których, jak przypuszczałem, brakowało w życiu Aletty Pieters. Usta miała lekko rozchylone, lśniące w kąciku, jakby właśnie przyszła jej do głowy jakaś intrygująca myśl, przez co wydawała się zdumiewająco realna. Była dla mnie ucieleśnieniem twierdzenia Kartezjusza: „Myślę, więc jestem”. I całkowitym przeciwieństwem Aletty — pogodna, wytworna, wyciszona.

Gdy Aletta wreszcie się uspokoiła, zapytałem ją, dlaczego płakała.

— Papa mówił, że miała takie oczy, jak bladobłękitne księżycy, i takie włosy, też złotobrazowe, tylko zaplatała je w warkocze. Umarła, wydając mnie na świat.

— Dlaczego ty nie splatasz włosów? Może poczułabyś się tak jak ona.

— Próbowałam setki razy. Wyślizgują się. Nic ich nie trzyma. To chyba klątwa.

Na tę myśl łzy znów napłynęły jej do oczu.

— Masz piękne włosy — powiedziałem. — Takie, jakie są.

— Ludzie myślą, że są sztuczne. Sztuczne włosy oznaczają rychłą napaść zbójców, więc ludzie mnie nienawidzą.

Odwróciłem się, by ukryć uśmiech.

— Nie wiesz tego na pewno.

Wzruszyła ramionami. Rana u podstawy jej szyi jeszcze się nie zagoiła. Byłoby szkoda, gdyby została jej blizna, ale niewielu ludzi przechodzi przez życie bez skazy.

— Gdzie jest twój ojciec?

— Wypłynął w morze na kupieckim statku i nigdy nie wrócił.

— Kto cię wychował?

— Dziadek. Moja babka umarła młodo. Tak samo jak jej matka i babka. Złośliwa sąsiadka przeklęła moją praprababkę Elbę, że żadna dziewczyna w jej rodzinie nie pożyje długo. Powiedziała, że Elsa rzuciła *pishogue*² na jej masielnicę, więc przywiązali kciuki Elsy do palców u nóg i przeciągnęli ją przez kanał, i utonęła, więc była niewinna. Nawet przeleciał nad kanałem bocian.

— Czarownice ani klątwy nie istnieją, Aletto. Nie masz na to dowodu.

— Właśnie że czarownice istnieją. Dziadek słyszał, jak szepczą o mojej matce w noc przed moim narodzeniem. — Podniosła błagalne spojrzenie na obraz. — Myślisz, że gdzieś dziewczyny naprawdę tak żyją, że mogą sobie tak spokojnie siedzieć?

Nie pocieszyłoby jej ani „tak”, ani „nie”. Nie było słów, które mogłyby zmniejszyć dystans dzielący ją od młodej kobiety na obrazie.

W niedzielne popołudnia, gdy nie miałem lekcji z moim mistrzem, chodziłem na spacer. Uwielbiałem te rozległe przestrzenie płaskiej, oswojonej ziemi, gdzie wiatr napotykał niewiele przeszkód. Wiatr na ogół pomagał tutaj człowiekowi gospodarować ziemią naukowo — Kartezjusz w praktyce. Zawsze jednak martwiło mnie to, że moi

rodacy są tak od niego zależni. A jeśli trzeba będzie osuszać pola w bezwietrzne dni? Ogrom spraw tego świata wciąż czekał na ulepszenia.

Pewnej niedzieli, idąc przez torfowisko ciągnące się między miasteczkiem i wybrzeżem, minąłem nędzne, kryte strzechą torfowe chaty, w których mieszkali kopacze. Rok po roku wycinali tafle czarnego paliwa i cegielka po cegielce sprzedawali ziemię spod samych siebie. Niektórzy na powrót przykrywali wyrobiska wierzchnią warstwą gliny i mieszała ją z przywiezionym z plaży piaskiem oraz nieczystościami z miasta, aby powstała gleba odpowiednia do hodowania gryki. Była to jednak żmudna, czasochłonna praca, więc inni kopacze pozwalali, aby doły napełniały się wodą, i zostawiali tylko ścieżki między nimi. Według mnie ta praktyka czyniła ziemię zdadniejszą do zamieszkania przez żaby niż ludzi. Woda sączyła się i wsiąkała wszędzie. Wkrótce kolonia torfiarzy będzie nie do odróżnienia od zalewowego bagna w ujściu rzeki.

Przystanąłem, by popatrzeć, jak łyski wtykają dzioby w błoto, jak cyranka czyści sobie pióra, jak kurki wodne budują gniazda w kępach piaskownicy, i nagle usłyszałem głos ptaka różniący się od gardłowego gruchania łysek. Przypominał raczej klangor dzikiej gęsi. Po drugiej stronie dużego stawu przykucnęła w łożynie Aletta, zadarte dla ochrony przed błotem spódnice odsłaniały jej nogi aż po uda. W przeciwieństwie do innych kobiet nie nosiła czarnych wełnianych pończoch i widok jej mleczej skóry na tle brunatnego błota wywołał we mnie przyjemny wstrząs. Niebo było zbyt pochmurne, aby odwrócona sylwetka dziewczyny odbijała się w wodzie, co uznałem za wielką szkodę. Osłaniając usta dłońmi, ponownie

wydała ten ptasi głos, natarczywy, dziki i tęskny. Jej rozwiane włosy oplątały moją duszę. Choć chciałem pójść dalej i napawać się samotnością, okrążyłem staw i zaszedłem ją od tyłu.

— Co robisz? — spytałem.

— Schyl się — wyszeptała i szarpnęła mnie za rękę. — Widziałam onegdaj bociana i chcę zobaczyć, czy znowu przyleci. Bocian przynosi szczęście. Jeśli go nakłonisz, aby jadł ci z ręki, nigdy nie zaznasz głodu.

Zachichotałem.

— Nie śmieję się z czegoś, o czym nie masz pojęcia, studenciku. Jeśli bocian założy gniazdo na twoim dachu, będziesz bogaty. Ja to wiem. Wychowałam się na wyspie Ameland.

Moje rozbawienie prostymi pewnikami jej wszechświata zapaliło małe „x” na policzku, a jej dumne piersi zafalowały z irytacji. Opuściła spódnicę, otuliła się szalem koloru morskiej wody i odeszła kawalek, wydymając wargi w uroczym grymasie.

— Narobiłeś hałasu i wszystko zepsułeś.

— To chodź ze mną na spacer.

Nie ruszyła się z miejsca, więc powędrowałem dalej sam, rozczarowany. Wkrótce ujrzałem jakiegoś białego ptaka, brodzącego w bagnie na długich czarnych nogach.

— Aletta — zawołałem. — Bocian!

Przedarła się przez bagienną trawę, ochlapując nas oboje błotnistą wodą.

— To tylko stara warzęcha. Nie ma czarnych piór na skrzydłach. Nie ma czerwonych nóg.

Podążyła za mną nitką ścieżki obiegającej kolonię torfiarzy.

Ponad wałem kanału Damsterdiep ukazała się pokładówka barki płynącej z torfem do Groningen.

— Co będzie, kiedy wykopią tyle torfu, że ich domy zapadną się w bagno? — zapytałem.

— Przeniosą się gdzie indziej.

— Nie rozumiesz mnie. Musi być jakiś lepszy sposób.

— Tymczasem muszą jakoś żyć.

Wyrwała kilka witek łozy sprzed czyjejś chaty i idąc, oganiała się nimi od owadów. Była teraz tak blisko, że czułem słony zapach jej rozwianych włosów.

Szliśmy wzdłuż Damsterdiep pod wiązami. Fascynowały mnie jej mroczne opowieści, zasłyszane od dziadka, o morskich katastrofach, o marynarzach i o kobietach, które na skutek klątwy musiały żeglować z nimi do śmierci, nie wolno im było dotknąć stopą lądu i kiedy statek zawijał do portu, przywiązywano je do bukszprytu. Jej prapradziadkiem, twierdziła, był słynny latarnik Varick z wyspy Ameland, po drugiej stronie Waddenzee. Wzbogacił się, wysyłając fałszywe sygnały, aby statki kupieckie osiadały na mieliźnie, i wyprawiał się po ich towary skifem albo pieszo podczas odpływu. Mówiła o tym bez wstydu, wręcz z podziwem dla jego przebiegłości. Opowiedziała mi, jak żony marynarzy sporządzają leczniczy balsam z piany zmydlonej na czaszce człowieka, który zginął gwałtowną śmiercią, zmieszanej z dwiema łyżkami ludzkiej krwi, odrobiną smalcu, olejem lnianym i cynamonem z Jawy. Pokazała mi łupinę orzecha z głowami pajaków, którą nosiła na szyi przeciwko gorączce. Widziałem jedynie gładką skórę, na której łupina spoczywała. Kiedy mnie przestrzegła, abym w nocy jak ona kładł trzewiki na wspak, bo to odstrasza czarownice, roześmiałem

się, na co zmrużyła oczy, objawiając ciemną stronę swej natury. Choć to wszystko było dla mnie urocze i zajmujące, pojąłem, że biedaczkę dręczą setki demonów.

Zatrzymałem się przy zwodzonym moście, aby zbadać jego mechanizm. Mosty, wiatraki, śluzy i wały fascynowały mnie od dzieciństwa, i zachwyciłem się głośno, że pracują wszystkie razem jako części jednego systemu.

— Nie ma znaczenia, jak pracują — odparła. — Kiedy wilk wodny będzie chciał się przedostać przez te wały, nie powstrzyma go żadna sverta błota i wodorostów.

Nie zraziłem się. Przeszliśmy na drugą stronę kanału i w młynie w Farmsum, za pozwoleniem młynarza, pokazałem jej, jak działa wiatrak odwadniający. W prowincji Groningen były to głównie wiatraki śrubowe, wypompowujące wodę za pomocą olbrzymiej śruby Archimedes'a umieszczonej pod kątem w głębokim rowie. Aletta nigdy nie była we wnętrzu wiatraka, toteż stała zdumiona z rękami skrzyżowanymi na piersiach, bojąc się czegokolwiek dotknąć. Gdy zrozumiała, jak ruch skrzydeł obraca połączone ze sobą części mechanizmu, przejęło mnie niespodziane, nieopisane szczęście.

Wyjaśniając jej to, uświadomiłem sobie, że koło wału, którym obracają skrzydła, ma sześćdziesiąt osiem zębów, a górna i dolna przekładnia głównej osi po trzydzieści cztery kołki, podobnie jak przekładnia śruby Archimedes'a. Oznaczało to, że przy każdym obrocie skrzydeł śruba obraca się dwukrotnie. Gdyby jej przekładnia miała tylko siedemnaście kołków, rozumowałem, ten stosunek wyniósłby jeden do czterech, i ziemię można by osuszyć dwa razy szybciej. Albo przy dwa razy mniejszej sile wiatru. A gdyby spiralna łopatk'a śruby była szersza, zwiększyłoby to pobór wody przy każdym obrocie.

— Nie tak prędko — powiedział młynarz. — Musisz wziąć pod uwagę, jakiej siły wiatru potrzeba, aby wypompować więcej wody.

Wdaliśmy się w dłuższą rozmowę, a Aletta poszła popatrzeć na kaczkę z kaczetami, pływające w rowie odwadniającym. W rezultacie w drodze powrotnej złapał nas deszcz. W kałużach na brukowanym rynku tworzyły się banieczki powietrza i Aletta nie chciała stanąć tam, gdzie pękały, choć miała na nogach *klompen*. Oddech Boga zostałby sprofanowany, gdyby dostał się pod jej spódnice, powiedziała, z oczyma rozszerzonymi powagą, którą uznałem za czarującą.

Gdy weszliśmy razem do domu, przemoczeni do nitki, Rika wzięła mnie na stronę.

— Pilnuj się z tą dziewczyną, Adriaan. Ona nie ma krzty rozsądku. Przeszłaby dla zbytku po jednonocnym lodzie. Jeśli chcesz się z nią zadawać, znajdź sobie kwaterę u innej ciotki. Gdyby Hubert tu był, powiedziałby ci to samo.

Z kościelnych wież, czapek wiatraków i dróg na groblach roztaczał się widok na płaską przestrzeń wokół Del-fzjil. Nic nie było ukryte i czyniło to sprawy jednych sprawami drugich, co, jak sobie uświadomiłem, znakomicie wszystkim odpowiadało. Rika w dowód cnoty nawet nie zasłaniała okien. Mogliśmy być z Alettą sami jedynie pod krokwiami wieży kościoła, przez co zbliżyliśmy się do siebie szybciej, niż gdyby wolno nam było spacerować w niedzielne popołudnia pod otwartym niebem. To ona wpadła na pomysł, by wykorzystać kościół jako kryjówkę. Za dzwon pociągają z dołu, więc nas nie odkryją, a kościoła nigdy się nie zamyka, powiedziała. Podobało mi się to, że gardzi konwencjonalną dewocją, lecz miała swój osobisty kodeks równie surowy jak każdy kalwinista.

Bycie tak wysoko w krainie tak płaskiej uderzało do głowy, kazało zapomnieć o rozwadze, prawie ciężenia i pobożności. Ponad wąskim pasem miasteczka czuliśmy się jak pasażerowie na gapę na statku zmierzającym ku jakiejś szczęśliwej wyspie, o której dobrzy ludzie z Delfzjil bali się nawet marzyć, aby sama myśl nie straciła ich do piekła. Z Alettą żyłem w innym świecie, jej świecie. Nie mogłem już czytać wieczorami. Dźwięk jej dziewczęcego głosu poruszał mnie tak, jak przed miesiącami nieme głosy filozofów, a zapach jej mydła i potu przyprawiał o dreszcze podniecenia.

Pod świętymi krokwiemi przyjmowała wszystkie moje nieśmiałe, sztywne awanse, pomrukując zachęcająco i z wdzięcznością, aż pewnego wiosennego popołudnia w tym ciemnym kościele omal nie eksplodowałem. Odsunąłem się, a ona parsknęła śmiechem, tak że poczułem się dziecinnie. Pociągnąłem tasiemki jej koszuli i odkryłem, że nosi między piersiami ziarenko fasoli na szczęście. Położyłem ją na plecach i zacząłem całować ciepłe różowe gniazdko, w którym spoczywał amulet. Pod warstwami szarych spódnic uniosła biodra na moje spotkanie, nagłaco, natarczywie, nie do zniesienia. Jej uda się rozchyliły i byłem stracony dla każdego rajy prócz Aletty. Aletty.

Spodziewałem się potem, że jej oczy będą miały mglisty, daleki wyraz, że będzie pytać mnie wzrokiem, czy powinna czuć się zawstydzona. Tymczasem przyglądała ubranie i powiedziała:

— Więc postanowione.

— Co jest postanowione?

— Ożenisz się ze mną.

Jej prostoduszność zaparła mi dech. Nie odrzekłem ani „tak”, ani „nie”. Nie musiałem. Wiara w fasolkę zapew-

niała ją, że jest tak, jak chce myśleć. W dniu, gdy miałem pokazać mistrzowi mój projekt ulepszanego wiatraka, znalazłem nakrapiane ziarenko w kieszeni spodni. Była to na pewno ta sama fasolka, olbrzymie poświęcenie. Chciałem ją wyrzucić, lecz jakaś czułość kazała mi ją schować z powrotem. Był to jakby dowód łączącej nas więzi.

Niedługo potem Aletta usłyszała w domu w nocy jakiś głośny chrobot i huk. Przemknęła jak burza przez pokoje, szukając przyczyny, i gdy odkryła, że obraz z dziewczyną spadł ze ściany, krzyknęła i cofnęła się przerażona, z falującą pierśią, wyrywając sobie włosy z głowy. Ciotka, wuj, ja, wszyscy się zbudziliśmy, i Rika na uspokojenie napoiła ją gorącym mlekiem. Pokazałem jej, że rozplótł się sznurek, na którym obraz wisiał, ale wciąż była niepocieszona.

— Zobaczycie. Stanie się coś strasznego.

Ucichła dopiero wtedy, gdy zacząłem ją tulić, co powiedziało Rice więcej, niżbym sobie życzył.

Nazajutrz wyszła za mną z domu, gdy wybierałem się do młyna.

— Ona nie ma w sobie Ducha Świętego, Adriaan.

— Mylisz się, Riko. Duch ją przepelnia. Nękają ją takie demony, że wyłącznie dzięki łasce boskiej ma dość wiary, by oddychać.

Odwróciłem się i odszedłem, sam we władaniu siły wyższej.

Planowaliśmy, że urodzi na wyspie Ameland, gdzie miała prawo dziedziczenia. W dużym domu mieszkał tylko jej głuchy, stary dziadek i jego gospodyni. Zostalibyśmy tam, póki nie zdecydujemy, co dalej. Był jednak koniec listopada, wiatr sprowadził ulewne deszcze i nie mogli-

śmy przeprowić się przez Waddenzee podczas odpływu ani nawet wynająć rybackiej łodzi, więc Aletta upozorowała ucieczkę, lecz ja wiedziałem, gdzie jest.

Ukradkiem, po trochu, zaniósła wcześniej na kościelną wieżę suchą słomę, pled, wodę, chleb, świece i stary koszyk z czystymi szmatami. Kiedy czekaliśmy, aż nadejdzie jej czas, codziennie przynosiłem jej garnek piwa z gospody i jedzenie, które ukradłem z kuchni ciotki. Prosiła o chleb z masłem i owczy ser, które miała zjeść zaraz po rozwiązaniu, a do zawinięcia w pieluszki dziecka liść kapusty na wypadek, gdyby był to chłopiec, i pęczek rozmarynu dla dziewczynki. Bojąc się, że wpadnie w gniew, usłuchałem. Wtedy zrobiłbym już wszystko, co mi każe.

Przyglądałem się nawet, jak leje stopiony воск do miski z wodą. Kiedy stwardniał, ułożyła kawałki w rzędzie, aby przestudiować ich kształty. Jej twarz wykrzywił bolesny grymas i zgmiotła воск w dłoni.

— No i? Co to znaczy? — zapytałem, wstydząc się, że jestem ciekaw czegoś, co uważam za zabobon.

— Nie mogę powiedzieć, bo się spełni.

Byłem wściekły, że nie chce mi powiedzieć. Postradałem wszelki rozsądek, wiarę w rzeczy, które uznawałem za prawdę.

Nie chciała akuszerki, chociaż ją błagałem. Powiedziała, że wszystkie akuszerki w Dełfzjil są zobowiązane pod przysięgą zgłaszać narodziny nieślubnych dzieci radzie miejskiej, która mogłaby odebrać nam niemowlę, więc będę musiał pomóc jej sam. Kiedy przyszedł czas, dała mi znak, wywieszając swój szal z kamiennego okienka pod dachem. Usprawiedliwiłem się jakoś mistrzowi i przebiegłem w deszczu przez rynek. Zastałem ją uczepioną krokwi nad głową.

— Tylko mi tu nie zemdlej — prychnęła. Wyjaśniła mi, co mam zrobić, i zrobiłem to. Przysięgła

kiedyś, że nie miał jej żaden mężczyzna przede mną, ale wiedziała o rodzeniu wszystko i ani trochę się nie bała, przez co zacząłem się zastanawiać, tuż przed pojawieniem się dziecka, czy naprawdę byłem jej pierwszym.

Oślabłem wobec ogromu tego, co miałem przed sobą — ta krew, ten zapach — i co trzymałem w dłoniach — trzepoczące się życie.

— Piękny, zdrowy chłopiec — udało mi się powiedzieć.

Aletta tylko jęknęła. Obmyłem go, ułożyłem w koszyku i wyciągnąłem ręce po to, co, jak mówiła, miało się wyslizgnąć teraz, gdy nagle znów wydała okrzyk, który na szczęście stłumił deszcz. Wypchnęła biodra do przodu i ujrzałem następną główkę. Cały drżąc, podtrzymałem ją dłonią.

Bliźnięta to najgorszy omen, powiedziała później Aletta, a w dodatku małeńkie wargi dziewczynki były rozszczepione jak u kota czy zająca.

— To ślad pazurów Złego.

— Wcale nie — odparłem, mniej stanowczo, niż zamierzałem.

Nie miałem innego wyjścia, jak zapewnić jej wygodę i wrócić do domu.

Nazajutrz, gdy przyszedłem z południowym posiłkiem, Aletta powiedziała, że kiedy dziewczynka ssie, mleko wychodzi jej nosem.

— Wszyscy będą z niej szydzić i stanie się złośliwa i dzika, i w końcu umrze z samotności. Lepiej, żeby umarła od razu. Lepiej posłać biedactwo do jej Stwórcy, zanim przywyknie do życia.

— Aletto, nawet nie myśl o czymś takim.

Bałem się ją zostawić, lecz musiałem pójść do domu, aby nie wzbudzać podejrzeń.

— Jeśli zrobisz krzywdę temu dziecku, zgubisz swoją nieśmiertelną duszę.

Spojrzałem na nią twardo i zabroniłem jej się ruszać z miejsca, dopóki nie wrócę. Całą noc przeleżałem, nie śpiąc, słuchając, jak pioruny druzgocą świat.

Rzęsisty, zacinający deszcz bębnił po dachu młyna, gdzie pracowałem następnego ranka nad modelem wiatraka, rzeźbiąc śrubę z małą przekładnią i szerszymi łopatkami. Modliłem się, aby nie przestało padać, bo wtedy ludzie mogliby usłyszeć płacz dzieci. Z jedzeniem i mlekiem dla Aletty wsunąłem się bocznymi drzwiami do kościoła, przesiąkniętego ohydny zapachem pleśni, i wszedłem na górę po drewnianych schodach, zdjęty potwornym lękiem.

Trzymała chłopca przy piersi, podpierając dłonią jego maleńką główkę. Koszyk był pusty.

— Gdzie dziewczynka?

Aletta, z pogryzionymi, opuchniętymi wargami, wbiła we mnie zajadłe spojrzenie.

— Ani pary z ust, Adriaan, bo założą mi powróż jak nic.

— Mój Boże, Aletta.

— Co ty wiesz, studenciku, o prawach matki?

— A prawa ojca?

— Nie czytałeś wosku, Adriaan. Nie miałam wyboru.

— Powiedz mi, gdzie ona jest, Aletto.

Odwróciła twarz. Popatrzyłem na jej dłonie i dostrzegłem brud za paznokciami. Spódnice, łokieć i policzek miała umazane błotem.

— Powiedz mi, gdzie.

Jej kamienny chłód był jeszcze bardziej przekonującym dowodem katastrofy niż brudne paznokcie. Dyskusja miałaby tyle sensu, co obwinianie pierwszych ludzi w Edenie. Nie mogłem się zmusić, aby na nią spojrzeć. Oddała duszę diabłu.

Nawet w tym natura działała na jej zgubę. Wykopała za płytki dół i deszcz zmył sypką ziemię. Nazajutrz kobiety odkryły w błocie martwe niemowlę. Rajcy miejscy przyszli prosto do Riki i moja uczciwa ciotka powiedziała im, że Aletta uciekła. Wiedziałem, że szybko ją znajdą. W sprawiedliwym mieście Delfzijl zatajenie występku było równie niemożliwe jak ukrycie wiatraka na równinie.

— Szukajcie po młynach. Szukajcie po stodołach. Szukajcie w kościele. Musi gdzieś być — powiedziała Rika rajcy Coornhertowi i spojrzała na mnie wyzywająco.

Kilka godzin później Aletta wpadła do domu, wrzeszcząc:

— Adriaan! Pani! Nie pozwólcie im mnie zabrać! — Szarpiąc się z rajcami, którzy ją pochwycili, zawołała do mnie: — Nie pozwól im zmydlić mojej czaszki. Nie pozwól im, Adriaan. Ostrzegam cię.

Cisnęła mi spojrzenie, które mnie sparaliżowało, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi i moje słowa utonęły w zamieszaniu. Jej pięści młóciły ich torsy, włosy smagały twarze. Mieli swoją winowajczynię.

Stałem pod drzwiami oniemiały i bezradny jeszcze długo po ich wyjściu.

— Tylko ci się zdaje, że ją kochasz, Adriaan — powiedziała cicho Rika. — Przyjdzie czas, choć teraz nie potrafisz sobie tego wyobrazić, gdy nie będziesz pamiętał jej twarzy.

Popatrzyłem na ciotkę; z jej warkocza upiętego w dumną koronę na czubku głowy nie wymykał się ani jeden włos.

— Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Spędziłem z dzieckiem na kościelnej wieży dwa piękne dni. Kilkanaście razy dziennie i podczas deszczowej nocy moczyłem róg szala Aletty w owczym mleku, które dostałem od syna mistrza, i dawałem małemu do ssania. Widziałem, jak jakiś chłop karmił w ten sposób, po palcu, osierocone jagnię. Nie umiałem go jednak dobrze trzymać. Próbowiałem sobie przypomnieć, jak robiła to Alet-ta. Kiedy miał dość, rozpościerał ruchliwe rączki i przymykał niebieskie ślepka. Omal nie pękłem z radości, gdy jego maleńka pomarszczona piąstka o paznokietkach jak płatki wosku dokonała pierwszego cudu: chwycił mój palec wskazujący.

Trzeciego ranka wydał mi się apatyczny. Osłabł z głodu. Prawda, przed którą się broniłem, stała się oczywista: będę musiał oddać go kobiecie, która go wykarmi. Zawinałem go w czyste szmaty, ułożyłem w koszyku i wyszedłem na poszukiwanie. Przypomniało mi się, że Kartezjusz miał dziecko ze swoją amsterdamską służącą. On jednak mógł je wychować pod własnym dachem. W Delfzijl na żadnym domu nie wisiała obwieszczająca narodziny deseczka obciągnięta czerwonym płótnem, ale jakie miało to znaczenie? Dziecka Aletty i tak nikt by nie przyjął.

Podczas następnego karmienia udało mi się nakapać mleka po palcu do buzi małego i chyba dzięki temu wypił więcej, ale czas uciekał.

W zimnej mgle przeprowiłem się po śliskim moście na Damsterdiep do Farmsum. Po drodze ludzie z Zarządów Wodnych obu miasteczek mierzyli wysięki i tupali w ziemię, a chłopci wzmacniali zagrożone miejsca. W Farmsum też nie było czerwonych tabliczek. Wróciłem, aby nakarmić dziecko, i w nieprzerwanym deszczu powędrowałem wzdłuż Damsterdiep w głąb łądu, do Solwerd, przez pola gąbczaste po ośmiu dniach opadów. Chłopi budowali ziemne rampy dla gospodarskich zwierząt i za pomocą bloków linowych wciągali zapasy na piętra domów i do sąsiedków stodół. Żadnych tabliczek w Solwerd. Wyprawiłbym się aż do Appingedam, ale gdybym nie przyszedł na kolację, Rika zapytałaby, gdzie byłem. Nakarmiłem małego i wróciłem przemoczony do domu. Ponieważ wuj był w Amsterdamie, Rika poprosiła, abym wniósł jej ozdobną mahoniową komodę na piętro. Choć wyjęliśmy wszystkie czterdzieści osiem szuflad, ledwo mogłem ją udźwignąć, i zwałem się na łóżko wyczerpany.

Leżąc w ciemności, biłem się z myślami. Aletta Pieters miała zawisnąć nazajutrz w południe. Jeśli pójdę patrzeć, będę żył z tym potwornym wspomnieniem do końca moich dni. Jeśli nie pójdę, sprzeniewierzę się jej. Lepsza pamięć niż zdrada, uznałem.

Egzekucja z pewnością przyciągnie tłumy, gdybym więc dołączył do kpiących ze skazanej chłopców, nikt by mnie nie podejrzewał. Ale znów zaczęło padać i kiedy z wybiciem jedenastej wszedłem na rynek, nie było tam żywej duszy. Jako jedyny widział na pewno zostałem obwołany ojcem. Nie dlatego jednak poszedłem dalej. Po prostu nie mogłbym patrzeć na to z tak bliska. W akcie najwyższego tchórzostwa przeciąłem rynek i wspiąłem się na wieżę kościoła. Z okna widziałem ratusz, przed którym wznie-

siono szubienicę. Może Aletta spojrzy w tę stronę.

Przytłumione bębnienie deszczu o dachówki przeszło w łoskot i miałem nadzieję, że zagłuszy bicie dzwonu na południe. Około wpół do dwunastej kałuże połączyły się w jeziora i mężczyźni ruszyli przez torfowisko z wózkami, na których mieli deski i duże wiklinowe maty, bryły torfu i worki z piaskiem, łopaty, paliki i latarnie na kijach. Wszyscy byli zaprzątnięci powodzią, więc nikt nie przyszedł patrzeć, jak wieszają Alettę Pieters. W mieście zostali tylko przewodniczący egzekucji rajcy i bajlif, kobiety próbujące zaprowadzić krowy na wyższe piętra, dziewczęta wnoszące pościel oraz zapasy jedzenia i torfu na poddasza, i mali chłopcy, którzy długimi sznurami uwiązywali skify do krokwi dachów.

Kiedy wóz wjechał na rynek, była przywiązana do słupka, z rękami spętanymi przy ciele. Nie miała włosów! Zakipiałem wściekłym gniewem. Ktoś ją ogolił. Musiała pomyśleć, że to przygotowanie do zmydlenia czaszki, choć zapewne tylko żona strażnika więziennego chciała mieć włosy tak dziwnego koloru, aby upleść z nich sprzączki do pasków. Nigdy jej się to nie uda. Jedwabiste włosy Aletty nie będą się trzymać.

Niezdarnie podniosłem chłopca do okna. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczy na tym świecie, będzie wieszanie jego matki. Jak wiele musi się nauczyć. Wysunąłem róg szala Aletty na zewnątrz, aby dać jej znać, że patrzymy, i modliłem się, by go dostrzegła. Odniosłem wrażenie, że w tym momencie wyprostowała się na wozie i bardziej wyciągnęła szyję, jakby obserwowała ją sama Rika. W jej postawie nie było nic ze wstydu umierania, bycia skazaną na śmierć. Przyglądała się niebu. Miałem nadzieję, że w całej tej szarości dojrzy gdzieś bociana. Albo pękającą ba-

nieczkę, znak, że Bóg oddycha wszędzie wokół niej. Przemoczona szara suknia oblepiała jej ciało, podkreślając małą, piękną krągłość brzucha. Zdusiłem w sobie najbliższe miłości uczucie, jakie znałem.

Deszcz smagał bruk, bił o szyby. Bez wątpienia we wszystkich oknach wokół rynku tłoczyli się gapie, przeklinający ścianę wody, która zasłaniała im widok. Pod osłoną ratuszowego dachu rajca Coornhert maszerował tam i z powrotem jak generał. Szybciej, człowieku! Drobną sługę prowincjonalnej sprawiedliwości. Nie może się nikomu narazić, wykonując wyrok zbyt wcześnie albo zbyt późno, albo w ogóle go uchylając. Porządek. Porządek musi być. Choćby rozmokła ziemia miała się osunąć, choćby góry miały wpaść do morza, porządek musi być. Powiesz ją punktualnie w południe, każą jej czekać te ostatnie żalosne pół godziny w przejmującym do kości deszczu, z ogoloną głową. Widząc jej bezbronność, jej drżące, opuchnięte wargi, powinni się zawstydić i okazać odrobinę litości, choćby przyspieszając egzekucję.

Tuż za mną na wieży odezwał się wielki dzwon. Chłopiec szarpnął się w moich ramionach. Przytuliłem go mocniej. I znów dzwon zabrzmiał echem w mojej piersi, powoli, pompatycznie odmierzając kolejne z dwunastu uderzeń.

Czy Aletta doceniłaby całość tego widoku — powietrze szare od deszczu, szubienica i gładki kamień ratusza za odrobinę ciemniejszą szarością — gdyby patrzyła na to z innej perspektywy? Czy spostrzegłaby, że deszcz ścieka z koniuszków jej palców, wydłużając je w płynne szare korzenie przywodzące na myśl ręce czarownicy?

Postanowiłem patrzeć na jej dłonie, tylko na jej dłonie, choć nie widziałem, gdzie kończą się palce i zaczyna wo-

da. Deszcz spływał z nich, póki nie nastąpiło to nagle, jednoznaczne szarpnięcie, które jednak zobaczyłem, które zawsze będę widział, kiedy jej stopy gwałtownie wierzgnęły, wierzgały dalej, spadły jej *Mompen*, oczyma duszy ujrzałem, jak jej dłonie odrzucają wodę, i po chwili deszcz znów ściekał jednostajnie z jej palców i znieruchomiałych stóp cienkimi srebrnymi strużkami. Moja dusza zadrżała.

Odwrociłem się tyłem do okna i stałem, pochylając głowę nad dzieckiem, póki nie zamarło echo dwunastego uderzenia.

— „Ojcze, pobłogosław nam. Nim odejdziemy, obdarz nas pokojem” — szeptałem, a mój oddech poruszał puszyste włoski niemowlęcia. — „Pokój, co niesie zrozumienie, ześlij naszym czekającym duszom”.

Pod zamkniętymi powiekami znów zobaczyłem to szarpnięcie, jej stopy, wierzgające, a potem nieruchome, odrzuconą wodę.

Powiedziałyby pewnie, iż ludzi, którzy stali tak blisko, że ich zmoczyła, spotka nieszczęście mające coś wspólnego z wodą. Najmniejszym z nich mogłoby być poparzenie ust gorącą herbatą, największym utonięcie w nadciągającej niechybnie powodzi. Nazwałaby to „kłutwą odrzuconej wody”.

Rozległo się bicie dzwonów na alarm. Ułożyłem chłopca w koszyku, zostawiłem go na wieży i nic prawie nie widząc, zszedłem niepewnym krokiem po wąskich schodach, by przyłączyć się do nielicznych pozostałych w mieście mężczyzn, którzy biegli teraz przez torfowisko. Zacinający deszcz ukłuł mnie w twarz, poślizgnąłem się i upadłem. Wszystkie wiatraki wzdłuż Damsterdiep stały ze skrzydłami w położeniu ostrzegawczym.

Wzburzone fale przelewały się miejscami przez morski wał. Szara, bezduszna śmierć lizała ląd. Wilk wodny z koszmarów Aletty obnażał białe kły i toczył pianę z pyska na nabrzeże. Dołączyłem do szeregów mężczyzn, którzy starali się podnieść koronę wału. Jak szalony wrzucałem łopatą glinę między kładzione przez nich deski.

Późnym popołudniem morze przerwało wał na północy, gdzie nie było ratowników, i runęło na niżej położone torfowiska, wypełniając doły. Wspięliśmy się po ścianie wału i pracowaliśmy powyżej linii wody, aż nadpłynął jakiś szyper i ustawił swoją barękę burtą do wyłomu. Umocowaliśmy ją sznurami, a w prześwity wetknęliśmy wodorosty, maty z trzciny oraz bryły torfu. Potem morze przedarło się w innym miejscu. Ogarnęło mnie poczucie przegranej i przez chwilę nie mogłem złapać tchu. Morze zwyciężało zapewne wzdłuż całego wybrzeża.

Zatkaliśmy nowy wyłom wyrwaną ścianą najbliższej stodoły, przywiązaliśmy ją sznurami do kołków wału i ubiliśmy na wierzchu glinę. W szybko gasnącym świetle widziałem, jak załatane miejsce się wybrzusza. Całą noc staliśmy w szklistej czerni z piętami wbitymi w ziemię, podpierając pochylony wał własnymi plecami, jeden obok drugiego, spleceni ramionami w odrętwiałym łańcuchu. Wilk po drugiej stronie opryskiwał lodowatą morską wodą moją spoconą twarz i piekły mnie ręce. Zamknąłem oczy, chcąc zapomnieć o bólu, i wyobraziłem sobie Alettę, idącą zygzakiem, by omijać banieczki w kałużach. Deszcz padał na mój kark i na kościelną wieżę, na ratusz, na szubienicę i na nagą głowę Aletty. W głębi lądu mogłem dojrzeć rząd ognisk sygnałowych ciągnący się daleko ku północy. Policzyłem te ogniska i później policzyłem je ponownie, a ponieważ było ich mniej, zrozumiałem, że

morze wdarło się gdzieś jeszcze. Zaleje całą równinę. Grzmoty i okrutne błyskawice przynosiły fala za falą zdumienie, niedowierzanie i gniew, aż wszelkie zdumienie, niedowierzanie i gniew wypłynęły ze mnie, pozostawiając jedynie drżącą pustkę. I myśl o dziecku na wieży, głodnym i płaczącym całą noc.

W końcu poczuliśmy i usłyszeliśmy, że fala się odwróciła. Woda, która miała przyjść, już przyszła. Powoli kształty zaczęły się wynurzać z mroku, deszcz zrzedniał do srebrnej mgły i ten przytłumiony świt miał w sobie jakieś straszliwe piękno. Odszedłem od wału i stałem jak ukrzyżowany, nie mogąc opuścić rąk. Odwróciwszy się, spostrzegłem w mlecznoszarym świetle, że mięsiste ramię, które ściskałem całą noc, należało do rajcy Coornherta.

— Dobry z ciebie chłopak — powiedział. — Dużo lepszy niż takie jak ona.

Zasyczała we mnie wściekłość. Kto jeszcze wiedział?

Wywalczyłem miejsce w pierwszej łodzi wracającej do Delfzijl. Wszystkie torfowiska i zagrody były pod wodą. Nagie drzewa, zanurzone po korony, wyglądały jak krzewy. Kopacze torfu siedzieli na rozmiękłych strzechach albo dzielili konary drzew z kurami. Rodzina młynarza stłoczyła się na czapce młyna. Duże, łagodne konie pociągowe rasy groningen pływały wokół bez skargi, bez celu, bez zrozumienia. Przez chwilę zazdrościłem zwierzętom ich prostych strapień.

Bez prostych linii kanałów i rowów okalających chłopskie pola mniej było na ziemi śladów interwencji człowieka. Miasto stało się niższe, skarłałe. W Delfzijl powódź dotknęła jednakowo sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Zalane były tylko pierwsze piętra domów. I dolna część

kościół. Wiedziałem, że dziecko jest bezpieczne na wieży. Przepłynęliśmy przez rynek między ratuszem i kościołem, po wodzie płaskiej jak cynowy talerz, mijając olbrzymiego szczura, który dryfował na jakichś drzwiach. Omen, powiedziałaaby Aletta. Ale powódź zmyła szubienicę i Alet-tę Pieters.

Dom wujostwa był pomniejszony, poniżony przez wodę sięgającą połowy dolnego piętra. Wspiąłem się z łodzi do środka przez na wpół zanurzone okno i znalazłem Rikę na schodach, mokrą od pasa w dół. W jednej ręce miała cejlońską wazę, w drugiej obraz z dziewczyną, przedmioty, za które posłano jakąś duszę do piekła na ziemi w obu Amerykach. Nic nie wiązało mnie z tym domem ozdobionym dzięki uciskowi ani z tym miastem szybkiej, prostej sprawiedliwości. Zbyt łatwo mogliby zyskać odkupienie, niechętnie przygarniając sierotę. Musiałem wrócić do trudniejszych idei.

— Wyglądasz jak...

— Muszę odejść, Riko.

— Tak, musisz. Dziwię się, że zostałeś nam pomóc.

— Ty wiesz?

— Znika dziewczyna. Znika jedzenie. Siostrzeniec przepada na całe godziny. Siedzi w pustym kościele jak jakiś papista. Sądziłam, że odejdiesz, kiedy ją... Wczoraj w południe.

— Wiedziałaś, że jest w kościele, i posłałaś ich tam!

— Aby cię przed nią ocalić.

— Ocalić mnie?

— Teraz jesteś wolny — wyjąkała bezwstydnie.

Jak mogłem cokolwiek wyjaśnić komuś, kto myśli w ten sposób?

— Rika, potrzebuję pieniędzy.

— Pieniędzy? — Postawiła wazę na stopniu i spojrzała na mnie zdumiona. — Połowa okolicy pod wodą, a ty się kłopotujesz o pieniądze?

— Było drugie dziecko.

Przesadnie głośno wciągnęła powietrze i kazała mi czekać na odpowiedź.

— Jeśli coś ci dam, obiecasz, że zabierzesz stąd to dziecko?

— Sądzisz, że zostawiłbym je dobrym ludziom z Delfzjil?

— Masz. — Podała mi obraz. — Sprzedaj go w Amsterdamie. Dam ci kwit od handlarza. Lubiła ten obraz, choć płakała. — Zadrżał jej podbródek. — Nie potrafię już się nim cieszyć.

— Moje rysunki?

— Je też uratowałam. Są na górze.

— Daj je Zarządowi Wodnemu.

Brnąc po pas w wodzie, poszedłem za nią na piętro, wziąłem obraz, kwit, jakiś pled, moje książki i sakwę, i ćwiartkę sera, którą dała mi Puka, po czym załadowałem skif wuja i odbiłem od ściany domu. Rika stała w górnym oknie jak w kabinie barki lub na arce.

— Pamiętaj — powiedziałem do niej — kiedy Bóg pożałował, że stworzył człowieka, sprowadził potop.

Wspiąłem się na wieżę kościoła, zmieniłem chłopcu pieluchy, nakarmiłem go, owinałem szalem Aletty i pledem i położyłem na rufie łodzi, gdzie mogłem go widzieć. Obraz i sakwę ustawiłem po bokach i przykryłem wszystko drugim pledem jak namiotem. Wyczerpany, powiosłowałem przed siebie, zostawiając miasto Delfzjil i jego mętne prawdy.

Z początku przegrywałem z pełną wirów wodą i prąd

Damsterdiep znosił mnie do tyłu, aż nauczyłem się rozpoznawać, gdzie marszczy powierzchnię, i sterować blisko zagród, by go omijać. Cierpły mi ręce i musiałem co jakiś czas odkładać wiosła, a uszy bolały mnie od podmuchów zimnego powietrza.

W głębi ładu, bliżej Solwerd, nurt się uspokoił i rytmiczne kołysanie łodzi uspiło dziecko. Wiatr rozpedził chmury i słońce rzucało na wodę srebrny blask. Za Solwerd wodne pustkowia tchnęło przerażającym, fałszywym spokojem. Nawet kiedy osuszy się ziemię, na polach pozostanie morski piach i gleba będzie zasolona jeszcze przez długie lata. Cała moja duma z panowania nauki nad naturą wyparowała. Czas igrał z człowiekiem. Mój projekt szybszego wiatraka powstał o wiele lat za późno, Aletta i ja urodziliśmy się o wiele lat za wcześnie.

Nie byłem „dużo lepszy niż takie jak ona”. Ja nie walczyłem z żadnymi demonami. Po prostu dałem się nieść jej prądom, podczas gdy Aletta... Nigdy tchórzliwie nie litowała się nad sobą. Uważałem miłość za przypadkowy apendyks, nie za centralną śrubę, wprawiającą wszystkie części w ruch. Nigdy nie dziwiłem się sile jej obrotów. Wszystko, o czym uczono mnie na uniwersytecie, że jest pewne i wieczne, dryfowało nie zakotwiczone, i podczas tej długiej drogi powrotnej Bóg wydawał mi się o wiele bardziej nieprzenikniony.

Appingedam również było pod wodą. Dopłynąłem tam po południu. Mieszkańcy uwijali się na łodziach, aby uratować zwierzęta i dobytek, nim zapadnie wczesny zmierzch. Za miastem, w przysiółku Oling, dwoje małych dzieci wychylających się z górnego okna o czerwonych okiennicach pomachało do mnie i zawołało ze śmiechem:

— Święty Mikołaj! Święty Mikołaj!

— Macie mleko? — zapytałem.

Tylko zachichotały w odpowiedzi. Gdy powtórzyłem pytanie, zniknęły za parapetem. Powyżej linii wody spostrzegłem, że na drzwiach, okolonych bezlistnym winem, wymalowano sielską scenę, jak robili to wieśniacy na południu. Po kilku chwilach do okna podeszła jakaś kobieta i spuściła mi drewniany cebrzyk z fajansowym kubkiem mleka w środku. Wziąłem kubek, podziękowałem jej i powiosłowałem za stodołę, gdzie, niewidoczny dla nikogo, przywiązałem łódź do drzewa. Zamoczyłem rękaw w mleku i zacząłem karmić chłopca.

Żałowałem, że nie znam żadnych kołysanek. Ani tych macierzyńskich dźwięków, którymi uspokaja się dzieci. Przychodziła mi do głowy wyłącznie doksologia.

— „Chwalcie Pana, bo w Nim źródło łaski bije” — zanuciłem cicho, pojąc chłopca mlekiem i uśmiechając się do niego. — „Niech Go chwali wszystko, co na ziemi żyje”.

Kobieta dała mi mleko, o nic nie pytając. Ścisnęło mnie w gardle. Dzieci w oknie wyglądały na szczęśliwe. Było to odpowiednie miejsce.

— „Chwalcie Go, aniołów w niebiesiech zastępy”. — Po raz pierwszy i ostatni śpiewałem mojemu synkowi. Głos mi się załamał i przeszedł w cienki falset. — „Pochwaleń Bóg Ojciec, Syn, także Duch Święty”.

O zmierzchu jakiś mężczyzna podpłynął do domu ski-fem, przywiązał go do belki, przez okno podał kobiecie trzepoczącą skrzydłami kurę i wspiał się do środka. Wygrzebałem z mojej sakwy ogryzek ołówka i na odwrocie dokumentu od handlarza napisałem: „Sprzedajcie obraz. Nakarmcie dziecko”, po czym owinałem mojego syna, dokument i liść kapusty w pled. Uśpiony na siedząco zmęczeniem i pluskiem wody o burty łodzi, obudziłem się

w ciemności. Ułożyłem naszego pięknego syna w skifie mężczyzny, osłoniłem go obrazem i drugim pledem i chwyciłem za wiosła.

Odpywając, słyszałem, jak rozkołysany skif trąca nieśmiało dom, jakby uprzejmie do niego pukał, jakby niósł błogosławieństwo, i pojąłem, że powiosłuję aż do Groningen, jeśli zajdzie potrzeba, dopóki nie będę mógł znów poczuć pod stopami twardej ziemi.

Czy byłoby bluźnierstwem, zastanawiam się teraz, podziękować za ten powrót Bogu?

Adriaan Kuypers, Kolegium Nauk Przyrodniczych i Filozofii, Uniwersytet w Groningen, w wigilię Św. Mikołaja, 5 grudnia 1747 r. Deszcz padał cały dzień.

ZATRZYMANE ŻYCIE

W okazałym ceglanym domu Pietera Claesza van Ruijven nad kanałem Oude Delft Johannes został wpuszczony do tego samego wyłożonego drewnem westybulu, w którym zawsze oferował swe obrazy, jeden po drugim, już od dziesięciu lat.

— Jest w tej chwili zajęty — powiedziała młoda służąca. — Pan z jaką sprawą?

— Chciałbym zobaczyć obrazy. Wymknął jej się krótki akord chichotu.

— Nie dość się pan na nie napatrzył? — Wprowadziła go do wielkiej sali. — Powiem mu, że pan przyszedł.

Został sam. Na to właśnie liczył. Sam ze swoimi obrazami, które ogrzewały pokój ze wszystkich stron.

Widok Delft, duży, samotny i promienisty na przeciwległej ścianie. Niezmacony spokój poranka, zanim miasto się obudzi. Światło, jedyny aktor, oblewa czule wieżę Nieuwe Kerk i pomarańczowe dachy w oddali. A na pierwszym planie mury miejskie, bramy Schiedam i Rotter-damska, nawet kutry do połowu śledzi, wszystkie nieruchome, ciemniejsze pod chmurą, jeszcze śpią. Czyż w chwili takiego spokoju nie można poczuć w sobie łaski Boga? Patrząc na obraz z progu, mógł w całości objąć go wzrokiem. Idąc ku niemu, jakby zbliżał się do miasta, drżał

z emocji. Nigdy nie doznał tego uczucia w małej izbie, którą wynajął za rzeką, aby namalować ów widok.

Tęsknił za tą izbą. Za jej darem ciszy. Teraz malował we frontowym pokoju swego ciasnego domu stojącego tuż przy rynku. Jedenaścioro dzieci stale plątało mu się pod nogami, ich *klompen* stukały o posadzkę. Krzyki chłopców, toczących wymyślane bitwy. Kłótnie dziewcząt o podział domowych obowiązków. Bolesny kaszel małej Geertruidy. Płacz niemowlęcia. Zgiełkliwa gospoda matki w sąsiedztwie i dobiegające przez podwórze nedorzeczne perory Willema, jego głupkowatego szwagra.

Łaknął ciszy. Każdy raptowny dźwięk mógł sprawić, że położy farbę pod złym kątem. Wówczas światło nie będzie padało właściwie na rowki pozostawione przez włosy pędzla i będzie musiał zamalować ten fragment. A dodatkowa warstwa farby wyniesie błąd na grubość jedwabnej nici. Nie da się go ukryć. Będzie krzyczał z płótna, ilekroć na nie spojrzy. Jeśli zobaczy takie błędy dzisiaj, całkowicie go sparaliżują.

W zamian poszukał na obrazie miejsc idealnej precyzji, znaków władzy swego pędzla. Patrząc z bliska, mógł czerpać otuchę ze szklistej gładkości szaroniebieskich łupków Bramy Rotterdamskiej, ze słuszności chropawej faktury impastów na dachówkach pierwszego planu. Tak. A jeśli były to tylko przypadkowe sukcesy?

Coś się w tej sali zmieniło. Rozejrzał się. Ach! Pieter powiesił *Uliczkę* obok *Widoku Delft* Spodobał mu się ten kontrast: miła, cicha zwyczajność *Uliczki* i wspaniałość całego miasta. Znów poczuł, niczym szybsze pulsowanie krwi, absolutną, uderzającą konieczność umieszczenia w obrazie czerwonej okiennicy, i intymność postaci spokojnie zajmujących się swoimi sprawami. Jakaś dziewczy-

na klęczała przy chodniku, tyłem do widza, jej skromna brunatna spódnica wydymała się jak olbrzymia, baloniasta dynia. Nadal był z tego zadowolony. Widywał swoje córki siedzące dokładnie tak samo, całkowicie i radośnie pochłonięte pracą.

Czy świat potrzebował jednak kolejnego obrazu, który przedstawia ludzi spokojnie zajmujących się swoimi sprawami? Czy kolejny obraz wynagrodzi jego rodzinie niedostatek mięsa na stole?

Na marmurowej posadzce za jego plecami zastukały obcasy. Odwrócił się i spytał:

— Jak się miewasz, Pieter?

— Świetnie, świetnie.

— A interesy w browarze?

— Idą znakomicie. Sprzedaż rośnie jak piana na dobrym piwie.

Pieter zaproponował mu kieliszek wina z cebulastej białej karafki. Jan podniósł dłoń na znak odmowy.

— Więc zacząłeś malować nowy obraz i przyszedłeś mnie skusić, opowiadając o nim?

— Nie, jeszcze nie. Próbuję się zdecydować.

— Weź jedną ze swoich córek albo znowu Catharinę, każ jej pozować i maluj. Twój pędzel temu podoła.

Jan głośnym sapnięciem dał upust swemu rozbawieniu prostodusznością Pietera.

— Wiem, że według ciebie obraz musi ucieleśniać jakąś prawdę — dodał Pieter z uśmiechem, przesadnie rozciągając słowa.

— Lub przynajmniej wiernie przedstawiać rzeczywistość. By wyrazić na płótnie coś, co uważał za prawdziwe,

potrzebował namysłu, czasem miesięcy pozornej bezczynności. Nie potrafił odkrywać prawd na siłę. Umiał za to

oddać się obrazowi z poświęceniem i żarliwością, jak ta dziewczyna pochylona nad chodnikiem, oddana ciałem i duszą swemu zajęciu. Teraz jednak nie mógł się zdecydować na żaden z tematów, które mu się nasuwały, i wyrzucał sobie, że im dłużej to trwa, tym bardziej grzeszy samolubstwem.

— Człowiek może namalować w życiu określoną liczbę obrazów — powiedział. — Powinien więc wybierać je rozważnie.

— W końcu wybierzesz. Wiem o tym. Po prostu lubisz kazać mi czekać.

Jan zaśmiał się ponuro, wiedząc, że Pieter żartuje. W otchłani przerwy w malowaniu czuł się jak martwy. Ilekroć kończył obraz, ogarniał go zawstydzający lęk przed powrotem do rzeczywistości życia rodzinnego. Kiedy był pogrążony w pracy, rodzina usuwała się na zamglone tło, lecz pomiędzy obrazami wychodziła na ostry pierwszy plan odpowiedzialności.

— Kuzyn chce mi dać zajęcie w swoim warsztacie jedwabniczym — oświadczył. — Trochę się na tym znam. Mój ojciec był tkaczem jedwabiu.

Pieter zapalił wygiętą porcelanową fajkę. Jego twarz za chmurą dymu spoważniała.

— Wiesz, że masz inne zobowiązania.

. Tak, wiedział. Te dwieście guldenów, które Pieter wypłacił mu tytułem zaliczki za dwa następne obrazy, czy sprzeda je jemu, czy innemu nabywcy. A teraz potrzebował jeszcze dwustu.

— Wiem, wiem. Szukam tematu.

— Nie mówię o tym długu. Chodzi mi o głębsze zobowiązania. Te, które masz wobec swojego talentu.

Tak, mów mi o tym, pomyślał Jan. Przekonaj mnie. Po-

patrzył na ciepłe żółte światło spływające na dłonie *Młodej kobiety czytającej list przy otwartym oknie*.

— Do czego świat potrzebuje kolejnego obrazu z samotną kobietą w pokoju? Albo stu takich obrazów?

Ryzykował, wygłaszając takie kwestie. Być może popełnił błąd, ale rozpaczliwie pragnął, aby Pieter rozproszył to zwątpienie, które towarzyszyło mu jak cień, każdej nocy leżało w mroku między nim i Cathariną, kpiąc z jego potrzeby powrotu do bezpieczeństwa i radości malowania.

— Świat nie wie jeszcze, czego potrzebuje — odparł Pieter. — Przyjdzie jednak czas, kiedy twój następny obraz z kobietą przy oknie coś mu da.

— Ale ten koszt...

Nie chodziło mu o cenę, którą wyznaczy. Koszt ponosiła jego rodzina. Koszt ponosiła Cathariną, która nigdy nie miała go w pełni dla siebie. Każdą chwilę ich małżeńskiej bliskości zakłócała jego więź z malowanym akurat obrazem. Koszt ponosiła mała Geertruida, która z braku zimowego płaszcza i porządnego ognia w kominku cierpiała na przewlekłą chorobę. Za każdy obraz, za każdy miesiąc, kiedy nie handlował sukniem, płacili jego bliscy.

— Skoro nie wieści o nowym obrazie, co cię sprowadza, mistrzu Janie?

— Przyszedłem... — Prawdziwy powód wizyty nagle jakby stężał mu na języku i nie potrafił go poruszyć. — ...popatrzeć na obrazy.

— Kiedy zechcesz, przyjacielu. — Pieter poklepał go po plecach. — Kiedy zechcesz. Ten pokój jest dla ciebie otwarty. A teraz, jeśli mi wybaczysz... — Podszedł do dwuskrzydłowych drzwi i odwrócił się w progu. — Maluj, Johannes, maluj.

Jan uśmiechnął się i skinął Pieterowi głową. Wyłącznie drugi artysta mógłby pojąć, jakiej trzeba finezji, aby godzić sprzeczności, trzymać rzeczywistość na dystans i pozostać w najgłębszym ośrodku swego dzieła. Wiedział, że inaczej będzie skazany na peryferie sztuki, jako prowincjonalny malarz z niewielkim dorobkiem i niewielkim kręgiem zwolenników.

Jedno po drugim, oceniał swoje pozostałe płótna, których w samej tej sali było dziewięć, spijając, jak człowiek spragniony, nektar zmysłów. Pozwolił, by spłynął nań spokój *Dziewczyny nalewającej mleko*. Skromna izba ze stłuczoną szybką w oknie, podziurawioną ścianą i przełamanym bochnem chleba. Godność i waga jej czynności, tak rzeczywistej, że niemal słyszał plusk mleka w brązowej glinianej misie. Tak. I namalował fałdy jej rękawa prawidłowo, różnicując nie tylko tony koloru, co robili wszyscy malarze, lecz także grubość farby. Kiedy wpadł na ten pomysł, zrozumiał, że na zawsze zmieni się sposób, w jaki maluje tkaniny. Było to kilka dni po narodzinach dziecka, Francisa, a może Beatrix, i rozsadzało go szaleńcze podniecenie tym cudem, tak osobnym, że nie mógł się nim podzielić z Cathariną. Samo to odkrycie powinno go teraz przekonać, by wrócił do malowania, ale go nie przekonało. Pograżony w melancholii bezczynności i gorączkowej tęsknocie za chwilą, gdy objawi mu się nowy temat, musiał przyznać: nie przekonało.

Wracając później do domu przez dzielnicę otwartych warsztatów ciągnącą się w pobliżu kanału Oosteinde, czuł, że ku czemuś zmierza, choć nie wiedział jeszcze, co to jest. Minał wytwórcę świec zanurzającego rząd knotów w parującej kadzi z łożem. Minał siodlarza, kowala, stolarza, folusznika spilśniającego w korycie wełniane sukno;

snycerza żłobiącego dłutem drewno za stertami *klompen* i zegarów, drewnianych misek i łyżek; malarza fajansu zdobiącego talerz za talerzem takim samym niebieskim wiatrakiem, taką samą wierzbą. Wszyscy byli najwyraźniej szczęśliwi przy swoich kowadłach, cebrach czy stołach. Nie czuł powinowactwa z żadnym z nich.

Pomyślał o ojcu, jak pochylał się przed laty nad krosnem, podnosił końcem czółenka jedwabne nici osnowy, by odtworzyć delikatny wzór ze swych rysunków na adamaszkowej tkaninie. Czy sprawiało mu to jakąkolwiek satysfakcję?

Zza rogu doleciał go szybki stukot drewnianych chodaków. Zanim zdążył przystanąć, zderzył się z młodą dziewczyną w rozwianych spódnicach. Była to jego córka, druga w kolejności starszeństwa.

— Magdaleno!

— Ojczy!

— Dokąd pędzisz z takim niezdrowym pośpiechem? Przyglądził jej jasnobrązowe włosy.

— Na mury miejskie — odparła zasapana. — Mama mi pozwoliła. Zrobiłam już wszystko w domu, chociaż malcy mi przeszkadzali, bo nie było ciebie i nie miał ich kto uspokoić. Niedługo wrócę. Tylko sobie popatrzę.

— Wiem. Wiem, jak to lubisz.

Rozplotły jej się warkocze — wyszła z domu bez czepka — i z rozwianymi, oświetlonymi od tyłu włosami wyglądała eterycznie.

— Chodź ze mną, ojczy. Proszę cię. Ileż można stamtąd zobaczyć!

Z niecierpliwości drżała na całym ciele. Zaśmiał się, rozbawiony jej natarczywością, i pokręcił głową. Tego ranka zagrał z chłopcami w kręgle, ponieważ

go błagali, mówili, zgodnie z prawdą, że im obiecał. Ale było już późne popołudnie i musiał załatwić swoje sprawy.

— Innym razem. Tylko wróc przed zachodem.

Kiedy się odwróciła, spostrzegł, że podeszwy jej chodaków są zdarte na cienkie, nierówne deszczułki.

To, jak go prosiła, pełna entuzjazmu i nadziei... Tak samo poprosiła ostatniej zimy, aby pożegłował z nią łódką po lodzie, a on odmówił, po czym przyszła przedwczesna odwilż i lód popękał. Poczuł się wtedy zraniony, jakby coś stracił. Może żył tak źle dlatego, że nie potrafił żyć chwilą. Nieomal chciał zawrócić i dogonić Magdalene, lecz szedł dalej, nadkładając drogi, aby przejść pod cętko-waną zielonością lip, które rosły wzdłuż kanałów.

Ominął rynek, ponieważ był winien Hendrickowi za chleb. Doznał wstrząsu, gdy poprzedniego dnia piekarz przypomniał mu sumę: czterysta osiemdziesiąt guldenów. Więcej niż zarabiali rocznie tamci rzemieślnicy. A miał też długi u sklepikarza i wełniarza. Widok znoszonych butów córki zepchnął go jeszcze głębiej w otchłań przygnębienia.

Idąc jak po sznurku, znalazł się przy Mols Laen. Wstąpił do domu i warsztatu kuzyna, poczuł ulgę, że go nie zastał, i szybko przeszedł przez targ torfowy do Zaułka Papistów, gdzie przy Oude Langendijck mieszkała jego teściowa, arystokratyczna matrona Maria Thins. Przed jej wywoskowanymi dębowymi drzwiami pomyślał o zdartych chodakach Magdaleny i podniósł srebrną kołatkę.

Zapytał ją natychmiast, bez łagodzących, grzecznościowych wstępów: czy może mu wypłacić dwieście guldenów zaliczki za następny obraz?

Utkwiła wzrok ponad jego ramieniem, jakby coś, rysa na ścianie, ozdobny wirginał albo inny martwy przed-

miot, było dla niej ważniejsze. Postępowała tak, aby czuł się jak żebrak, choć sama miała u niego wielki dług, tyle że nie pieniężny. Wielokrotnie ratował jej słabego na umyśle syna Willema przed strażą miejską, kiedy ten zrobił z siebie widowisko na rynku. Ileż razy Willem spuszczał spodnie i wypinał tyłek, rechocząc do Cathariny, swojej siostry, jeśli go na tym przyłapała. A kiedy Jan musiał uspokajać jakąś burdę w Mechelen, gospodzie matki, zazwyczaj się okazywało, że wszczął ją Willem. Mimo to Maria Thins dawała mu odczuć, że jest niegodny. Patrzył jej jednak prosto w twarz. Nawet w domu nosiła rubiny w rozciągniętych białych płatkach uszu.

— Zaczynam być znany w Delft — powiedział.

— Kto cię zna? Jeden piwowar? Jeden piekarz? Masz jakieś zamówienia na portrety? Nie. Na obrazy do kościoła?

— Skądże. Kościoły reformowane nie zatrudniają malarzy, którzy przeszli na papizm.

Zauważył, że lekko cofnęła podbródek, pod którym pysznił się jego pulchny bliźniak. To ona zażądała, aby zmienił wyznanie i przyjął z rąk biskupa sakrament bierzmowania, jeśli chce poślubić Catharinę, a on się zgodził, choć mogło mu to zaszkodzić w karierze.

— Wybrano mnie starszym gildii św. Łukasza — dodał.

— Słyszałam. Gratuluję. Płacą za to?

Cienkie kości na wierzchu jej dłoni podnosiły się i opadały, gdy bębniła upierścienionymi palcami po kapie, którą był przykryty stół.

— Trochę. Może przyniesie to zamówienia.

— Może. Może. Tymczasem Catharina spodziewa się dziecka.

— O ile go nie straciła, kiedy ją wystraszył twój synalek.

W zeszłym tygodniu gonił ją po rynku z kijem. Przestała wychodzić z domu.

— Przykro mi, Janie. Willem zawsze był niesforny, zawsze był zazdrosny.

— To wykracza daleko poza zazdrość. Ten człowiek jest niebezpieczny, jeśli nie dla innych, to dla samego siebie. Jak możesz go bronić, kiedy rzuca się też na ciebie?

Potarła skroń, jakby chciała odepchnąć te wspomnienia.

— Cóż mogę zrobić? Nauczył się tego od ojca.

— Cóż ja mogę zrobić?

— Gdybyś chciał, żeby twoja rodzina miała na śniadanie coś więcej niż kilka sucharów, dałbyś sobie spokój z obrazami. Zatrudniłbyś się w którejś wytwórni fajansu. Teraz, gdy masz pozycję w gildii, na pewno cię przyjmą na malarza. Możesz zarabiać pędzlem. Na ziemniaki, *hut-spot* i chleb. Na pledy i trzewiki dla twoich synów — ciągnęła.

Talerz za nieubłagany talerzem. Wyobraził sobie, jak stoi przed ich ścianą. Ugięły się pod nim nogi i powiódł wzrokiem po pokoju. Często do głębi poruszała go siła wyrazu przedmiotów. Pozłacany dzban na wodę stojący, niczym na ołtarzu, na serwecie w czerwony wzór odbijał tuzin odcieni od szkarłatu po ciepły żółcień. Podobały mu się proste, mocne linie wychodzące z solidnej podstawy i krągłe wygięcie ucha.

— Piękny dzban — powiedział. — Mogłabyś przez jakiś czas używać innego? Podoba mi się, jak ta serweta odbija się w złocie. Może mógłbym namalować...

— Weź go. Weź go. Serwetę też. — Machnęła ręką i poczuł, że odprawia tak również jego. — Czemu Bóg dał mi takiego zięcia? Syn i zięć, obaj nieodpowiedzialni. Obaj szaleni.

— A zaliczka?

— Zastanowię się. Nie mogę obiecać. Willem się wścieka, gdy myśli, że cię faworyzuję, i tłucze talerze. Nie zapomniał o ostatniej pożyczce. Sądzi też, że dam wam okrągłą sumkę na chrzcinach. Ale nie mogę. Dzierżawcy z Beijerlands zalegają mi z czynszem.

— Pomyślałem, że gdyby stać mnie było na wynajęcie małej pracowni, nikt by mi nie przeszkadzał i mógłbym malować więcej.

— Powiedziałam, że się zastanowię.

Wracając do domu z zawiniętym w serwetę dzbanem pod pachą, czuł mdlący, głuchy ból, który nadciągał wraz ze zmierzchem. Będzie musiał stanąć przed Cathariną bez jednego stujwera. Powie jej, że zajmie się czymś innym. Ale hańbą byłoby malować fajanse. Już nigdy nie uważano by go potem za artystę. Tylko za rzemieślnika. Lepiej zupełnie zmienić fach. Będzie sprzedawał sukno u kuzyna. Zacznie nazajutrz. Tylko przez kilka lat. Może rok, jeśli mu się powiedzie. Przerwanie i tak mizernej ciągłości będzie katastrofą dla jego pracy. Przyjdzie mu to nadrabiać długo i mozolnie.

Usłyszał krzyki, kiedy był jeszcze kilka domów dalej. Sąsiedzi zebrali się pod jego drzwiami. Wbiegł do środka. We frontowym pokoju dzieci krzyczały, Geertruida i najmłodsza córeczka płakały, a Willem okładał Catharinę kijem. Upadła na swój kołowrotek i leżała skulona na podłodze, starając się osłaniać brzuch. Jan zamachnął się z furją i podstawą dzbana uderzył Willema w głowę. To oszołomiło go na tyle, że mógł go odciągnąć od Cathariny i zadać potężny cios w żołądek. Willem przewrócił się, roztrzaskując sztalugi. Jan kopnął go, wykręcił mu ręce do tyłu i usiadł na nim.

— Francis, przynieś mi szpagat. Ile tylko mamy. Maria, Cornelia, zajmijcie się matką.

Zanim Willem oprzytomniał, Jan przywiązał go do krzesła o prostym oparciu, a krzesło do poręczy schodów. Nagle zobaczył kij. Z jego końca wystawał żelazny gwóźdź.

— Johannes, biegnij po van Overgauwa, tego, który nastawił ci rękę. Pamiętasz? Cztery domy stąd. W stronę kościoła. Gdzie ta Magdalena? Beatrix, sprowadź babkę Marię. Weź latarnię, dziecko. Robi się ciemno.

Pokój wirował na czubku gwoździa, aż usłyszał, jak jego żona szepcze do starszych dziewczynek:

— Nic mi nie jest. Nic mi nie jest.

Już umniejszała powagę zajścia ze względu na dzieci. Willem jest przecież ich wujem, powie. Jan wziął mokrą szmatkę od najstarszej córki i przemył długie, głębokie zadrapanie na ręce Cathariny. — Jak to się stało?

— Przyszedł i szalał już od progu.

Willem poruszył się na krześle i zaczął wykrzykiwać jakieś brednie o „diablicy”. Jan zakneblował go czerwoną serwetą i wrócił do Cathariny, przeklinając się za niedbalstwo. Gdyby był w domu, nie doszłoby do tego. Dusząc w sobie poczucie winy, wytarł szmatką twarz i szyję żony.

— Nic mi nie jest — powiedziała.

— Ale dziecko...

Obca, wzburzona atmosfera wypełniała pokój aż po kąty. Hiszpańskie krzesło przewrócone, kołowrotek połamany, jego *Chrystus w domu Marii i Marty* przekrzywiony na ścianie, obrus ściągnięty ze stołu, fajansowe miski potłuczone na podłodze, zupa dzieci rozlana, zapomniane niemowlę wciąż nieutulone w płaczu — cały porządek jego wszechświata został obalony. Potracona podczas prze-

pychanki kołyska nadał się bujała, trzeszcząc rytmicznie. Weduta, którą namalował na jej boku, studium do *Widoku Delft*, już to chwytiała światło, już to nikła w cieniu. Minęła długa chwila, zanim podszedł, aby ją zatrzymać. Kołyska przeżyła dziecko, dla którego ją zrobiono, jego babkę, co napełniło go teraz zdumieniem. Że też przedmioty mają dłuższy żywot niż ludzie.

Wziął córeczkę na ręce i niebiańsko miękki puch niemowlęcych włosów połaskotał go w policzek. Kołysząc ją i uspokajając, wdychał słodki, mleczny zapach niemowlęcia i czuł, jak małe usteczka próbują ssać jego szyję.

Van Overgaww przyszedł natychmiast, aby zbadać Ca-tharinę i opatrzyć skaleczenie, ale Maria Thins kazała na siebie czekać dostatecznie długo, aby dać Janowi do zrozumienia ponad wszelką wątpliwość, że nie da się poganiać. Gdy tylko weszła, błyskając białkami oczu, rzuciła się do wezgłowia Cathariny.

— Nic mi nie jest, mamó.

Jan przemówił do teściowej bez ogródek:

— Mogę wezwać straż miejską, która zamknie go w więzieniu, albo oddamy go sami do prywatnego domu poprawczego.

Jej nozdrza zadrgały, oczy rozbiegły się w panice.

— Gdzie?

— Do Taerlinga.

Willem szarpnął się gwałtownie, próbując zerwać więzy, i usiłował coś powiedzieć.

Maria Thins wciąż się wahała. Jan pokazał jej kij z gwoździem.

— Lepsze to niż publiczny zakład dla obłąkanych. Rzuciła mu przerażone spojrzenie. W jednej chwili zmienił się układ zależności. Ona zaciągała ogromny dług u nie-

go. Ze łzami w oczach, nie mogąc znieść widoku zakneblowanego i jęczącego syna, skinęła głową na znak zgody. Zanim mogłaby zmienić zdanie, Jan poprosił sąsiada, by sprowadził Taerlinga.

— I niech przyniesie łańcuchy.

Jan i Catharina spędzili tę noc w niemym szoku. Nazajutrz Catharina straciła dziecko. Jan siedział przy niej całe dnie, póki nie doszła do siebie. Czując się bezradny, przynosił jej bulion w filiżance i naprawił kołowrotek. I co noc przez tydzień zrywał się, słysząc krzyki Geertruidy, której śniły się koszmary, tulił jej rozpalone, wilgotne od potu, wstrząsane łkaniem ciało, aż ciepłe mleko i jego ramiona uspokajały ją na tyle, że mogła znowu zasnąć.

Zbyt szybko pozostałe dzieci wróciły do swych hałaśliwych zabaw i kłótni. Trzaskały drzwi. Kto był na dworze, chciał wejść do domu. Kto był w domu, chciał wyjść na dwór. Dwaj najmłodsi chłopcy, Francis i Ignatius, zaczęli naśladować to, co widzieli, i odgrywać walki z biciem się po głowie drewnianym kubkiem, kopaniem w brzuch i wiązaniem pokonanego. Spierali się, kto ma być tatą, a kto wujkiem Willemem, kubek krążył między nimi, aż walka stawała się prawdziwa i Jan musiał ich rozdzielać.

Zgodził się czuwać nad pobytem Willema w domu poprawczym. Bycie stróżem brata wydawało mu się złą drogą do Królestwo Niebieskiego. Czy nie mógłby się tam dostać, malując? Czuł, że życie wymyka mu się z rąk.

Maria Thins pożyczyła mu trzysta guldenów. Nie był to prawdziwy zarobek, ale zyskał trochę czasu. Zapłacił piekarzowi i sklepikarzowi dość, by ich ułagodzić, sprawił dzieciom nowe trzewiki, wniósł kolejną spłatę za łódź do jazdy po lodzie i kupił pigmenty oraz wenecką terpentynę. Na nic więcej już nie starczyło.

Gdyby tylko potrafił malować szybciej. Maluj, Johannes, maluj, mówił sobie. Ale gdyby malował szybciej, jak mógłby tworzyć obrazy oparte na głębokim fundamencie kontemplacji, która była jedynym sposobem zatrzymania żywych istot na dostatecznie długi czas, by je zrozumiał? I czy wszystko, co malował — koszyk z chlebem, dzban, skrzynka na biżuterię, miedziany cebrzyk — nie było żywe?

Ucierając pewnego dnia w moździejcu małą grudkę ultramaryny, zachwycony intensywnością głębokiego błękitu lapis-lazuli, usłyszał czyjeś krzyki we frontowym pokoju. Jego druga córka, Magdalena. O wiele już na to za duża. Gdy tylko wszedł, umilkła. Wszystkie dzieci, nawet Ignatius, znieruchomiały ze strachu. Błogosławiona cisza, zmacona jedynie szurnięciem jej krzesła na posadzce, kiedy się przed nim cofnęła.

Po chwili podniosła ku niemu twarz, zarumienioną ze wstydu. Rozbroiła go szkląca się w jej oczach skrucha. Stała przed nim, niczym dar od Boga. Błękitny materiał jej kaftana w fałdach jak niespokojne niebo. Było w tej dziewczynie coś, czego nie potrafił uchwycić, coś nieprzeniknionego. Podziwiał porywy jej fantazji, nienasyconą pasję, aby zawsze dokąśś biec, jej bujne wewnętrzne życie. Zatrzymać je na moment, na tyle długo, by je namalował, na wieczność, ach.

Czy mógł malować w dobrej wierze coś, czego nie rozumie? Czego nawet nie zna?

— Usiądź.

Malowanie było jedynym sposobem, aby choć spróbować coś poznać.

Krzesło szurnęło ponownie, gdy je przesunęła, by usiąść przy stole pod oknem.

Jej oczy, bladobłękitne. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Twarz, nie piękna; pełna napięcia, które tłumila, jak sądził, ze względu na niego. Oddać tę twarz uczciwie zamiast z dumą czy po prostu z miłością, wyjść poza znane uczucia i namalować tajemnicę — takie postawiła przed nim wyzwanie. Poczucie obowiązku, o którym mówił Pieter, pogłębiło się, powróciło. W jednej z szybek otwartego okna odbijał się policzek, tak świetlisty, jakby pokrywał go pył zgniecionych pereł. Uchylił okno szerzej, potem je przymknął, wybierając kąt. Powiew wiatru poruszył luźnymi włosami na jej skroni.

— Jeśli będziesz tu siedziała i szyła, namaluję cię, Magdaleno. Ale pod warunkiem, że przestaniesz krzyczeć.

Otworzyła oczy szerzej i ściągnęła wargi, gasząc uśmiech, z którego mogłyby wyrwać się słowa. Przyniósł koszyk do robótek, postawił go na stole i pomyślał o jego uroczej, skromnej historii, o tym, jak Catharina wybrała go na straganie z tuzina innych. Przesunął szklanekę mleka Geertruidy do smugi światła, szklanekę, którą ktoś umył poprzedniego dnia i poprzedniego, i poprzedniego. Ustawił pozłacany dzban obok, tuż za nią. Zamigotał w promieniu słońca, odbijając błękit rękawa Magdaleny. Nie. Zabrał go ze stołu. Był piękny, ale zaciemniał prawdę. Położył Magdalenie na podołku koszulę brata, do której trzeba było przyszyć guziki. Poprawił jej ramiona i poczuł, jak sztywnieją, aby rozluźnić się za chwilę pod dotykiem jego rąk. Przyglądał jej spódnicę i biały płócienny czepek uszyty przez Catharinę. Jej dłoń spoczęła na koszuli, zwrócona wnętrzem ku górze, z delikatnymi palcami w lekkim zgięciu. Idealnie. Niczym się nie zajmowała. Cokolwiek zamierzała zrobić, zostało zapomniane, i przepełniał ją spokój.

Nagle jego żona podbiegła do stołu, aby *zabrać* szklanę mleka dla Geertruidy.

— Nie, zostaw ją, Catharino. Tam, w świetle. Uświęca cały ten kąt czułością samego życia.

Komponując te przedmioty, odczuwał przyjemność, na którą w swym samolubstwie z pewnością nie zasługiwał. Cofnął się, oddychając powoli, i to, co zobaczył, oświetlone ciepłymi strumieniami miodu i złota, było wytchnieniem w bezruchu od niedocenianych prac kobiet uświęcających dom. Ten bezruch, pomyślał, może być wszystkim, co kiedykolwiek zazna z Królestwa Niebieskiego.

SPOJRZENIE MAGDALENY

Pewnego późnego popołudnia, skończywszy pranie i uprosiwszy pozwolenie matki, Magdalena pobiegła z domu przy Nieuwe Kerk przez rynek, obok piekarni van Buytena, przez dwa brukowane mostki nad kanałami, obok kuźni, aż do Kethelstraat i miejskich murów, i wspięła się po sięgających jej do kolan kamiennych stopniach barwy ochry na swoje ulubione miejsce w Delft, okrągły posterunek straży. Z tej wielkiej wysokości, och, co też było widać. Gdyby tylko mogła to namalować. Z jednej strony brama Schiedam, za nią bliźniacze wieżyczki Bramy Rotterdamskiej, i statki z żaglami o dziwnych kształtach, koloru brunatnych skorupek jaj, płynące wielką rzeką Schie od morza. A z drugiej pasy ziemniaczanych pól, na które drewniane pługi rzucały cień niczym długie palce, i sady, rzędy zaokrąglonych kęp zieleni, tak proste, jak matka chciałaby widzieć życie swoich jedenaściorga dzieci, i dymy garncami i cegielni, a dalej, nie wiedziała. Nie wiedziała.

Stała tam i patrzyła, patrzyła i słyszała za plecami skrzypienie południowego wiatraka, który obracał się na morskim wietrze jak jej serce, i wdychała słony zapach przywiany tu z innych brzegów. A poniżej Schie oplatała mury miasta jak bladożółta wstążka. Im dłużej patrzyła, tym bardziej rzeka zdawała się pożyczać swoją barwę od

nieba. Łodzie przy nabrzeżu szczękały cumami i trącały się pustymi brzuchami, grając cichą, brzęczącą muzykę, którą kochała. Nie tylko tego dnia. Uwielbiała to miejsce przy każdej pogodzie. Widząc, jak deszcz dziobie szare morze i migocze na kamiennym moście, czując na twarzy i dłoniach zimne strugi wody, miała wrażenie, że wnet się rozpęknie.

Przesunęła się odrobinę i podmuch wiatru uniósł jej spódnicę. Mężczyźni na moście, czekający ze swymi tobołkami, by wypłynąć w morze, wykrzyknęli jakieś słowa, których nie zrozumiała. Nie powie o tym matce. Matka nie chciała, aby tu przychodziła. Posterunek straży jest pełen wartowników, którzy palą tytoń, mawiała. W jej głosie dzwięczał złowieszczy ton, jakby uważała, że Magdalena powinna się bać, ale Magdalena nie wiedziała, co ma czuć, ani wtedy, ani teraz.

Tutaj, wysoko ponad miastem, ogarniały ją tęsknoty, których nie znał nikt z rodziny. I nikt nigdy nie pozna, pomyślała, chyba że wyczytają je z jej twarzy albo sama zdobędzie się na odwagę, by o nich opowiedzieć. Pragnienia potrafiły pozbawić ją tchu. Niektóre były wielkie, rwące i uparte, inne kłuły ją tylko jak promienie złotego światła i żyły krótko jak robaczki świętojańskie, lecz odczuwała je dotkliwie. Pragnęła mieć mniej obowiązków, aby mogła codziennie przed kolacją pobiec na mury miejskie albo do Oude Kerk, odgarnąć liście z grobu brata. Pragnęła, aby jej maleńka siostrzyczka tak bardzo nie płakała, a chłopcy nie kłócili się i nie mocowali pod jej nogami, i nie biegali z krzykiem po domu. Wiedziała, że ojciec też tego pragnie. Pragnęła, aby nie było aż tylu misek do zmywania, trzynastu po każdym posiłku. Pragnęła, aby jej włosy lśniły w słońcu rynku jak lniane loki małej Geer-

truidy. Pragnęła pojechać powozem za granicę, do wszystkich krain wyrysowanych na mapie ojca.

Pragnęła, aby sklepikarz nie odnosił się do niej tak szorstko, widząc w jej dłoni cztery guldeny, wszystko, co dostała od matki na zapłacenie rachunku, który, o ile wiedziała, urósł już w setki. Pragnęła, aby nie krzyczał, bo wtedy jego czosnkowy oddech bił ją prosto w nozdrza. Piekarz, Hendrick van Buyten, był miłszy. Już dwa razy pozwolił, aby ojciec zapłacił mu obrazem, i mogli zacząć od nowa. Czasem dawał jej ciepłą jeszcze bułkę, którą zjadała w drodze do domu. A czasem nawet polewał ją miodem. Pragnęła, aby sklepikarz był taki sam.

Pragnęła, aby ojciec częściej jeździł z nią po lodzie. Kupił taką piękną łódź z wysokim żaglem barwy kości słoniowej. „Osiemdziesiąt guldenów — gderała matka. — Mielibyśmy chleb i mięso na całą zimę”. W niedziele, jeśli była ładna pogoda i jeśli ojciec nie malował, śmigali razem po białym szkle kanału. Nie znała wcześniej takiej szybkości. Wraz z ostrym, zimnym powietrzem wpadającym jej do uszu i otwartych ust napełniało Magdalenę podniecenie, życie i nadzieja.

Pamiętała, jak zapragnęła pewnego ranka — gdy ojciec mieszał biel ołowianą z najmniejszą kropeczką żółcieni cynkowo-ołowianej do gęsiego pióra na obrazie, który przedstawiał matkę piszącą list — aby kiedyś ona także miała do kogo napisać, aby mogła zakończyć list pełen miłości i nowin słowami: „Twoja, jak zawsze kochająca, Magdalena Elżbieta”.

Ojciec malował matkę często, i raz namalował Marię, owinał jej głowę złotą draperią, a ramiona białym atłasowym szalem. Miała piętnaście lat, była starsza, choć tylko o jedenaście miesięcy. Mogłoby być zabawnie wystro-

ić się jak Maria i włożyć kolczyki z perłami, i pozować ojcu, ale tak naprawdę pragnęła wyłącznie tego, aby na nią wtedy patrzył, patrzył i poświęcał jej uwagę.

Miała jedno pulsujące pragnienie, które przyćmiewało wszystkie pozostałe. Pragnęła malować. Tak, ja, pomyślała, wychylając się za kamienny mur. Chcę malować. To, i wszystko. Z tego miejsca świat rozciągał się tak wspaniale. Jego piękno było czymś więcej niż kolorem i kształtem, było przestrzenią, światłem, samym powietrzem, przez co wydawało się niedotykalne. Ach, gdyby pragnąć znaczyło móc. Ojciec uśmiechnął się tylko dziwnie, kiedy mu powiedziała, że chce malować, tak jakby oznajmiła, że chce pływać po morzach, czego, oczywiście, też pragnęła, aby malować to, co zobaczy. Kiedy to powiedziała, że pragnie malować, matka wetknęła jej w rękę koszyk z cerowaniem.

Często przyglądała się z końca pokoju, jak ojciec pracuje. Ponieważ zawsze prosił o ciszę, gdy młodsze dzieci biegały w kółko, śmiejąc się albo krzycząc, nie zadawała mu wielu pytań. Zresztą i tak rzadko odpowiadał. Obserwowała jednak, ile bierze oleju lnianego, by rozrzedzić ultramarynę, i patrzyła, jak nakłada ją na szklistą warstwę czerwonego brązu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, błękit na sukni, którą malował, stawał się cieplejszy niż na palecie. Nie pozwalał jej wchodzić na poddasze, gdzie ucierał żółcień cynkowo-ołowianą na proszek, ale posyłał ją do aptekarza po małe bryłki pigmentu i po olej lniany. Na to zawsze znajdowały się pieniądze, lecz nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, gdy aptekarz domagał się zapłaty za lekarstwa jej dawno zmarłego brata.

Gdyby tylko mogła mieć własne farby i pędzle. Nie malowałyby kobiet wyłącznie w ciasnych, małych izbach.

Malowałyby je na rynkach, zgięte wpół na polach ziemniaków, gawędzące w słońcu w drzwiach domów, pływające łodziami po Schie albo modłące się w Oude Kerk. Malowałyby ludzi jeżdżących na łyżwach na zamrożonej rzece, ojców uczących tej sztuki dzieci.

Ojcowie uczący dzieci. Ta myśl wyrwała ją z marzeń.

Patrząc z wieży strażniczej na chmurę, która rzucała cień na powierzchnię rzeki, wiedziała — tak samo jak wiedziała, że zawsze będzie zmywać i cerować — że tak się nie stanie. Znużona pragnieniami, zaczęła schodzić na dół. Musiała wrócić do domu, aby pomóc przy kolacji.

Pewnego wiosennego dnia, który niczym się z początku nie wyróżniał, poza tym, że poprzedniego popołudnia wspięła się na mury miejskie, i w całym Delft lipy wzdłuż kanałów wypuściły jasnozielone liście, które prześwietlone słońcem wydawały się bardziej żółte, prócz tych, które nakładały się na siebie i dlatego były ciemniejsze, tego prawdziwie wiosennego dnia, z jakiegoś nieznanego, uśpionego dotąd zakamarka wyrwał się jej krzyk.

— Nie cierpię cerować — zawołała do ścian, do matki, do wszystkich i nikogo. — W ten sposób niczego nie tworzę.

Ojciec wszedł do pokoju, spojrzał na matkę, a potem zmierzył gniewnym wzrokiem Magdalene. Do niej należało uciszanie młodszych braci albo wypędzanie ich na dwór, kiedy mu przeszkadzali, i oto sama hałasowała. Nikt się nie poruszył. Nawet chłopcy znieruchomieli. Popatrzyła na zabrudzoną ultramarynowym proszkiem dłoń ojca, nie w jego oczy, zbyt zaskoczona echem własnego głosu, aby protestować dalej. Kochała go, kochała to, co robił tą dłonią, a nawet, podejrzewała, kochała to, co on kochał, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Kiedy pod wpływem tej myśli podniosła ku niemu twarz, zobaczyła, że

jego rysy łagodnieją, jakby po raz pierwszy zauważył ją w swoim domu. Pociągnął ją do stołu przy oknie, przyniósł koszyk do robótek, położył jej na podolku koszulą brata, do której trzeba było przyszyć guziki, przesunął krzesło, uchylił okno szerzej, potem je przymknął, i odkrył, że otwarte pod pewnym kątem odbija jej twarz.

— Jeśli będziesz tu siedziała i szyła, namaluję cię, Magdaleno. Ale pod warunkiem, że przestaniesz krzyczeć.

Kiedy poprawiał jej ramiona, czuła przez muślin kaftana ciepło jego rąk, i jakby ją to uspokoiło.

Matka podbiegła do stołu, aby zabrać szklankę mleka Geertruidy.

— Nie, zostaw ją, Catharino. Tam, w świetle. Siedziała tak długie dni, jak najspokojniej ze względu

na ojca, ale robiąc od czasu do czasu kilka ściegów, by zadowolić matkę. W tym bezruchu wszystkie rzeczy, które miała w zasięgu wzroku, potraçały struny lutni jej serca. Kapa na stole, koszyk do robótek, ta sama szklanka napelniana codziennie na nowo do tego samego poziomu, bursztynowa mapa świata na ścianie. Do głębi poruszała ją myśl, że przedmioty, których dotyka, znane jej tak dobrze jak własna skóra, będą oglądane, podziwiane, może nawet kochane przez innych.

Szybki okna lśniły przed nią w słoneczne dni. Jak klejnoty przetopione na płaskie tafle, myślała. Każda miała trochę inny przezroczysty kolor — kość słoniowa, pergamin, najjaśniejsze wino, najbledsze tulipany. Była ciekawa, jak robi się szkło, ale nie spytała o to. Nie chciała przeszkadzać ojcu.

Za oknem rynek wrzał od gwaru głosów sprzedawców jabłek, smalcu, szczotek, drewnianych cebrzyków. Najbardziej podobali jej się serowarzy w śnieżnobiałych stro-

jach i czerwonych kapeluszach o płaskich rondach. Wygięte żółte nosidła, które dźwigali między sobą na sznurach, rzucały na bruk brązowe cienie. Gdyby umieścić ich ukośnie na środkowym planie, taką czwórkę z dwoma nosidlami, równiutkie rzędy pękatych kręgów sera stworzyłyby przyjemną kompozycję. W tle, pod ratuszem, dałaby chłopca pchającego wózek ze srebrnymi dorszami, a na pierwszym planie może kilka lawendowoszarych gołębi dziobiących okruchy. Karylion z Nieuwe Kerk wydzwaniający godziny brzmiał dla niej dziwnie uroczyście. A dla innych to wszystko jest zwyczajne, pomyślała.

Przez cały ten miesiąc nic w trakcie pozwowania nie mówiła — okazja była zbyt doniosła, aby kłaść ją słowami. Ojciec powiedział, że będzie ją malował, jeśli przestanie krzyczeć, więc w ogóle się nie odzywała. Poczowała tępy ból w piersi, gdy uświadomiła sobie, że jej milczenie ani trochę go nie zastanawia i nie dziwi. Zerkając nań kątem oka, nie umiała odgadnąć, co dla niego znaczy. Powoli zaczęła rozumieć, że nie patrzy na nią z większą uwagą niż na szklanek mleka.

Może to dlatego, że nie była ładna jak Maria. Wiedziała, że ma wystający podbródek, a oczy blade w kolorze i za szeroko rozstawione. Jej czoło szpecił pieprzyk, który zawsze próbowała ukryć pod czepkiem. A jeśli nikt nie będzie chciał kupić obrazu? Co wtedy? Może to być jej wina. Pragnęła, aby ojciec powiedział coś na jej temat, ale on mruczał tylko, bardziej do siebie niż do niej, że słońce wybiela czepkę na jej skroni, że cień na karku odbija błękit kołnierza, a siena spódnicy zmienia się w fałdach w wenecką czerwień. Nigdy nie chodziło o nią samą, krzyczała w duchu, tylko o efekty, do których powstania nawet się świadomie nie przyczyniła. Pojęła, że jest to kolejne prag-

nienie, które nigdy się nie spełni, choćby żyła wiecznie — aby ojciec, aby ktoś, spojrział na nią nie okiem artysty, lecz z miłością. Jeżeli dwoje ludzi kocha tę samą rzecz, rozumowała, muszą kochać siebie nawzajem, chociaż trochę, nawet jeśli o tym nie mówią. Niemniej, ponieważ malował z takim skupieniem i ponieważ go podziwiała, wyglądając przez okno, starała się przybierać spokojny wyraz twarzy, ale gdy zobaczyła gotowy obraz, to, co miało być spokojem, bardziej przypominało smutek.

Obrazu nie kupił ten piwowar, Pieter Claesz van Ru-ijven, nabywca większości prac ojca. Widział go, ale wybrał inny. Tak paliła ją hańba, że zamilkła na cały wieczór. Płótno zawisło bez ramy w zewnętrznej kuchni, gdzie spało młodsze rodzeństwo. W końcu musieli opuścić dom w rynku i zamieszkać kątem u babki Marii przy Oude Langendijck. Ojciec przestał żeglować po lodzie i sprzedał łódź. Prawie już nie malował, bo pokoje były zbyt ciasne i ciemne, młodsze dzieci zbyt hałaśliwe, i po kilku latach umarł.

Kiedy go myśla ten ostatni raz, przyszła jej do głowy myśl, tak niestosowna, że nie wypowiedziała jej głośno: byłby to piękny pamiątkowy obraz. Przy łóżku córka z ręcznikiem i błękitno-białą miednicą, trzyma w dłoniach jego wystygłą dłoń; żona na hiszpańskim krześle, wyczerpana, ściska krucyfiks; ojciec i mąż, ogląda szklanymi oczyma już inny krajobraz. Choć malował tyle osób, nie było nikogo, kto namalowałby jego, aby go zapamiętano. Pragnęła to zrobić, lecz się bała. Brakowało jej umiejętności, a ten, który mógł ją nauczyć, nigdy tego nie proponował.

Chociaż prosiła o jego pędzle i farby, matka sprzedawała je gildii św. Łukasza. Spłaciła dzięki temu jakiś dług. Gdy

matka rozchorowała się ze zmartwienia, Magdalena wpadła na pomysł, aby zanieść obraz do Hendricka van Buy-tena, piekarza, ponieważ wiedziała, że ją lubi. I przyjął go, razem z drugim płótnem przedstawiającym damę grającą na gitarze, zamiast sześciuset siedemnastu guldenów i sześciu stujwerów, za które kupowali chleb przez ponad dwa lata. Uśmiechnął się do niej i dał jej bułkę.

Nim minął rok, poślubiła mężczyznę imieniem Nicolaes, pierwszego, który zwrócił na nią uwagę, pracowitego siodlarza pachnącego skórą i łożem. Nauczył ją przyjemności innej niż patrzenie, ale, co szybko zrozumiała, był człowiekiem całkowicie pozbawionym wyobraźni. Przeprowadzili się do Amsterdamu i nie widziała obrazu przez dwadzieścia lat.

W 1696 roku, wkrótce po tym, jak ich ostatnie żyjące dziecko, Magritte, rozpalone gorączką, przestało oddychać w jej ramionach, Magdalena przeczytała w „Amsterdamsche Courant” o publicznej aukcji stu trzydziestu czterech obrazów różnych artystów. „Wiele niezwykle kunsztownych płócien”, mówiło ogłoszenie, „w tym dwadzieścia jeden prac żywo i wyśmienicie namalowanych przez zmarłego J. Vermeera z Delft, zostanie sprzedanych 16 maja, o godzinie pierwszej, w Oude Heeren Logement”. Zaledwie za tydzień. Pomyślała o Hendricku. Rzecz jasna, nie sposób było oczekiwać, że zatrzyma te obrazy na zawsze. A jeśli „jej” obraz tam będzie? Ta możliwość nie dawała jej spać po nocach.

Gdy weszła na salę aukcyjną, znów poraziło ją owo najgorętsze z dziecięcych pragnień — aby zarejestrować nie tylko, co widzi, lecz także jak to widzi. Jakże długą drogę przebyła od tamtych czasów i nie miała nawet dziecka! Zdumiała samą siebie mimowolnym pytaniem: po co wła-

ściwie żyła? Nie wystarczyło pragnąć. Czy popełniła błąd, nie błagając go, by ją uczył? Może nie. Gdyby się w końcu przekonała, dzięki jego pomocy, że potrafi malować, te lata porodów i pogrzebów mogłyby być jeszcze trudniejsze. Ale wówczas porody i pogrzeby zostałyby namalowane i jej ból czemuś by służył. Czy to by wystarczyło — wyrazić jakąś prawdę w sztuce? Nie wiedziała.

Widząc znowu tyle obrazów ojca, poczuła się tak, jakby wróciła do krainy dzieciństwa. To okno barwy miodu, to hiszpańskie krzesło, ta wisząca na ścianie mapa, w którą się wpatrywała, złoty dzban babki Marii, perły i żółty atlasowy żakiet matki — wzbudziły w niej teraz taką cześć, jakby wszystkie miały dusze.

I nagle zobaczyła siebie, w ramie na płótnie. Ugięły się pod nią nogi.

Hendrick nie zatrzymał obrazu. Chociaż ją lubił, nie zatrzymał go.

Wydała się sobie prawie dzieckiem, wyglądającym przez, okno, zamiast szyć, jakby samo patrzenie mogło posłać jej ducha w świat. I te trzewiki! Zapomniała. Jakże jej się podobały ich klamry, sądziła, że czynią z niej prawdziwą damę. W końcu zdarła podeszwy do cna, ale tu, na płótnie, trzewiki były nowiuteńkie, każda klamra lśniła punkcikiem złotego światła. Wezbrała w niej fala radości.

Nie, nie jest piękna, przyznała, ale z jej młodej twarzy bije prostota, którą, wiedziała, zatarły już lata, w pochyleniu ciała widać zatrzymaną tęsknotę, w sile wzroku pragnienie. Obraz pokazywał, iż jeszcze nie wie, że ludzie odchodzą nagle, że życie składa się głównie z powtórzeń i rozstań, że guziki wciąż trzeba przyszywać na nowo, bez względu na to, jak zawzięcie szarpało się nieć, że miłe rze-

czy, które się zdarzają, nie dorównują wyobrażeniom o nich. Ponieważ nadal miała pragnienia, zapragnęła, aby był tu z nią Nicolaes, aby zobaczyć ją w dniach zdziwień na posterunku straży, kiedy życie i nadzieja były nowe i pełne możliwości. Ale on nie zamierzał zamykać warsztatu dla takiego kaprysu.

Kiedy wywołano jej obraz, wspięła się na palce i wstrzymała oddech. Jej dłoń zacisnęła się w kieszeni wokół dwudziestu czterech guldenów, w części pożyczonych od dwóch sąsiadek, w części wziętych w tajemnicy ze skrzynki, w której Nicolaes trzymał pieniądze na zakup skóry. Tylko tyle znalazła i nie śmiała prosić o więcej. Uznałby, że to głupie.

— Dwadzieścia — powiedział stojący przed nią mężczyzna.

— Dwadzieścia dwa — rzucił inny.

— Dwadzieścia cztery — odezwała się tak głośno i szybko, że licytator się zdumiał. Czyżby dojrzał w jej twarzy jakieś podobieństwo? Nie zapytał, kto da więcej. Obraz należał do niej!

— Dwadzieścia pięć. Pękło jej serce.

Dalszy ciąg aukcji był szumem w jej uszach. W końcu obraz kupił mężczyzna, który wciąż naradzał się z żoną, co wzięła za dobry znak — że pójdzie do miłej rodziny. Czterdzieści siedem guldenów. Większość płócien wylicytowano wyżej, lecz uznała, że czterdzieści siedem to dobra cena. Na chwilę poddała się uczuciu, które nauczono ją uważać za grzeszną dumę. Aż nagle pomyślała o Hendricku i przeszył ją ból. Czterdzieści siedem guldenów, minus prowizja licytatora, nawet nie zbliżało się do sumy, którą jej rodzina była mu winna.

Wyszła na mżawkę Herengrachtu za parą nabywców, chcąc się im przedstawić, zamienić kilka słów, ale ostatecznie została w tyle. Miała teraz takie zepsute zęby, a oni byli ludźmi zamożnymi. Kobieta nosiła pończochy. Co by im powiedziała? Jeszcze by pomyśleli, że czegoś od nich chce.

Szła powoli wzdłuż kamiennego muru, który lśnił opa-lizująco od wilgoci, a w mokrym trotuarze odbijał się błękit jej najlepszej sukni. W szybko powstających kałużach błady lazur przechodził w głęboką ultramarynę, ulubiony błękit ojca. Lekki deszcz wyrabiał grafitowozieloną wodę kanału w delikatną, ciemną koronkę, i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek namalowano ją w taki sposób, czy życie czegoś tak nieistotnego jak kropla wody można zatrzymać i dać światu na płótnie, i czy świat się nim przejmie.

Pomyślała o ludziach na obrazach, które widziała tego dnia, pomyślała o ludziach na obrazach ojca, na wszystkich obrazach tego świata. Artysta pożyczał sobie ich oczy, ich szczególne pochylenie głowy, ich samotność, cierpienie i ból, aby oglądali je przez lata inni ludzie, którzy nigdy nie spotkają się z nimi twarzą w twarz. Ludzie, którzy będą tak blisko niej, na kilka długości ręki, będą patrzeć i patrzeć, i nigdy jej nie poznają.

PRZYPISY TŁUMACZKI

Motto

¹ John Keats, *Oda do urny greckiej*, tłum. Zygmunt Kubiak.

Kochać dość

¹ Westerbork — holenderski obóz przejściowy, z którego deportowano do obozów zagłady ponad sto tysięcy więźniów, głównie Żydów.

Noc różna od wszystkich innych nocy

¹ Podczas sederu, uroczystej wieczerzy w wigilię święta Pesach, obchodzonego na pamiątkę wyjścia Żydów z niewoli egipskiej, najmłodszy w rodzinie chłopiec cztery razy zadaje ojcu tradycyjne pytanie o znaczenie tego wieczoru i związanych z nim zwyczajów: „Czym ta noc różni się od wszystkich innych nocy?”

² Podczas sederu spożywa się pokarmy o znaczeniu symbolicznym. Pieczone jajko jest symbolem płodności i siły przetrwania.

³ *Charoset* — jedna z tradycyjnych sederowych potraw, surówka z tartych jabłek, orzechów i migdałów, ma przypominać wyglądem glinę, z której żydowscy niewolnicy wyrabiali w Egipcie cegły.

⁴ Hagada — księga zawierająca opowieści biblijne, modlitwy i psalmy.

Maksymy

¹ Skif — lekka, płaskodenna łódź wiosłowa.

² *Tempus omnia revelat* (łac.) — Czas wszystko odkrywa.

³ *Poffertjes* — małe ciasteczka z ciasta naleśnikowego, smażone na specjalnej patelni z wgłębieniami i posypywane cukrem pudrem.

⁴ *Hutspot* — jednogarnkowe danie z ziemniaków, marchwi, cebuli i wołowiny.

Hiacyntowy smutek

¹ Rogówka — XVIII w. obszerna spódnica nakładana na obręcze — błędnie nazywana krynoliną — tutaj spłaszczona z przodu i z tyłu, ale z boków tak szeroka, że można było położyć na niej łokcie.

² *Ministre d'impdt* (franc.) — tu: poborca podatkowy.

³ *Fichu* — przesłaniająca dekolt chustka, zwykle z cienkiego białego muślinu.

⁴ *De riguer* (franc.) — obowiązkowy.

⁵ Patrioci — republikańska frakcja polityczna, przeciwnicy dy^J nastii orańskiej.

⁶ *Pizzicato* (wł.) — szarpanie strun palcami.

⁷ *Pianissimo* (wł.) — bardzo cicho, bardzo łagodnie.

⁸ *Glissando* (wł.) — płynne przejście przez szereg kolejnych dźwięków.

⁹ *Arpeggio* (wł.) — akord, którego dźwięki bierze się kolejno po sobie, w szybkim tempie.

¹⁰ *Vibrato* (wł.) — falowanie częstotliwości i natężenia dźwięku.

¹¹ *Tremolo* (wł.) — dosłownie „drżący”, szybkie powtarzanie dźwięków.

¹² *Falsetto* (wł.) — falsetem, nienaturalnie wysokim głosem.

¹³ *Mouvement* (franc.) — część utworu muzycznego, np. symfonii.

¹⁴ *Grace à Dieu* (franc.) — dzięki Bogu.

Blask poranka

¹ *Groote Hollandsche Waard* (hol.) — Wielka Holenderska Powódź.

² *Liefje* (hol.) — kochanie.

Z osobistych papierów Adriaana Kuypersa

¹ Dzwon — rodzaj dyb: skazańca zamykano w drewnianym dzwonie, z którego wystawała tylko głowa i, czasem, dłonie.

² *Pishogue* (hol.) — klątwa.